

Terry Pratchett
Ciemna strona Słońca

Przełożył Jarosław Kotarski
Tytuł oryginału *The Dark Side of the Sun*

Można jedynie przewidywać.

**Charles Sub-Lunar, *Światła na niebie są tylko
złudzeniami***

Ciepły wschodni wiatr kołysał suchymi trzcinami. Poranna mgła nad bagnem zmieniła się z oparu we wstęgi i rozplynęła. Niewielkie nocne stworzonka powoli się zakopywały w błoto, a w oddali rozdarł się ptak, ukryty za resztkami mgły, w gnieździe pływającym w trzcinach. Na jednym z dużych jezior w pobliżu morza trzy delikatne białe wiatroplawy podniosły papierowe żagle i powoli ruszyły w stronę rozpoczynającego się przypływu.

Dom czekał tuż za załamującymi się falami, dwa metry pod powierzchnią, oddychając przez sztuczne skrzela. Wiatroplawy usłyszał na długo przed tym, nim je zobaczył — wydawały dźwięk podobny do sań ślizgających się po lodzie. Uśmiechnął się radośnie — miał tylko jedną szansę,

a część ozdobnie wyglądających macek otaczających muszlę była w dodatku śmiertelnie groźna. Tyle że on nie będzie już miał drugiej szansy. Nigdy.

Gdy muszle znalazły się nad nim, wyprysnął w górę, złapał za brzeg jednej z nich i natychmiast przerzucił nogi ponad zielonymi wstęgami. Świat rozplynął się w bąbel białej piany, smakującej słono i zimnej. Obok przemknęła jakaś zdesperowana *rybka* srebrnej barwy. Stwierdził, że leży na powierzchni górnej muszli.

Wiatropław dostał szalu i zaczął machać kościanym masztem, który zataczał wielkie, powolne łuki. Dom wykorzystał chwilę, gdy maszt był z przeciwnej strony, by się przedostać skoko-czołganiem w pobliże jego nasady, do białej wypukłości. Kątem oka dostrzegł zbliżający się cień i odtoczył w bok. Maszt wyrył bruzdę w muszli, a gdy go minął, Dom podążył za nim, złapał węzeł nerwowy i podciągnął się, macając równocześnie. Znalazł właściwe miejsce i lekko pogładził.

Wiatropław przestał gnać na oślep przez fale i machać masztem, który zakolysał się teraz niepewnie. Dom wciąż gładził węzeł nerwowy, dopóki stworzenie się całkowicie nie uspokoiło. W końcu wstał. Bo wyczyn liczył się dopiero,

jeśli zdoła się ustać na wiatroplawie.

Najlepsi poławiacze dagonów potrafili kierować wiatroplawami jedynie poprzez dotyk palców nóg, czego im od dawna zazdrościł. Dlatego też pilnie obserwował z pokładu rodowej barki, jak w święta płynęli po dwustu-trzystu obok siebie, gdy purpurowe słońce zwane See-Why zachodziło w morze. Ich wiatroplawy były na wpół oswojone, ale i tak tańczenie, żonglowanie pochodniami i skoki, które prezentowali młodszy, były godne podziwu, gdyż cały czas utrzymywali swe wierzchowce w doskonałym szyku.

Przyklęknął przed węzłem nerwowym i delikatnymi ruchami skierował wiatroplawę z powrotem przez kręte rzeki przepływające przez bagno, jeziora porośnięte liliami i akweny otwartej wody, na których unosiły się trzcinowe wyspy. Kilka zamieszkiwały niebieskie flamingi — na jego widok syczały zawzięcie i dumnie odchodziły. Od czasu do czasu spoglądał w niebo ku północy,

szukając czarnych punktów oznaczających maszyny służby bezpieczeństwa. Nie miał złudzeń — Korodore w końcu go odnajdzie, ale nie odważy się natychmiast działać: wpierw przez parę godzin będzie go starannie obserwował.

Korodore też był kiedyś młody, w przeciwieństwie do Babci, której zachowanie jednoznacznie wskazywało, że urodziła się, mając co najmniej osiemdziesiątkę.

Poza tym Korodore miał świadomość, że od jutra Dom będzie przewodniczącym, czyli z pewnego punktu widzenia jego szefem. Naturalnie nie było to w stanie skłonić go do odstąpienia od wykonywania obowiązków — Dom wątpił, by cokolwiek mogło zmusić do tego starego Korodore'a, ale...

Uśmiechnął się dumnie, płynąc prosto tam, dokąd chciał — przynajmniej poławiacze nie będą go już nazywać “czarnorękim”, choć na pełnoprawnego zielonorękiego jeszcze nie zasłużył. Ta ostatnia inicjacja mogła odbyć się tylko w głębinach podczas księżycowej nocy, gdy dagony unoszą się ku powierzchni z otwartymi muszlami o krawędziach ostrych niczym brzytwy.

Wiatropław dotarł do trzcin rosnących przy brzegu i Dom zeskoczył na ląd, pozostawiając olbrzymią roślinę dryfującą w niewielkiej lagunie. Przed nim wznosił się cel wyprawy — Wieża Jokerów, zawsze dominująca nad krajobrazem na zachodzie, teraz pogrążona w różowym blasku wschodzącego See-Why. Podstawa była wolna od

mgły, lecz szczyt pięciomilowej budowli jak zwykle krył się w chmurach. Dom przedarł się przez suche trzciny i stanął metr od gładkiej mlecznobiałej ściany.

I ostrożnie wyciągnął ku niej dłoń.

Pewnego razu Hrsh-Hgn, gdy doszedł w końcu do wniosku, że nie kończące się wykłady dotyczące ekonomii planetarnej mogą nie być interesujące dla

młodego chłopaka, wyłączył ekran, wyjął z szuflady *Kroniki galaktyczne Sub-Lunara* i opowiedział Domowi o jokerach.

— Wymień rassy, zgodnie z Aktem o humanoidach zaliczane do humanoidalnych — zaczął.

— Phnoby, ludzie, droski i Pierwszy Bank Syriański — wyliczył Dom. — Zgodnie z klauzulą pierwszą o status humanoida mogą się ubiegać roboty klasy piątej.

— Tak. A inne rassy?

— Nie jestem pewien co do jovianów i reszty, nigdy mnie o nich nie uczyłeś.

— Bo to nie było konieczne. Sssą tak obcy, że nic nasss prawie nie łączy. To, co ludzkośśś uważa za uniwersalne wśśśród rass rozumnych, na przykład poczucie tożssamośśści, to dla nich zwykły produkt raczkującej

ewolucji dwunożnych. Jedno tylko łączy wszystkie dotąd odkryte pięćdziesiąt dwie rasy: powstały w ciągu ostatnich pięciu milionów lat standardowych.

— Mówiłeś mi o tym wczoraj — przypomniał Dom. — Teoria Sub-Lunara o galaktycznym rozumie.

I wtedy phnob powiedział mu o jokerach. Pierwszą wieżę znaleźli creapii i podobnie jak nikomu potem — nie udało im się jej otworzyć. W końcu zrzucili na nią żywą matrycę nigrocayernalną. Wieżę znaleziono potem nienaruszoną, w przeciwieństwie do trzech sąsiednich systemów planetarnych. Phnoby nigdy nie odkryły żadnej wieży — nie musiały, bo na Phnobis zawsze stała jedna, wznosząca się z morza do chmur, stale pokrywających planetę. Była ona powodem i podstawą ogólnoplanetarnej religii zwanej Frss-Gnhs, czyli dosłownie kolumna wszechświata.

W czasie kolonizacji ludzie kosmosu znaleźli siedem wież, z czego jedna unosiła się w pasie asteroidów systemu słonecznego Soi. Wtedy też założyli

Instytut do spraw Jokerów. Młode rasy, jak ludzie, creapii, phnoby czy droski przyglądali się w podziwie galaktyce usianej wspomnieniami po rasie, która wyginęła

na długo, nim one się pojawiły. Z tego podziwu zrodziły się legendy, jak choćby najsłynniejsza o świecie jokerów, który stał się celem wypraw rozmaitych durni i poszukiwaczy skarbów od wielu lat...

Dom dotknął Wieży — najpierw go delikatnie zainrowiło, a potem nagle porządnie zabolalo, więc odskoczył, gorączkowo pocierając zmrożone palce. Wieże zawsze były najzimniejsze w południe, gdy pochłaniały najwięcej energii. Obchodząc budowlę, czuł emanujący z niej chłód. Wydało mu się, że powietrze w odległości pół metra od ścian ciemnieje, jakby światło także było pochłaniane przez wieżę. Nie było to prawdą, ale miało spory urok.

Koło południa na zachodzie pojawił się patrolowiec ochrony. Kierował się na północ, więc Dom ukrył się w kępie trzciny, zastanawiając się, co w ogóle jeszcze robi na bagnach. Wyszło mu, że zażywa wolności — ostatniego dnia prawdziwej wolności, w którym mógł obejrzeć sobie planetę bez kontyngentu strażników i ochroniarzy. Zaplanował to sobie, zaczynając od eksikminacji insektoidalnych robotów szpiegujących każdy jego ruch, które Korodore rozmiścił w jego pokojach i sypialni.

Naturalnie dla j ego własnego dobra.

A teraz musiał wrócić do domu i stawić czoło Babci, rlić zaczynał się czuć głupio. Zastanawiał się, czego właściwie oczekiwał po Wieży — może uczucia kosmicznego podziwu, może wrażenia powagi Czasu. Na pewno nie tego znajomego do obrzydliwości wrażenia bycia obserwowanym. Zupełnie jak w domu. Odwrócił się z niesmakiem.

Coś przemknęło obok jego twarzy z sykiem rozgrzanego powietrza i trafiło w wieżę, zmieniając się w kwiat lodowych kryształów, gdy energia zetknęła się z mrozem. Dom nie kontemplował tego, lecz odruchowo padł, przeturlał się, zerwał na nogi i ruszył natychmiast biegiem. Drugie wylądowanie minęło go o metr, wypalając linię wśród trzciny. Pognął przed siebie, tłumiąc odruch, by się obejrzeć — Korodore skutecznie wbił mu do głowy zasady postępowania w razie zamachu. Jak powtarzał szef ochrony, ciekawość zazwyczaj ma cenę życia.

Na brzegu laguny Dom odbił się i skoczył. Gdy uderzył o powierzchnię wody, trzeci strzał musnął mu pierś. Coś mu zadzwoniło w uszach i ogarnęła go kojąca zieleń pełna bąbelków...

Dom ocknął się, instynktownie nie otwierając oczu i ostrożnie badając resztą zmysłów otoczenie. Leżał na mieszance piasku, mułu, suchych trzcin i muszli, czyli na tym, co na większości Widdershins uchodziło za ziemię. Był w cieniu. Fale przyływu załamywały się niedaleko, a to, na czym leżał, kołysało się lekko w ich rytm. Powietrze pachniało i smakowało solą zmieszaną z bagnem, zapachem trzcin i... czymś jeszcze. Owo coś było dość intensywne i dziwnie znajome.

Coś lub ktoś siedział bardzo blisko. Dom uniósł jedną powiekę i dostrzegł niewielkie stworzenie, przyglądające mu się z uwagą i natężeniem. Było małe, pękate i porośnięte różowymi włosami wyrastającymi z łusek pokrywających ciało. I miało ryjek będący dziwną mieszanką dziobu i trąby. Poza tym miało trzy pary nóg (każdą inną) i było na Widdershins prawie legendą.

Za plecami Doma ktoś rozpałił ogień. Zdecydował się usiąść. Poczul się tak, jakby ktoś położył mu na piersiach rozpaloną do czerwoności sztabę.

— O juvindo may psutivi — rozległ się łagodny głos.

Zobaczył nad sobą głębę rodem z porządnego kosz-

maru: szara skóra zwisała w fałdach pod czterokrotnie większymi niż należy oczami, których źrenice przypominały pływające w mleku paciorki. Z boku znajdowały się wielkie płaskie uszy, zwrócone teraz w jego kierunku, a całość wieńczyła para przeciwsłonecznych gogli. Ponieważ phnob próbował mówić po jangilsku, Dom zebrał się w sobie i odpowiedział uprzejmie w wyłamującym szczękę phnobijskim.

— Naukowiec — odparł zwięźle phnob. — Nazywam się Fff-Ssshsss. A ty jesteś przewodniczący Sssabalosss.

— Do jutra nie jestem. — Dom skrzywił się z bólu.

— Aha. Nie próbuj sssię szybko ruszać, rana jessst powierzchowna, ale bolessna. Opatrzyłem ją, to oparzenie od ssstrzału z broni energetycznej.

Różowy stworek wciąż uważnie go obserwował.

Dom powoli odwrócił głowę — leżał na małej polance na środku pływającej wyspy, jakich wiele okalała porośnięte trzciną bagna. Wyspa płynęła powoli pod wiatr, a gdzieś z dołu dochodziło ciche, lecz wyraźne pulsowanie zabytkowego silnika deuterowego. Polanka przykryta była zgrabną siecią maskującą skutecznie przed wykryciem z powietrza. Jednak tylko wzrokowym, gdyż silniki i

mechanizm napędowy, ukryty pod grubą warstwą trzcin, mogły wykryć nawet proste urządzenia skanujące. Tylko że wokół i po bagnach krążyło sobie kilkaset tysięcy takich wysepek i nikt się nimi specjalnie nie interesował. Po dojściu do tego wniosku Dom zaczął mieć podejrzenia...

Dalszy tok myślowy przerwało pojawienie się phnoba z ciężkim tshuri. Był to nóż o dwóch ostrzach. Kff-Shs przerzucił go w zamyśleniu z ręki do ręki, obserwując nagiego Doma. Widać było, że obecność czarnoskórego człowieka wprawia go w zakłopotanie i nie bardzo wie, co ma z tym zrobić. Nim zdążył

podjąć jakąkolwiek decyzję, obaj usłyszeli, że coś nadlatuje. I że ma silniki.

Phnob skoczył w bok, odchylił kępę trzcin i wyłączył silnik, po czym padł obok Doma i przyłożył mu nóż do gardła.

— Nawet nie piśśnij! — polecił.

Obaj leżeli w ciszy i bezruchu, dopóki odgłos silnika nie ucichł w oddali.

Dom nie miał wątpliwości — phnob był przemytnikiem pilacu. Poławiacze dagonów zajmowali się zawodowo połowem pereł narkotycznego pilacu, mając na

to licencję Rady Widdershnis. Robili to setkami, w świetle księżyca, używając lin, kombinezonów z grubej skóry i skomplikowanych procedur bezpieczeństwa. A i tak w pobliżu zawsze była platforma przetwórcza ze szpitalem, bo utrata kończyn była na porządku dziennym.

Byli jednakże i inni rybacy, którzy woleli poświęcić bezpieczeństwo w imię czegoś, co nazywali podnieceniem. Zbijali fortuny, choć mieli problemy, by z nich korzystać, pracowali sami i ci, którzy przeżyli pierwsze połowy, byli niezwykle biegli i zręczni. To, co wydarli morzu, było tylko ich, ale śmierć zbierała wśród nich obfite żniwo. Rada czasami przeprowadzała przeciw nim akcje, choć bardziej z poczucia obowiązku niż z nadzieją na sukces. Obecnie złapanych nie zabijano — byłoby to sprzeczne z Przykazaniem, ale kara mogła być dla wielu z nich gorsza od śmierci. Przy ich naturze...

Phnob, zamiast od razu go zabić, wstał, trzymając nóż za cięższe ostrze.

— Skąd się tu wziąłem? — spytał Dom. — Ostatnie co pamiętam...

— Unossileśś ssię ssspokojnie wśśród lilii, ranny w pierśś. Od rana wszędzie latała bezpieka, szukając

kogośś, więc byłem ciekaw i cię wyciągnąłem.

— Dziękuję. — Dom usiadł ostrożnie. — Jak daleko jesteśmy od Wieży?

— Około czterdziestu kilometrów, a upłynęliśmy może z dwa od tego czasu.

— Czterdzieści!?! Ktoś mnie postrzelił przy samej Wieży!

— Może dobrze pływasz, jak na topielca. Dom powoli wstał, nie spuszczając wzroku z noża, którym tamten znów zaczął się bawić.

— Dużo zebrałeś pilacu? — spytał.

— Osiemnaście kilo w ciągu ostatnich dwudziestu ośmiu lat — odparł phnob, obserwując obojętnie niebo.

— Musisz być dobrym rybakiem.

— Wiele razy umierałem w innych liniach czasu. Może ten wszechświat to moja szansa, a tysiące innych, ja" już dawno nie żyją. Co do tego mają umiejętności?

Nóż niezmordowanie przelatywał z dłoni do dłoni, błyskając w świetle palącego słońca. Dom miał ochotę zwymiotować i kręciło mu się w głowie, ale zdołał pozostać na nogach, czekając na okazję.

Phnob mrugnął nagle.

— Szukam znaku — oznajmił.

— Jakiego?

— Czy mam cię zabić.

W górze przeleciał wolno klucz niebieskich flamingów. Dom odetchnął głęboko i sprężył się. Nóż pomknął w górę szybciej, niż można było dostrzec. Jeden z flamingów opadł, jakby chciał wylądować, i z łomotem spadł między trzciny. Napięcie wypełniające powietrze pękło niczym napięta struna.

Przemytnik w paru skokach dopadł flaminga, wyrwał z jego piersi nóż i zaczął oskubywać zdobycz. Po chwili spojrzał na Doma, akcentując spojrzenie ostrzem noża.

— Rada: nigdy nie myśśl o ssskoku na kogośś

trzymającego tsshuri. Sssprawiasz wrażenie kogośś, kto ma do zmarnowania wiele żyć, może dlatego łatwo ryzykujesz, ale lekceważenie noża zawsze kończy się źle. Dom odprężył się. Wiedział, że tamten ma rację.

— Poza tym wdzięcznośść to sssię już nie liczy? — dodał przemytnik. — Teraz cośś zjemy, a potem może porozmawiamy.

— Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, kto do mnie strzelał i...

— Ćśśś! Po co pytać o cośśś, na co nie da sssię odpowiedzieć? Nie można jednak wykluczyć bateru.

— Bateru?

Phnob uniósł głowę i spojrzał z niedowierzaniem.

— Nie sssłyszałeśśś o rachunku prawdopodobieńssstwa? Jutro masz zostać przewodniczącym Rady Widderssshinsss i ssspaddockobiercą fortuny, nie sssłyszałeśśś?! To najpierw porozmawiamy, potem zjemy.

See-Why przesłoniły mgły unoszące się nad mokradłami. Wyspa płynęła powoli przez mokry opar, a mgły wirowały, przybierając fantastyczne kształty. Fff-Shs wynurzył się z uplecionego z trzciny szalasu stojącego na krańcu wyspy i wskazał na otaczającą ich lepką biel.

— Radar mówi, że twoja maszyna jessst tam, o mniej niż sssto metrów, więc cię tu zossstawię.

Uścisnęli sobie dłonie, Dom podszedł do brzegu wyspy i zatrzymał się, słysząc za sobą pospieszne kroki. Phnob podbiegł doń, trzymając w ręce różowego stworka, który większość podróży przespał owinięty wokół jego szyi.

— Jutro może będą wielkie ceremonie?

— Obawiam się, że tak — przyznał z westchnieniem

Dom.

— I podarki? Taka jest procedura?

— I podarki, ale Babcia mówi, że większość będzie od tych, którzy chcą zyskać względy, i że wszystkie muszą oddać.

— Ja nie chcę względów, a tego podarku nie oddasz — oznajmił phnob, podając mu podrygującego niemrawo stworka. — Wiesz, co to jessst?

— Ig. Jedno ze stworzeń w naszym planetarnym herbie, tak jak niebieskie flamingi. Jest ich podobno tylko trzysta na całej planecie, nie mogę...

— Ten był ze mną przez ostatnie cztery miesiące. Teraz będzie z tobą. Czuję, że i tak wkrótce by mnie opuścił.

Ig przeskoczył z jego dłoni na ramię Doma, przesunął się na jego szyję i owinał wokół niej, łapiąc w pyszczek koniec ogona. I zachrapał. Dom uśmiechnął się, na co przemytnik odpowiedział podobnym grymasem i dodał:

— Wydaje mi sssię, że przynossił mi szczęśście, ale mogłem to sssobie wmówić. — Spojrzał na wschodzący na południu nadęty księżyc i zmienił temat. — Teraz jessst dobra pora na połów. — W dwóch długich krokach dopadł

brzegu wyspy i zniknął w wodzie i mgle.

Dom zamknął usta, stał przez chwilę w milczeniu, aż w końcu odwrócił się i skoczył do ciepłej o tej porze wody.

Obok jego własnego pojazdu na wodzie kołysał się ciężki patrolowiec ochrony. Ledwie Dom zaczął się wdrapywać na pokład swojej maszyny, na płaskim pokładzie patrolowca ukazała się uzbrojona postać. Nie niespodziewanie Dom znalazł się na celowniku molekularnego strippera zaskoczonego młodego policjanta. — O rany! Przepraszam, sir, nie poznałem... — Znalazłeś mnie, to dobrze dla ciebie — przerwał mu Dom. — Teraz możemy wracać do domu. — Takie właśnie mam rozkazy...

Dom zignorował go i zniknął w kabinie. Policjant popatrzył w ślad za nim, przełknął i pognął do swojej kabiny. Nim dotarł do radia, pojazd Doma był już sto metrów od niego i nabierając prędkości, oderwał się od powierzchni wody.

Wyjątek z 2001 i cała reszta: anegdotyczna historia człowieka kosmicznego autorstwa Charlesa Sub-Lunara (wyd. Fghs-Hrs & Calligna, Terra Novae).

“Wspomnieć należy o Widdershins i rodzie Sabalos,

jako że są to praktycznie synonimy. Widdershins to średniej wielkości planeta leżąca w systemie dwuplanetarnym CY Aquirii pokryta w większości wodą. Ma łagodny, choć mokry klimat, pożywienie zaś to monotonne odmiany ryb. Zamieszkują ją osobnicy wytrzymali, inteligentni i wskutek dużej zawartości nadfioletu w promieniowaniu lokalnego słońca — generalnie łysi i czarni.

Została zasiedlona w Roku Pytającej Małpy (A.S.675) przez niewielką grupę pochodzących z Ziemi ludzi i jeszcze mniejszą phnobów, ale układy międzyrasowe są tu lepsze niż na innych planetach John Sabalos założyciel dynastii — zbudował sobie dom nad rzeką Wiggly w, pobliżu jej ujścia do morza nad Wielkim Skrzypiącym Bagnem. Jediną jego umiejętnością było szczęście — dzięki niemu odkrył olbrzymie dwudyszne, żyjące w głębinach i jedynie sporadycznie pojawiające się na powierzchni, metrowej średnicy perły zawierające głównie surowy pilac Pilac okazał się jednym z leków dających długo wieczność lub — jak mawiają inni — nieśmiertelność. Występuje on w dwudziestu sześciu miejscach, ale na Widdershins jest najczystszy i stał się podstawą rodowej fortuny. John I

rozbudował dom założył sad wiśniowy, został pierwszym przewod

niczącym, gdy planeta przyjęła radę nadzorczą jako formę rządów i zmarł, mając trzysta jeden lat.

Jego syn, także John, uważany był za nicponia i darmozjadą. Pewnego razu sprowadził wielki ładunek rzadkich owoców z Third Eye — większość zepsuła się i zgniła, nim dotarła na miejsce. Wśród odpadków była zielonkawa breja, która, jak przypadkiem się okazało, miała niezwykle właściwości regeneracyjne. Dało to natychmiastowe skutki, gdyż połowy pilacu prawie ustały ze względu na niesamowicie dużo wypadków, polegających głównie na utracie kończyn. W ciągu roku wśród poławiaczy dagonów znakiem pełnoletności stało się posiadanie przynajmniej jednej kończyny o zielonkawym odcieniu, charakterystycznym dla regenerującej komórki brei.

John II kupił też piramidę Cheopsa od tsiońskiego podkomitetu Rady Ziemi i przewiózł ją w jednym kawałku na obszar nieużytków na północ od rodowej rezydencji. Kiedy zamierzał kupić Księżyc, by wymienić mniejszego i brzydkiego, ale całkiem sprawnego satelitę planety, jego

córka Joan I dokonała przewrotu pałacowego i została dyrektorem naczelnym, a pozbawionego władzy ojca przeniosła do letniej posiadłości na drugiej półkuli. Okazała się najszcześniejszą z rodu — pod jej rządami fortuna, zależąca głównie od uśmiechów szczęścia, podwoiła się. Wprowadziła leż wiele reform, między innymi prawa ludzkości.

Jej synem — bowiem znalazła czas na krótki kontrakt z kuzynem — był John III. Był on renomowanym matematykiem, zajmował się rachunkiem prawdopodobieństwa, gdy sztuka ta dopiero się rodziła. Mówiono, że była to forma ucieczki od matki i żony Vien (Ziemianki z dobrymi koneksjami, z którą kazano mu podpisać kontrakt, by wzmocnić więzi z Ziemią). Zniknął w dziwnych okolicznościach tuż przed narodzinami drugiego dziecka — legendarnego Doma Sabalosa. Uznaje się powszechnie, że miał wypadek na moczarach, zajmujących znaczną część powierzchni planety.

Młodego Doma zawsze otaczała tajemnica, a wiele historii, które o nim powstały, jest bez wątpienia apokryfami. Na przykład mówi się, że w dniu, w którym objął inwestyturę przewodniczącego Rady Widdershins..."

Gdy Dom dopłynął do nabrzeża, sięgającego daleko w sztuczny port, gdzie trzymano udomowione wiatropławy, na niebie widać już było gwiazdy, a na brzegu paliły się lampy. Część poławiaczy przygotowywała wiatropławy do nocnych połowów, a jakaś stara kobieta smażyła sporysz na węglu drzewnym. Mikroradio obok niej, którego zresztą nikt nie słuchał, nadawało stary ziemski szlagier z refrenem "masz za wielkie stopy".

Dom przycumował obok cichego kadłuba masywnej jednostki szpitalnej i po drabinie wspiał się na brzeg. Idąc w kierunku kopuł pokrywających rezydencję, zdał sobie sprawę z ciszy rozchodzącej się wokół niego niczym fale od wrzuconego w wodę kamienia. Głowy unosiły się i nieruchomiały, za to oczy obserwowały go niezwykle uważnie — nawet stara uniosła patelnię, przyglądając mu się wzrokiem, w którym było coś gorzkiego.

Gdy wspinał się powoli po stopniach prowadzących do głównego wejścia, usłyszał za plecami:

— A więc nie jak ojciec, co by tam... — i sapnięcie, gdy ktoś łokciem skłonił mówcę do milczenia.

Przy drzwiach stał robot klasy trzeciej, uzbrojony w archaiczny miotacz dźwiękowy. Widząc Doma, ocknął się,

zablokował korytarz i wychrypiał tradycyjne wyzwanie rodu:

— Stać! Kto idzie? Wróg czy Przyjaciel Ziemi?

— Naturalnie, że PZ.

Dom jak zwykle miał ochotę podać złą odpowiedź i jak zwykle nad nią zapanował: raz dokonał eksperymentu i miał dość na długo. Głuchota ustąpiła gdzieś po dwóch godzinach, za to rezonans zdemolował magazyn. Babcia, gdy się dowiedziała o wszystkim, uśmieła się do łez, choć rzadko się uśmiechała, po czym wygarbowała mu skórę, by lepiej zapamiętał, czego nie należy robić.

— Przechodź, PZ! — polecił robot.

— Któregoś dnia dowiem się, jak wychodzisz, nie uruchamiając alarmów — obiecał głos Korodore'a.

— Ale jeszcze nie teraz. Musisz się sporo nauczyć.

— Podejdź no do skanera... Dobrze widziałem: ta blizna jest świeża.

— Ktoś do mnie strzelał na bagnie, ale uciekłem.

— Kto? — spytał powoli Korodore, wykazując godne podziwu opanowanie.

— Rany, skąd mam wiedzieć?! Zresztą to było parę godzin temu i... hm...

— Za dziesięć minut jesteś w moim biurze i opowiesz mi przebieg dzisiejszego dnia z dokładnością, która ciebie samego zaskoczy. Zrozumiałeś?

Dom przygryzł wargę, lypnął wrogo i burknął:

— Zrozumiałem.

— To dobrze. Może dzięki temu nie będę szorował zębami tratwy, a ty na miesiąc nie dostaniesz aresztu domowego. — Głos Korodore'a nieco złagodniał. — Co masz na szyi? Wygląda znajomo...

— To bagienny ig.

— Rzadkość, prawda?

Dom zerknął na planetarny herb wyryty nad drzwiami — logo sadhimistów na czerwonej tarczy podtrzymywały na nim niebieskie flamingi i raczej niepodobny do siebie ig. Pod spodem wyryto, zdecydowanie głębiej, niż było to konieczne, Przykazanie.

— Znałem kiedyś przemytnika, który miał takiego — dodał Korodore. — Są o nich ciekawe legendy które chyba znasz. Możesz go wnieść do środka. Kontrolka zgasła, a robot odsunął się, robiąc przejście.

Dom przemknął przez główną część mieszkalną,

kierując się ku kuchniom, w których panowało solidne zamieszanie w związku z przygotowaniami do ju trzejszego bankietu. Wśliznął się do najbliższej, zła pał talerz z przekąskami ze stojącego przy drzwiach stołu i zniknął w korytarzu ścigany dwujęzycznymi przekleństwami. Spokojnie ruszył korytarzem w la birynt magazynów, schodów, korytarzyków i schowków, aż dotarł na niewielki dziedziniec. Położono m nim dach z przydymionego plastiku, przez który na wet See-Why wyglądało ponuro. W plastik wtopiono płataninę cienkich rurek rozpylających stale wodę dzięki czemu na dziedzińcu cały czas mżyło. Na środ ku zbudowano szałas z trzciny, ale próba wyhodowania grzybów i porostów na otaczającym go terenie niezbyt się powiodła. Dom odsunął przemoczony materiał osłaniający wejście i wszedł.

Hrsh-Hgn siedział w płytkim basenie pełnym letniej wody i czytał sześcian w świetle oliwnej lampki. Na powitanie machnął ręką o podwójnym stawie i przyjrzał się Domowi jednym okiem.

— Dobrze, że jesssteśśś, posssluchaj: “Ssskama formacja dwadzieśśścia kilometrów na południe od Ram py na Third Eye zdaje sssię zawierać ssskamielin dotyczące nie

tylko przeszłości, ale i przyszłość: które..."

Phnob skończył nagle i ostrożnie odstawił sześcian na podłogę, po czym przyjrzał się uważnie Domowi wpierw jego minie, potem bliźnie, a na koniec igowi wciąż owiniętemu wokół szyi.

— Udajesz — ocenił Dom. — Choć robisz to dobrze, lepiej niż Korodore czy nawet poławiacze na nabrzeżu,

— Cieszymy się naturalnie, że wróciłeś bezpiecznie.

— A wyglądasz, jakbyś zobaczył nieboszczyka. Phnob mrugnął.

— Hrsh, jutro zostanę przewodniczącym rady, co niewiele znaczy...

— To bardzo zaszczytne stanowisko.

— ...bo i tak cała władza nadal należeć będzie do Babci. Uważam natomiast, że przewodniczący powinien wiedzieć parę rzeczy. Na przykład dlaczego nigdy nie mówiłeś mi o rachunku prawdopodobieństwa i co się stało... jak zginął mój ojciec? Słyszałem od poławiaczy, że to było na moczarach.

Zapadła tak głęboka cisza, że ig się obudził i zaczął energicznie drapać.

— No — ponaglił Dom — jesteś moim nauczycielem.

— Powiem ci po jutrzejszej ceremonii. Teraz jest późno... Jutro wszystko ci wyjaśnię. Dom popatrzył na niego ze smutkiem.

— Ciekawe, czy jeszcze kiedyś ci zaufam — powiedział cicho. — To jest ważne, a ty nadal udajesz.

— Tak? A jakie uczucia staram się ukryć?

— Myślę, że... strach — odparł Dom. — I żal... ale przede wszystkim przerażenie. — I wyszedł. Hrsh-Hgn odczekał, aż jego kroki ucichną w oddali, i złapał za komunikator.

— I co? — rozległ się głos Korodore'a, czekającego na połączenie.

— Był tu! Prawie mu powiedziałem! Był w stanie mnie odczytać! Jak mogliśmy do tego dopuścić?!

— Nie dopuściliśmy: próbujemy temu zapobiec, jakbyś zapomniał. I to z całych sił. Ale to i tak się wydarzy, albo siedemdziesiąt lat rachunku prawdopodobieństwa pójdzie do ścieku.

Ktośś powiedział mu o rachunku prawdopodobieństwa i Dom pytał mnie o ojca. Ostrzegam cię:

jak zapyta jeszcze raz, to mu powiem.

— Naprawdę?!

Phnob spuścił wzrok i zamilkł.

**Tej nocy dagony, kierując się odwiecznym instynktem,
unosily się licznie, przez co połów był niezwykle obfity.**

Poławiacze uznali to za omen. Nie byli

**tylko pewni, czy jest on dobry, czy zły. Znaleźli też
o świcie niewielką, na wpół zatopioną wyspę, dryfującą
nad głębiną. Była zupełnie pusta.**

Korodore bezgłośnie szedł pustym korytarzem, rozjaśnionym jedynie światłem poranka wpadającym przez okna. Korodore był masywny i muskularny. Natura obdarzyła go nie wiedzieć czemu okrągłym obliczem radosnego rzeźnika wieprzowego, co miało swoje zalety — żaden bowiem rzeźnik (a już na pewno nie wieprzowy) odruchowo nie poruszał się bezgłośnie i w cieniu.

Drzwi otworzyły się nagle, toteż wszedł tam i krótkim korytarzykiem dostał się do dużego okrągłego pomieszczenia. Ogień na kominku zmienił się w kupkę białego popiołu. Izba była tak skąpo umeblowana, że dawała się obrzucić jednym spojrzeniem: wąskie łóżko, stół i krzesła wykonane ze skorupy dagona, szafa i znak sadhimistów na miedzianym tle wiszący na ścianie stanowiły całe umeblowanie. Do wyposażenia należało jeszcze doliczyć trzy oznaki władzy mieszkańca: zrolowana mapa w dużej skali, obejmująca równikowe obszary

planety, niewielka szafka na akta i zegar wskazujący standardowy czas galaktyki.

Z tą prostotą tym bardziej kontrastowały akcesoria rachunku prawdopodobieństwa: od rozsypanej talii kart zreformowanego tarota, których kryształowe obrazy nie były chwilowo aktywne, przez nieco denerwujący wzorek na ekranie przenośnego komputera aż do gorących węgli w niewielkim metalowym

naczyniu stojącym na blacie. W powietrzu unosił się dym o dziwnym ponurym zapachu, co oznaczało, że Joan wyłączyła emocje...

Joan I uniosła głowę znad otwartej czarnej księgi leżącej na stole i spytała:

— Też nie możesz spać?

Korodore znacząco podrapał się po nosie.

— Jak pani wie, szefowie służb ochrony nigdy nie śpią.

— A, tak... wiem. — Potrząsnęła głową. — To było pytanie retoryczne. Obok kominka jest kawa.

Nalał jej filiżankę, podał i powoli zaczął zbierać rozsypane karty. Przyglądała mu się uważnie, przyzwyczajona, że porusza się bez hałasu.

— Ponownie sprawdziłam równania — odezwała się.
— Obliczenia mojego syna są właściwe, nic się nie zmieniło, co naturalnie wiedziałam już wcześniej: sprawdzono je wystarczająco dokładnie. Zrobił to nawet sam Sub-Lunar... Dom zostanie zabity dziś w południe. Nie pozwolą mu żyć... I co ty na to?

— Chodzi pani o moje reakcje na świadomość, że obojętne jakie bym przedsięwziął środki ostrożności i cokolwiek bym zrobił, osoba, którą chronię, i tak zostanie zamordowana? Otóż są one żadne, nadal postępuję tak, jakbym o niczym nie wiedział — wyjaśnił, kładąc talię na stół. — Poza tym nie wierzę w to. Można powiedzieć, że nie do końca. Można też powiedzieć, że moją reakcją jest nadzieja.

— To się zdarzy.

— Nie będę udawał, że rozumiem rachunek prawdopodobieństwa, ale jeśli wszechświat jest tak uporządkowany, tak... niezmienny, że przyszłość można przewidzieć na podstawie paru cyfr, to po co się w ogóle wysilamy i żyjemy?

Joan wstała, podeszła do szafy i wyjęła z niej perukę o białych włosach sięgających pasa.

— Rzeczywiście nie rozumiesz — przyznała nieco zaskoczona. — Żyjemy dlatego, że jest to lepsze rozwiązanie od samobójstwa. Ten wybór zresztą ludzie mieli zawsze, nawet gdy sądzili, że przyszłość jest wiadrem możliwości.

Korodore nie odzywał się.

— Nie mamy pewności, jak on zginie — dodała po chwili. — Ty lub ja także możemy być wybrani przez Instytut do...

— Sprawdziłem nas sondą podświadomą, RGD, posthipnozą...

— Przepraszam, zapomniałam, że wierzysz w związek przyczynowo-skutkowy. Nie wiesz, że w nieskończonej totalitarności wszystkich wszechświatów gdzieś tak właśnie będzie? Istnieje gdzieś wszechświat, w którym wkrótce zmienisz się w...

— Lepiej nie snuć takich rozważań, madame — mruknął cicho, lecz wyraźnie.

— Masz mi to za złe — nadąsała się.

— Jest pani zbyt stara, madame, na fochy — oświadczył, spoglądając wymownie na złoty dysk na jej głowie, oznaczający, że żyje ponad sto lat. — Ale faktycznie mam za złe; to zatrąca magią i czarami.

— Nie studiowałam dokładnie żadnych przedsadhimistowskich religii.

— Jak pani sobie życzy... Co się stanie, jeśli Dom nie zginie?

— To niewyobrażalne. Nasz wszechświat jest uporządkowany, więc mój syn zginie. W pewnym sensie cały wszechświat zależy od tego. Gdyby nie zginął, mógłby na przykład odkryć planetę jokerów, a to byłoby straszne.

— A jeśli nie?

Włożyła perukę i otworzyła okno wychodzące na morze. Wraz z przyływem wracała flota rybacka oświetlona słabym blaskiem niebieskiego słońca. Na

horyzoncie pobłyskiwała Wieża Jokerów — jedyny jasny punkt na bagnach.

— Jest zbyt gorąco, by spać — odezwała się. — Skończę to i zejść na nabrzeże.

— Mysticów prawa wszechświata? — Korodore wskazał na księgę.

— Są naszymi księgowymi, co się liczy, zwłaszcza w trudnych chwilach — odparła ostro, zastanawiając się, dlaczego go nie zwolniła.

Wyszło jej, że oprócz jego niesamowitej skuteczności

powodem było też, że pochodził z Ziemi. A mogły istnieć jeszcze inne niezliczone powody.

Odwróciła się i powiedziała:

— Jeśli chodzi o Doma... rachunek prawdopodobieństwa to młoda sztuka i wątpię, by istniał ktoś na tyle zdolny, by ją dobrze znać. Nawet Instytut nie wie wszystkiego.

— Dom może wiedzieć. Jego nauczyciel twierdzi, że jest niezwykle przenikliwy. Nie kwestionuję pani rozumowania: jeśli jest to rzeczywiście nieuniknione, być może lepiej, żeby nie wiedział. Faktycznie należy do typu, który Instytut zwalcza wszelkimi możliwymi sposobami.

— Jak widzisz, nie potrafimy znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania.

— Być może zadaje pani niewłaściwe pytania, madame. — Korodore wzruszył ramionami.

RACHUNEK PRAWDOPODOBIENSTWA:

“Podobnie jak teoria względności czy Przykazanie sadhimistów, dziewięć równań rachunku daje przykład zwodniczo prostej iskry inicjującej wielki wybuch

społecznych zmian (...) Rachunek prawdopodobieństwa lub, jak czasami; jest określany, matematyka prawdopodobieństwa, przewiduje przyszłość — tak powie ktoś niedouczone. Tysiąc lat temu powiedziałby: « $E=mc^2$ » i byłby przekonany, że rozumie wszystko i ma matematyczną wyobraźnię (...)

Rachunek prawdopodobieństwa powstał z założenia, że działamy w czymś naprawdę nieskończonym w przestrzeni i czasie bez granic, w których znajduje się niezliczona liczba światów, czyli w czymś tak wielkim, że to, co nazywamy wszechświatem przyczynowo-skutkowym, przypomina blask rzucany przez świeczkę na wielkim ciemnym polu. Do tej sytuacji znajdują zastosowanie jedynie słowa Don Kichota: «Wszystko jest możliwe...»

(...) udowodnione odkryciem Wewnętrznych Planet Protostar 5. Wówczas ludzkość mogłaby mieć pewność, choć opartą ledwie na ziarenku dowodu. Po każdej «stronie» znajdowałyby się alternatywne wszechświaty, których jest niezmiernie dużo, gdyż różnicą może być orbita jednego elektronu. Im dalej, tym różnice muszą być większe, aż dochodzi się do granic wyobraźni i ma się do czynienia z wszechświatami, w których nigdy nie było

czasu, gwiazd, przestrzeni czy rozsądku. Rachunek prawdopodobieństwa precyzuje możliwe linie czasowe w naszym wszechświecie. Można by też powiedzieć, że przywrócił nauce jej istotę z czasów, gdy na wpół była sztuką, gdy stworzenie odbierano jako cudowny, dokładnie wyregulowany zegar, którego wszystkie części współgrają, by...

(...) Jak słusznie zauważył Sub-Lunar, w początkowym okresie do skutecznego posługiwania się rachunkiem prawdopodobieństwa potrzebne były pewne predyspozycje psychiczne, najczęściej wrodzone i dość specyficzne — wielu najlepszych praktyków było nieuleczalnymi wariatami, być może właśnie dlatego, że tak dobrze rozumieli zasady nowej nauki. Nie licząc tej grupy, do której należał sam Sub-Lunar, pozostali odznaczyli się wysokim wykształceniem i niesamowitym szczęściem. Szczęście naturalnie jest funkcją talentu w wypadku praktyków. Wielu z nich pracowało dla Instytutu Jokerów. Obie te cechy bardzo wyraźnie widać u członków rodziny Sabalos z planety Widdershins. Dla tych, którzy nie wiedzą nic o tej planecie, wyjaśniam...

(...) tuż przed narodzinami syna i własną śmiercią na

bagnach z ręki nieznanego zamachowca John III obliczył, że chłopak zginie w dniu objęcia stanowiska przewodniczącego Rady Planetarnej. Szansa, że tak się nie stanie, jest tak znikoma, że miliard do jednego wydaje się przy niej pięćdziesięcioprocentową możliwością. Tak?... Przepraszam, być może powinienem to wyjaśnić.

Załóżmy, że nie odkryto by rachunku prawdopodobieństwa. Na Ziemi istniało zwierzę zwane koniem i dawno temu ludzie zdali sobie sprawę, że jeśli pewna liczba tych zwierząt będzie biegła na określoną odległość w określonych warunkach, jeden okaże się szybszy od pozostałych, skąd...

(...) wracając do rzeczy: otóż istnieje ciekawa anomalia związana z rachunkiem prawdopodobieństwa, a dotyczy ona jokerów. Ta na wpół mityczna rasa, która pozostawiła po sobie materialne i przeważnie gigantyczne artefakty rozsiane po galaktyce, według rachunku prawdopodobieństwa nigdy, nigdy nie istniała..."

Słowa te wygłosił Jego Gorącość doktor CrAarg +458° na nieformalnym wykładzie dla studentów uniwersytetu Dis.-A.S.5, 201.

Dom obudził się wcześniej i długi czas spędził, gapiąc się w sufit, a konkretnie w pokrywające go znajome malowidła wykonane własnoręcznie przez pradziadka. Dominowały w nich intensywne zielenie i błękity, a największe przedstawiało trzech przesadnie muskularnych poławiaczy walczących z rozwścieczonym dagonem. Było to bzdurą obraźliwą dla dagonów, które nie miały systemu nerwowego, nie wspominając o możliwości myślenia. One po prostu reagowały.

Ig siedział na umywalce — zdołał odkręcić kurek górnymi kończynami, dziwnie zresztą przypominającymi dłonie, więc zadowolony wlaź pod strumyk ciekącej wody. Widząc, że Dom się ocknął, zgrzytnął niczym paznokcie po szkło, co według poprzedniego właściciela było oznaką wielkiego zadowolenia.

— Inteligencik, co? — spytał retorycznie Dom, wyłączając pole ogrzewające powietrze i wychodząc z łóżka.

Zobaczył starannie złożone ubranie i przygryzł wargi: ig, ładnie zagojona blizna na piersiach i parę bolesnych wspomnień z rozmowy z Korodore'em — to wszystko, co pamiętał z dnia wczorajszego. A dziś miał zostać przewodniczącym i właścicielem trzech procent przemysłu

pilacowego, ale na zasadach sadhimistowskich, co oznaczało, że należy starannie ukrywać, iż się jest bogatym. Do jego obowiązków będzie należało przewodniczenie niezliczonej liczbie spotkań, narad i komisji, raz do roku zdanie raportu na Generalnym Dorocznym Zebraniu. Raportu, który mu naturalnie napiszą, co Hrsh-Hgn wielokrotnie podkreślał. Przewodniczący był równie niezbędny radzie jak zero matematyce, ale bycie zerem miało poważne niedogodności...

Matematyka... coś o matematyce powinien pamiętać, bo było ważne... no nic, w końcu sobie przypomni. Umył się, wbił w grube szare ubranie wizytowe

***i* wybrał perukę z krótkich złotych włókien. Rozległo się uprzejme pukanie do drzwi.**

— Zgoda — oznajmił głośno.

Drzwi puściły i do pokoju wpadła Keja, która natychmiast rzuciła mu się na szyję, płacząc, śmiejąc się i ściskając go równocześnie. Przez moment miał nieodparte wrażenie, że jej jedwabny strój go udusi, ale w następnym siostra odsunęła się i przyjrzała mu się uważnie.

— No, panie przewodniczący — powiedziała i pocałowała go. Oderwał się od niej tak taktownie, jak tylko

umiał.

— Jeszcze nie jestem przewodniczącym...

— Ale będziesz za parę godzin. Nie wydajesz się specjalnie zadowolony, że mnie widzisz.

— Uwierz mi, że jestem, tylko... ostatnio gwałtownie zaczęły działać się różne rzeczy...

— Słyszałam: przemytnicy i cała reszta. Podniecające? Dom zastanowił się.

— Nie — ocenił po chwili. — Raczej dziwne.

Keja omiotła wzrokiem wnętrze, w którym pełno było rozmaitych rzeczy brata — stary brendikiński analizator, półka zastawiona muszlami, hologram Wieży Jokerów czy sześciątów pamięciowych leżących wszędzie, gdzie było w miarę płasko i równo.

— Nic się tu nie zmieniło — oceniła, marszcząc nos, i zakręciła się przed wysokim lustrem. — Wyglądam na mężatkę?

— Nie wiem. Jaki jest ten Ptarmigan? — Ceremonia kontraktacyjna odbyła się dwa miesiące temu i Dom zapamiętał jedynie dużego żwawego mężczyznę w starszym wieku.

— Jest miły. I bogaty naturalnie. Nie tak bogaty jak

my, ale bardziej to okazuje i lepiej korzysta z pieniędzy. Jego dzieci jeszcze do końca mnie nie zaakceptowały... Powinieneś zjawić się z oficjalną wizytą, Dom. Laoth to takie gorące i suche miejsce... Właśnie, przywiozłam ci stamtąd prezent. — Podeszła do drzwi i wróciła z robotem niosącym niewielkie pudełko. — Jest klasy piątej i jednym z naszych najlepszych.

— Robot? — zdziwił się Dom, spoglądając z nadzieją na pudełko.

— Prawnie rzecz biorąc, humanoid. Jest całkiem żywy, tylko mechaniczny. Podoba ci się?

— Bardzo! — Dom podszedł do wysokiej metalowej postaci i stuknął ją palcem w pierś. Robot spojrzał na niego z góry.

— Zawsze mnie zastanawiało, co nami kieruje, że budujemy nieefektywne roboty humanoidalnego kształtu zamiast miłych opływowych, dostosowanych do określonych zadań.

— Duma, proszę pana — poinformował go robot.

— Nieźle. Jak się nazywasz?

— Rozumiem, że Isaac, proszę pana

Dom podrapał się w ciemność — w rezydencji pełno było

robotów, głównie milej i głupiej klasy trzeciej. Pamiętał je od najwcześniejszego dzieciństwa — miały śmiertelnie nudne głosy i delikatne ręce. Matka, która rzadko opuszczała swoją kopułę, nie cierpiała ich, podobnie zresztą jak żadnych robotów, i aby ograniczyć kontakty z nimi, sama sobie gotowała. Uważała, że są przygłupami, a jedyne uczciwe roboty to te budowane na Laoth. Teraz miał z takim do czynienia i nie bardzo wiedział, jak się zachować.

— Hmm... Isaac, możesz być trochę mniej oficjalny?
— spytał w końcu.

— Jasne, szefie.

— Widzę, że zaczynacie się rozumieć, a jak jeden drugiego będzie się starał dalej przechytrzyć, to nie będziecie się nudzić — oceniła Keja. — Muszę lecieć.

Aha, Babcia kazała ci powiedzieć, żebyś zszedł do głównej jadalni na pracujące śniadanie.

— Przez ostatni tydzień Hrsh-Hgn dał mi na ten temat ze dwadzieścia wykładów — westchnął Dom.

Keja, która zmierzała zwawym krokiem ku drzwiom, stanęła nagle jak wryta.

— Co to jest? — spytała piskliwie, wskazując na umywalkę. Dom uniósł zmoczonego stworka za fałdę na

karku.

— Bagienny ig — wyjaśnił, mrugając nieco nerwowo.
— Nazwałem go Ig. Znalazłem go... sędzę, że go znalazłem wczoraj na mokradłach... ja... no, trochę mi się wszystko miesza.

Przyjrzała mu się z nagłą troską.

— To pewnie przez to podniecenie — wymamrotał uspokajająco.

— Może. — Keja przeniosła wzrok na Iga. — Ale on i tak jest brzydki.

— Przepraszam panią, ale on to to — zadudnił robot.
— To hermafrodyta, czyli obojnak, czyli bezpłciowiec. Mam pełne oprogramowanie dotyczące zwierząt żyjących na tej planecie, proszę pana... to jest, szefie. Właśnie.

— I nie miej do mnie pretensji, jak złapiesz zoonssa — dodała Keja i wypadła na korytarz.

— Co?! — zdziwił się Dom, spoglądając na Isaaca.

— Zarazę, na którą zapadają prawie wyłącznie ludzie. Nie ma takiej szansy, szefie.

Robot podszedł i wręczył mu pudełko gestem tak zdecydowanym, że gdyby chłopak go nie złapał, miałby je na nogach.

Puszczony wolno ig wylądował miękko na podłodze i zajął się obwąchiwaniem stopy robota. Dom otworzył pudełko.

— Gwarancja, instrukcja obsługi i prawo własności — wyrecytował Isaac.

Dom wytrzeszczył na niego oczy.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś moją własnością? — wycharczał po paru sekundach.

— Ciałem i hipotetycznymi nadnaturalnymi dodatkami, szefie. — Robot cofnął się pośpiesznie, gdy Dom próbował mu oddać pudełko. — W żadnym *razie*, szefie. Nie pochwalam samowłasności.

— Rany, ludzie o to walczyli przez prawie trzy tysiące lat!

— Ale roboty dobrze wiedzą, po co zostały stworzone, szefie. Nie odczuwam jakoś neodpartej ochoty odkrycia największych sekretów naszej budowy. Mam inne problemy.

— Nie chcesz być wolny?!

— I co? Mieć Boga i wszechświat na głowie? A tak w ogóle to nie powinien szef być już na śniadaniu?

Dom gwizdnął i Ig wdrapał się po nim na swoje stałe

miejsce spoczynku. Posłał robotowi niezbyt życzliwe spojrzenie i wyszedł.

Tradycja nakazywała, by w dniu mianowania przewodniczący jadł śniadanie samotnie. Dom przemierzał puste korytarze, ale ze znajomym uczuciem bycia pod obserwacją. Tym razem akurat mu to nie przeszkadzało, a stary Korodore jak zwykle usiał okolice miniaturowymi pluskwami, jak od wieków nazywano rozmaite urządzenia podsłuchowo-podglądające. Plotka głosiła, że Korodore sprawdzał nawet siebie.

Główna kopuła wykonana była w połowie z przezroczystego pancernego plastiku, dzięki czemu rozciągał się z niej widok na sad, lagunę, bagno i Wieżę na horyzoncie, wyglądającą niczym maszt flagowy, z którego powiewały chmury. Jej widok coś Domowi przypominał, ale nie był w stanie dojść co, więc dał

sobie spokój. Przy końcu długiego stołu piętrzyła się góra prezentów — bądź co bądź kończył właśnie pół planetarnego roku. U drugiego końca znajdowało się pojedyncze nakrycie i para robotów kelnerów. No i naturalnie krzesło. Dom zaplanował posiłek długo i

starannie. Miał też wiele koncepcji, ale w końcu wybrał menu wszystkich dotychczasowych przewodniczących. Było to słynne menu — według Nowszego Testamentu był to także posiłek, jaki spożył Sathim, gdy został Tayem Ziemi: ćwierć kromki czarnego chleba, dzwonko solonego suszonego śledzia, jabłko i szklanka wody.

Menu pozostało takie samo, ale Dom wprowadził pewne odmiany. I tak: mąkę przywieziono z Third Eye, ryba była z Widdershins, za to sól wydobyto na Terra Novae, jabłko zaś pochodziło z Earth's Avalon. Wodę stopiono z cząstki komety i łącznie posiłek kosztował jakieś dwa tysiące standardów. Pewne odmiany prostoty były znacznie kosztowniejsze od innych.

Korodore, wychowany na Terra Novae, czyli na koncentratkach żywnościowych, obserwował jedzącego Doma ze słabo skrywanym obrzydzeniem, choć nad nudnościami zapanował już dość dawno: w końcu nie był to pierwszy posiłek, jaki podglądał. Obraz pochodził z kamery w robomoskicie siedzącym wysoko pod kopułą. Przełączył obraz na zewnątrz, gdzie na zachodnim trawniku zbierali się goście — większość już przybyła i

kręciła się wokół długiego, suto zastawionego stołu. Co najmniej połowę stanowiły phnoby — wielu z buruku, czyli kolonii otaczających Tau City. Rozpoznał bez trudu dyplomatów — wysokich ciemnych samców alfa w goglach przeciwsłonecznych. Mniej ważni i z zasady lepiej przystosowani do światła stali w milczących grupach, toteż chwilę zajęło mu odnalezienie Hrsh-Hgna. Po czwartej zmianie pluskwy odnalazł go czytającego w cieniu balonowca.

Półmrok centrum dowodzenia ochrony rozświetlały głównie ekrany, nad którymi pochylali się oficerowie — tylko Korodore wiedział, że pod szklarnią na północnym trawniku znajdowało się drugie, niniejsze stanowisko, którego obsługa kontrolowała dyżurnych pracujących w centrali. A prywatny obwód bezpieczeństwa, do którego jedynie on miał dostęp, obserwował obserwujących. W rezydencji zaś znajdował się niewielki biokomputer, który sam tam umieścił, po czym wymazał sobie ten fragment pamięci, który był zaprogramowany na obserwowanie jego poczynąń.

Ponownie przełączył obraz na gości — tu i ówdzie w tłumie widać było duże złote jaja, czyli przedstawicieli rasy

creapii. Doświadczenie nauczyło go, że byli niegroźni — niezwykle rzadko mieszała się w sprawy planet, na których woda pozostawała w stanie ciekłym. Jeden trzymał talerz z krzemowymi kanapkami i od czasu do czasu przenosił którąś do skomplikowanej śluzы ciśnieniowej przed aparatem gębowym. Gawędził przy okazji z Joan I, majestatycznie przystrojoną w czarny mnemoatłas i purpurowy kaftan Dany — kapłanki sadhimistów w negatywnym aspekcie Nocticula Hecate, czyli Pani Nocy i Śmierci, mówiąc po ludzku. Wybór stroju nie był specjalnie taktowny. Joan I uśmiechnęła się do creapii i odwróciła do ukrytej kamery, unosząc dłoń. Korodore włączył dźwięk.

— I jak? — spytała, kolejny raz zaskakując go umiejętnościami subartykulacji.

— Śniadaniuje. Jedzenie trzykrotnie sprawdzone na okoliczność trucizn. Reszta też.

— A jego reakcje na wczorajsze przeżycia?

— Żadnych, bo gdy spał, zablokowałem mu na parę godzin pamięć krótką...

— Jak śmiałeś!

— Wolałabyś, żeby poznał prawdę, pani? Gdybym tego nie zrobił, tak właśnie by się stało. Nawet gdyby musiał

ją siłą wytrząsnąć z Hrsh-Hgnu.

— Powinieneś mnie spytać!

Korodore westchnął i sięgnął po sześcian pamięci.

— Przykro mi, ale obecnie pani stopień dostępu do spraw ochrony wynosi tylko 99,087 procent, najprawdopodobniej wskutek głębokich impulsów freudowskich, ale chwilowo sam muszę podejmować tego typu decyzje. Jak już powiedziałem, nie jestem skłonny akceptować rachunku prawdopodobieństwa i jego prorocत्व. Jeśli pani chce, madame, pani wola.

Wyłączył dźwięk. Joan I przez chwilę stała nieruchomo, próbując się z nim skontaktować, nim się odwróciła i zajęła ożywioną konwersacją z wysokim mężczyzną reprezentującym Radę Ziemi. Korodore zaś przełączył obraz na jadalnię — Doma nie było na ekranie. Dopiero zmiana pluskwy ujawniła, że po prostu znalazł się poza zasięgiem pierwszej kamery, ponieważ zainteresował się prezentami.

Dom otworzył pierwszą paczkę i wyjął z niej antygravitacyjne sandały jeszcze pokryte cienką warstwą oliwy. Była do nich przyczepiona kartka:

“Od twojego ojca chrzestnego. Zjaw się kiedyś i poorbituj wokół mnie. Robi się czasem strasznie samotnie”.

Uśmiechnął się i włożył je.

Przez parę minut miotał się między wspornikami kopuły i orbitował wokół żyrandola, nim zatrzymał się nieco niepewnie sześć cali nad podłogą. Sandały,

jak podejrzewał, były najlepszym prezentem: reszta nie będzie równie interesująca.

Od Hrsh-Hgna dostał sześcian pamięci. Gdy uaktywnił indeks, parę centymetrów nad powierzchnią wyświetliły się białe litery strony tytułowej: “Szklane Zamki. Historia studiów nad jokerami autorstwa doktora Hrsh-Hgna, dedykowana przewodniczącemu Dominickdanielowi Sabalosowi z Widdershins”, a pod spodem drobniejszymi literami: “Numer jeden z limitowanego wydania w jednym (1) egzemplarzu. Wykonano na krzemie szafranowym z Third Eye”.

— Niezwykłe gustowny i wysoce stosowny prezent — ocenił Isaac.

Dom przytaknął ruchem głowy i przypadkowo wybrał fragment tekstu.

“(…) zagadką galaktyki. Jak powiedział Sub-Lunar,

dla młodego umysłu stanowią część galaktycznej mitologii: Szklane Zamki na Północnym Wietrze Galaktyki. Wieże te zbudowano, nim najstarsza z oficjalnie uznanych humanoidalnych ras odkryła wykorzystanie kamienia. Są one pomnikami rasy (...)"

Odłożył sześcian i otworzył prezent od Korodore'a.

— Wygląda niebezpiecznie — zauważył Isaac.

Dom uśmiechnął się, ostrożnie ujmując mnemomiecz, który z prawie niewidocznym rozmyciem zmienił się w mnemonóż, a po paru sekundach w mnemomiotacz.

— Na Ziemi i Terra Novae używa się mieczy, tak? — spytał z namysłem. — Na Laoth też?

— Owszem, ale z uczciwymi metalowymi ostrzami. Są bardziej paradne, ale i satysfakcjonujące niż miotacze. To to nie jest porządny miecz: to jest wyspecjalizowane narzędzie mordy i proszę nie mówić, że przesadzam.

— Pyskaty jesteś — ocenił Dom z zadowoleniem.

— Dawniej nie byłbym uważany za żywego, szefie.

Prezenterem od Joan była prosta czarna szata, na wypadek gdyby został przyjęty na członka ceremonialnego klatchu sadhimistów, od matki zaś dostał prawo własności jednej z jej prywatnych posiadłości na Ziemi. Prezent był

zbyt kosztowny, co było typowe dla lady Vian: zawsze tak postępowała przy tych rzadkich okazjach, gdy pamiętała, że ma syna.

Reszta prezentów była od członków rady, dyrektorów i szefów podkomisji — większość droga, zbyt droga, by mógł je zatrzymać, ale tak naprawdę miał ochotę jedynie na jeden z nich: prawo własności robota-konia od Hugagana, szefa stosunków planetarnych.

— Wyprodukowany na Księżycu! — prychnął pogardliwie Isaac, zaglądając mu przez ramię. — Może i dobry, ale gdzie mu tam do naszych z Laoth. One żyją!

— Chyba będę musiał odwiedzić Laoth — mruknął Dom, przyglądając się z namysłem robotowi.

— To klejnot wszechświata, zapewniam, szefie.

Dom roześmiał się, sprawdził, czy Ig trzyma się mocno, i uaktywnił pierścień kontrolny — sandały podniosły go tak, jak chciał, i wyleciał przez otwieraną od środka klapę w kopule. Wytracił wysokość spiralą nad laguną, gdzie pasły się oswojone wiatroplawy matki. Ig ożywił się, powiercił i zajął wachaniem wiatru. W dole wiatroplawy przestały się paść i utworzyły koło — Vian spędzała

godziny, wbijając w ich roślinne mózdzki zasady tak prostych sztuczek.

Ten widok coś mu zaczął przypominać, ale niewyraźnie, więc przestał na to zwracać uwagę i zwiększył wysokość, wśród huku pękających owoców przeleciał przez otaczające trawnik balonowce i brawurowo wyhamował cal nad trawą. Joan I podeszła do niego uroczyście i pocałowała go znacznie czulej

niż zazwyczaj. Spojrzał zdziwiony w jej szare oczy, ale jak zwykle nic z nich nie był w stanie wyczytać.

— Jak się czujesz, wnuku, w tym uroczystym dniu? — spytała.

— Jakby świat do mnie należał, madame — odparł. — Ale ty, pani, wyglądasz na zmęczoną.

Wyglądała, prawdę mówiąc, na kogoś, kto wyłączył uczucia, tylko skoro tak, to dlaczego tak się martwiła?

— Zawsze jest człowiekowi ciężko, gdy dziecko wkracza w świat dorosłych. Teraz przestań błaznować: czas, żebyś poznał, kogo trzeba.

Powoli zbliżyła się do nich lady Vian, kryjąc twarz za ciężką szarą woalką. Wyciągnęła białą dłoń, więc Dom przyklęknął i ucałował ją.

— Wejście pana świata — powiedziała. — Kim jest twój metalowy przyjaciel?

— To Isaac, pani. Robot, który nie chce wolności.

— Wszystkich nas skuwają łańcuchy — odparła poważnie. — Nawet jeśli tylko szans i entropii. Czyż jokery nie skrępowały nawet gwiazd?

— Ma pani rzadki dar trafiania w sedno. — Isaac się skłonił.

— Jesteś zarozumiała, robocie, niemniej jednak dziękuję ci. Dom, wolałabym, żebyś darował to różowe muzeum ogrodowi zoologicznemu czy komukolwiek. To zwierzę!

Ig podrapał się, poniuchał i syknął przeciągle. Dom spojrzał nad ramieniem matki i zobaczył wysokiego mężczyznę w długim niebieskim płaszczu z ciężką złotą obrożą. Mężczyzna uśmiechał się, a widząc, że Dom na niego patrzy, mrugnął i wskazał w górę. Dom spojrzał w niebo — stado flamingów zakręcało właśnie nad rezydencją. Przez moment tworzyły koło, a potem z powolnymi uderzeniami skrzydeł odleciały nad morze.

Korodore westchnął z ulgą — jeśli nie liczyć rozpylenia trucizny w powietrzu, jedyny atak mógł być ręczny

albo machowy. Trawnik zresztą spowijała filtrująca mgła, toteż trucizną mógł się nie przejmować, a atak fizyczny był z góry skazany na niepowodzenie: ukryte, strategicznie rozmieszczone strippery były w stanie ostrzelać praktycznie każdego z gości.

Pozostała oficjalna procesja przez miasto — Dom miał iść, reszta jechać. Miał mieć na sobie jedynie ołowiano-żelazny łańcuch, znak urzędu. No i siedem rozmaitych typów pola ochronnego, którego generatory znajdowały się w ogniwach łańcucha. Trasa naturalnie znajdowała się na podsłuchu i podglądzie wszystkich ludzkich światów i paru nieludzkich. Część z nich próbowała go przekupić... Korodore nagle pochylił się nad ekranem. W pole widzenia kamery wszedł raptem mężczyzna w niebieskim płaszczu i spojrzał prosto w obiektyw... był to przedstawiciel Rady Ziemi na Tau City, średnio ważny, nowo mianowany. Mężczyzna uniósł lewą nogę i stał, balansując na prawej...

— Madame, zbliżenie faceta w niebieskim płaszczu...
Geralle, masz go w celowniku?

— Mam, szefie. Zdjąć go?

Korodore zastanowił się: Ziemia jest potężna, a stanie

na jednej nodze trudno uznać za przygotowanie do zamachu.

— Poczekaj.

Mężczyzna wyciągnął lewe ramię i wskazał pierwszym i czwartym palcem prosto na centrum dowodzenia. Przymknął oko i zdawał się celować. Korodore zdecydował się sprawdzić, jak tamten zachowa się bez nerwu wzrokowego, ale polecenia już nie zdążył wydać — potężna eksplozja rzuciła go na bok. Wylądował w przysiadzie ze stripperem w garści i natychmiast skoczył w bok, gdy druga eksplozja zniszczyła konsolę uzbrojenia. Ta wraz z obsługującym ją oficerem i początkiem jego krzyku zmieniła się w nicość.

Goście uprzejmymi brawami wyrazili umiarkowany aplauz, Dom zaś uniósł się na parę metrów nad ziemię i powiedział:

— Dziękuję wam wszystkim i proszę, by duch świętego Sadhima, jak i pomniejsi bogowie wszystkich ras dali mi...
— przerwał mu głuchy huk eksplozji w rezydencji.

Odgłos wybuchu przypomniał mu trzask wystrzału ze strippera przy Wieży Jokerów, a zaraz potem blokada pamięci puściła i wspomnienia zalały go falą na

podobieństwo zielonej wody wczoraj...

Na niebie pojawił się szybko rosnący punkt. Gdzieś z oddali usłyszał krzyk matki i w jego polu widzenia pojawił się wyciągnięty w skoku Korodore. Miał dymiące ubranie, pęcherze na dłoniach i krew na twarzy, ale przykrył go z wprawą swym ciałem, krzycząc coś, czego pogrążony we własnym śnie Dom nie zrozumiał.

Mężczyzna w niebieskim płaszczu podszedł lekko i znieruchomiał w teatralnej pozie. Ig zawył.

Korodore odbił się od Doma, trzymając oburącz stripper, zaklął, puścił dymiącą kolbę i skoczył ku wyciągniętej ręce mężczyzny.

Nad osmalonym trawnikiem pojawiła się kula nieświatła i krajobraz się zwinął. See-Why było jasnym słońcem, ale na tle oślepiająco jaskrawego nieba wydało się Domowi ciemne...

Zrozumienie jest pierwszym krokiem do kontrolowania. Obecnie rozumiemy rachunek prawdopodobieństwa, ale gdybyśmy go kontrolowali, każdy byłby magiem, należy więc mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie, nasz wszechświat bowiem to chwiejny domek z atomów, trzymających się kupy jedynie dzięki związkowi przyczynowo-skutkowemu. W takich warunkach jeden mag to o dwóch za dużo.

Charles Sub-Lunar, *Płacz kontinuum*

Ryba pływa — rrsst!

Ptak lata — rrsst!

Wiewiórka biega — gsrsss!

Koło sssię obraca

I wszyssstko jessst jednośśścią.

Muszę krzyczeć, a nie mam usst.

Muszę biec, a nie mam ssstóp.

Muszę umrzeć, a nie mam życia.

Koło sssię obróciło

I wszysstko jessst jednośśścią!

pieśń pogrzebowa,

region Głębokich Skał, 5 Wysp, Phnobis

Szum morza

**Oddychać? Ale nie mógł oddychać. Dźwięk
przychodził i odchodził niczym przyływ. Niósł dziwną
harmonię, ciepło i miękkość.**

Dom unosił się gdzieś w oddychającym morzu.

**Pojawił się przed nim mężczyzna ubrany w starą
brązową szatę sadhimisty — kapłana gotowego do
ceremonii Durnonocy. Miał znajomą twarz. Jego twarz.**

— Nie bądź durniem! Jestem twoim ojcem.

**— Cześć, tato. To naprawdę ty? John Sabalos
wzruszył ramionami.**

**— Naturalnie, że to nie ja. Jestem projekcją twojej
nieświadomości. Hrssh-Hgn niczego cię nie nauczył?!
Cholera, powinienes być martwy! To byłoby tyle, jeśli
chodzi o rachunek prawdopodobieństwa.**

— Tato, co się ze mną dzieje? Postać zaczęła blaknąć.

— Nie wiem — odparła. Stawała się przezroczysta. —
To twój sen. I zniknęła.

Hrssh-Hgn stał przed znajomym ekranem.

— W niessskończonym wszechśśświecie wszyssstko
jessst możliwe, łącznie z tym, że ten wszechśśświat nie
issstnieje — oznajmił. — Do zobrazowania tej teorii sssłużą
wykresssy...

— To nie teoria, tylko zwykła hipoteza — zapro-
testował Dom.

— Aha, uwaga na paradoksssy! Bo jak ma sssię wolno
latający po wszechśśświecie paradoksss, to ma sssię poiyt.

— CO?!

— I rozważmy... Phnob zniknął. Pojawił się Isaac.
Szedł wolno przez mgłę.

— To roboty też są wpuszczane do tego snu? — zdziwił
się, patrząc na Doma. — Bo już myślałem, że siedzą gdzieś z
tyłu bez prawa wstępu. Więc tak, szefie: chodzi o to, że tak
naprawdę to jest szef dziedzicznym przewodniczącym
Rady Ziemi, ale z powodu przewrotu pałacowego...

— Nie! — sprzeciwił się zdecydowanie Dom: to nie

brzmiało właściwie.

— Nie? Dobrze. Ma szef uzdolnienia wynikające z pokoleń starannej reprodukcji i wystarczy, żeby dał szef hasło, a hordy...

— Spróbuj wszechświata za następnymi drzwiami.

— Też nie?! Dobrze. Ten wszechświat tak naprawdę nie istnieje i nie da się szefa dłużej oszukiwać. To wszystko jest sprawką wyłącznie szefa wyobraźni i dlatego tajna organizacja nazywana Rycerzami Wieczności...

— Już ci mówiłem: prosto i pierwsze drzwi na lewo.

— Znowu nie to? No dobra, prawda jest brutalna: szef jest zupełnie nieważny, ale ma bransoletę wykonaną przez Boga wszechświata, który chce ją odzyskać. Więc szef musi zebrać paru kumpli godnych zaufania, jak dajmy na to ja, i udać się w trudną i długą podróż aż do ogni Rigel i...

— Dość!

— Tylko chciałem podtrzymać szefa na duchu. — Robot uronił rtęciową łzę. — My, freudowskie projekcje osobowości, też mamy uczucia!

Dom.

— Ktoś ty?

Dom, słyszysz mnie?

— Słyszę. Kim jesteś?

Dom, jeśli mnie nie słyszysz, to co widzisz?

— Widzę?!

O tym jakoś dotąd nie pomyślał, a faktycznie gdzieś z góry docierało doń światło o zielonkawym odcieniu.

Dobrze. Jesteś w stanie pseudośmierci, ale nie wiesz, co to znaczy. Potrzebujemy twojej pełnej współpracy. Potrzebujemy dostępu do twojej pamięci osobniczej. Będziesz wykonywał nasze polecenia?... Dobrze. Chcemy, żebyś wyobraził sobie, jak wyglądasz. Pokażemy ci jak...

Jakiś czas później Dom mógł obejrzeć siebie śpiewającego, tańczącego i ruszającego wszystkimi mięśniami. Nawet tymi, o których istnieniu prawie nie wiedział. Potem głos kazał mu to zrobić powtórnie.

A potem jeszcze raz.

Powoli napływało zrozumienie — głos należał do operatora zbiornika z breją. A raczej wszystkich operatorów po kolei. Widział kiedyś poławiaczy po szczególnie ciężkiej nocy — uśmiechali się głupawo, zanurzeni w zbiorniku bladozielonkawego płynu, poruszając

zregenerowanymi zielonymi kończynami. Słyszał, jak jeden z chirurgów mówi, że dzięki temu roztworowi można zregenerować człowieka, z którego został jedynie jakiś tam konkretny fragment mózgu określany jako mommet...

Nie!

Dom zaskoczony zastanawiał się, co “nie” — czuł panikę operatora, więc zaczął zadawać pytania.

Błyskawicznie zapadła ciemność.

Znowu wokół panowało zielonkawe światło, ale zupełnie nie miał ochoty zadawać jakichkolwiek pytań. Nowy głos powiedział:

Myśl spójnie. Musisz oddychać, a mamy jeszcze przed sobą sporo roboty. Myśl o czymś konkretnym, a najlepiej rób to na głos. Zaczynaj.

Domowi mimowiednie przyszedł do głowy *Zielony Paternoster* — ostatnie słowa, jakie wymawiał jako dzieciak przed wdrapaniem się do łóżka na zakończenie wieczornych modłów zaczynających się nieodmiennie od “Boże, błogosław domowe roboty”. Teraz była to bezsensowna klepanina, częściowo rymowana, ale wciąż łatwo wbijała się w pamięć i miała jakąś moc...

**Zielony Paternoster, Sadhim był mi ojcem
uratował mnie pod zatrutym drzewem
Z kości był i z krwi
dobre jedzenie przysłał mi.
Jedzenie dobre i powietrze też...**

Dobrze.

**...zostać Pezetem i stanąć na dwa
czytać w książce, którą wielki bóg...**

Bardzo dobrze.

**...otwórz i uratuj mnie,
Martwe tak jak chcę.
Przepołów ludzkości raster
i zmów Zielony Paternoster!**

**W naglej ciszy rozległ się całkiem wyraźny głos: —
Dom, masz struny głosowe i oddychasz. Masz też usta, więc
jest chyba coś, co bardzo chcesz zrobić... Było.**

Dom Wrzasnął.

Dom przyjrzał się swemu odbiciu w pełnowymiarowym lustrze — uznał, że wszystko ma na swoim miejscu i to działające bez zarzutu. Zbiornik pod dyktando jego umysłu zduplikował ciało wraz z paznokciami i zębami, za to bez blizny na piersiach. Odruchowo pomacał to miejsce, doskonale pamiętając wydarzenia, które do tego doprowadziły i które potem nastąpiły.

Z boku dostrzegł Isaaca, który podszedł i podał mu ubranie. Ubrał się powoli, nie przestając się przyglądać swemu odbiciu. Różnica była jedna, za to zasadnicza — poprzednio był smoliście czarny i uczciwie łysy dzięki dużej ilości ultrafioletu w promieniowaniu See-Why i odpowiednim zastrzykom. Teraz miał włosy do pasa, o podobnym jak reszta ciała, zielonym zabarwieniu. Jak wyjaśnił niewielki lekarz rasy creapii, zarządzający zbiornikami, posługując się kolokwialnym janglijskim:

— To się nazywa breja, ale tego, ma się rozumieć, nie muszę ci mówić. Zaczynałem na tratwach szpitalnych, ale od czasu tych prymitywnych regeneracji kończyn przeszliśmy daleką drogę. To zielone coś jest na swój

sposób żywe: można powiedzieć, że ma pan pod kontrolą wysoce skomplikowany organizm, panie przewodniczący. Organizm odpowiadający pańskiemu prawie do stopnia atomowego... ma to zresztą swoiste plusy: zwiększona odporność na ciepło na przykład... Co?... Aa, tak, w pańskim wieku to pytanie jest całkowicie zrozumiałe. Otóż pańskie dzieci będą ludźmi pod każdym względem. Proszę mnie dobrze zrozumieć: to jest pańskie ciało, nie jakiś zielony śluz. Kolor?... obawiam się, że chwilowo jeszcze nic na to nie poradzę, za jakieś dziesięć lat nie będzie śladu zieleni w regenerowanych ciałach, ale teraz musi tak zostać. A co do włosów, to ich brak nie jest jeszcze dziedziczną cechą mieszkańców Widdershins. Przykro mi, ale teraz jest to proces odtwarzający oryginał bez możliwości poprawek — razem z brodawkami i resztą. Zanim pan stąd wyjdzie, chciałbym pokazać panu szpital, wiem, że pracownicy chcieliby spotkać się z panem... nieoficjalnie. Dumny jestem, że mogę uścisnąć pana górną mackę chwytną.

Dom dopiął kołnierz i spytał:

— Jak wyglądam?

— Bladozielone, szefie. — Isaac wskazał na niewielkie plastikowe pudełko. — Tu są kosmetyki, przysłała je lady

Vian.

Dom ponownie spojrział w lustro — breja próbowała naśladować kolor skóry, na ile było to możliwe, ale i tak wyglądał jak po rocznej kuracji miedziowej. Podczas rekonwalescencji oglądał informacje o sobie — poławiacze na przykład byli niezwykle dumni z przewodniczącego, który był całkiem zielony, i nic a nic nie przeszkadzało im, że nie jest to efekt polowania.

Reakcja matki wskazywała natomiast, że ma dużą szansę obrazić dygnitarzy spoza planety.

— Zabierz je, najlepiej wyrzucić — polecił. — A poza tym zieleń to święty kolor.

Przed szpitalem czekało sześciu ochroniarzy wyprężonych na baczność i Hrsh-Hgn z szybkostrzelnym stripperem molekularnym wcale nie wyprężony, za to wyglądający mocno niepewnie.

— Pasuje do ciebie — powitał go Dom.

— Jessstem pacyfissstą i filozofem, a to jessst barbarzyńsstwo! — odparł urażony phnob.

Weszli na pokład barki przewodniczącego. Ledwie wystartowała, otoczyło ją pięć maszyn eskorty. Dom

niewidzącym wzrokiem wpatrzył się w krajobraz.

— Kto zastąpił Korodore'a? — spytał po chwili.

— Darven Samhedi z Laoth.

— Dobry fachowiec. — Na Widdershins potrzeba było czegoś więcej, by być dobrym szefem ochrony. — Co o nim sądzą phnoby?

— Podobno nienawidzi kształtów. Zobaczymy. —j
Hrsh-Hgn spojrział z góry na Doma. — Lubieś Korodore'a?

— Nie zachęcał do przyjaźni, ale... zawsze tu był, prawda?

— Rzeczywiście.

Dom spojrział wymownie na Isaaca.

— Jeśli teraz powiesz choć jedno złośliwe słowo...

— Nee powiem, szefie. Co prawda uważam, że był nieco zanadto zakochany w mikrokamerach, ale to pewnie zboczenie zawodowe. Był w porządku. Oplakuję go.

Cztery miesiące temu ktoś go zabił, próbując zabić Doma.

Dom zamierzał się dowiedzieć kto i dlaczego.

Mżyło, gdy wylądowali w drugim domu rodu

Sabalosów — niewielkiej, otoczonej murem pancernej kopule w pobliżu centrum administracyjnego Tau City. Na spotkanie wyszli wszyscy, nawet lady Vian otulona ciężkim płaszczem i nieco szczęśliwsza, że znajduje się w mieście. Co prawda nie była to kosmopolityczna metropolia, ale w porównaniu z rezydencją, zawsze stanowiła odmianę.

— To nie jest naturalny kolor — były to jej pierwsze słowa od rozpoczęcia obiadu.

Samhedi i służba podsłuchiwali z szacunkiem, a Joan I po uprzejmym pytaniu o zdrowie się nie odzywała. Ponieważ Dom zignorował zaczepkę matki, zmuszona była spojrzeć na niego i spytać konkretnie:

— Dlaczego nie użyłeś kosmetyków, które ci posłałam?

Dom, spojrzał na najbliższego stojącego ochroniarza: miał jedną rękę zieloną i łatę tegoż koloru, ciągnącą się od oka do kołnierza uniformu. Widząc jego spojrzenie, mężczyzna mrugnął porozumiewawczo.

— Wolę w ten sposób — odparł.

— Perwersyjna próżność — oceniła Joan I — ale zgadzam się z tobą. Łaciatego wnuka bym nie zniosła, ale na szczęście jesteś jednobarwny. A zieleń to święty...

— Owszem, to kolor ziemskiego chlorofilu — prze-

rwala jej Vian. — Tylko że tu roślinność jest niebieska.

Joan I spojrzała na logo sadhimistów wyryte na suficie, a potem przeniosła spojrzenie na synową, mrużąc oczy. Dom przyglądał się temu z zainteresowaniem — prawdopodobnie zbyt dużym, gdyż Babcia to wyczuła. Złożyła powoli serwetkę, wstała i oznajmiła:

— Czas na wieczorne modły. Dom, za godzinę chciałabym cię widzieć w swoim gabinecie. Musimy porozmawiać.

Gdy Dom wszedł, Joan I wskazała mu gestem krzesło. Powietrze w pokoju było gęste od kadzideł, sam zaś pokój poza niewielkim biurkiem, parą krzeseł i standardowym ołtarzykiem w rogu był pusty. Nie czuło się tego jednak — Joan I miała wypróbowany od lat sposób wypełniania pustej przestrzeni swoją obecnością.

Na jednej ze ścian wysokimi na stopę literami wypisano Przykazanie. Joan I zamknęła księgę rachunkową i zaczęła się bawić nożem o białej rękojeści.

— Za parę dni będzie Plackoduszny Piątek i Święto Pomniejszych Bogów — zagaiła. — Zastanowiłeś się może nad przystąpieniem do klatchu?

— Nie bardzo — przyznał Dom, którego religijna przyszłość chwilowo zupełnie nie interesowała.

— Boisz się?

— Można to tak ująć, bo to raczej ostateczna decyzja. A ja nie jestem pewien, czy sadhimizm zawiera wszystkie

odpowiedzi.

— Masz naturalnie rację, lecz zadaje wszystkie właściwe pytania — przerwała na moment, jakby nasłuchując głosu, którego Dom nie mógł usłyszeć.

— To konieczne? — spytał.

— Klatch? Nie, ale trochę rytualności nikomu jeszcze nie zaszkodziło, a tego właśnie oczekują po tobie.

— Jest jedna sprawa, którą chciałbym wyjaśnić.

— Nie krępuj się. ;

— Dlaczego jesteś taka nerwowa? Odłożyła nóż i westchnęła.

— Bywają takie dni, kiedy wzbudzasz we mnie przemożną ochotę trzaśnięcia cię w nos. Oczywiście, że jestem nerwowa, a niby jaka mam być w tych warunkach...? Dobrze: mam wyjaśnić, czy będziesz pytał?

— Uważam, że mam prawo wiedzieć, o co tu chodzi. Ostatnio sporo mi się przydarzyło, a mam dziwne wrażenie, że wszyscy poza mną wiedzą, o co chodzi.

Joan I wstała, podeszła do ołtarza i wdrapała się nań, siadając wygodnie i majtając nogami.

— Twój ojciec, a mój syn był jednym z najlepszych matematyków zajmujących się rachunkiem praw-

dopodobieństwa. O ile wiem, dowiedziałeś się już, co to takiego rachunek prawdopodobieństwa. Istnieje on od około pięciuset lat, ale dopiero John go uporządkował i pokazał jego prawdziwe możliwości. Przewidział efekt pothole, a gdy został on udowodniony, rachunek z zabawki stał się narzędziem. Możemy wziąć minutową część kontinuum, dajmy na to człowieka, i przewidzieć jego przyszłość we wszechświecie. John obliczył twoją przyszłość, byłeś pierwszym człowiekiem kwalifikowanym w ten sposób. Zajęło mu to siedem miesięcy i bardzo byśmy chcieli wiedzieć, jak zdołał tego dokonać w tak krótkim czasie, bo nawet Bank nie potrafi tego obliczyć w czasie krótszym niż rok. Twój ojciec był geniuszem, przynajmniej jeśli chodzi o rachunek prawdopodobieństwa. W stosunkach międzyludzkich... nie był nawet zbliżony do przeciętności...

Przyjrzała się wyczekująco Domowi, ale nie dał się złapać na tę przynętę, więc kontynuowała:

— Został zabity na mokradłach, jak wiesz.

— Wiem.

John Sabalos spojrzał ku odległej Wieży ponad pobłyskującymi w blasku słońca mokradłami. Dzień był

pogodny i słoneczny, co się nieczęsto zdarzało. Oceniał analitycznie swe uczucia, stwierdził, że jest zadowolony, i uśmiechnął się. Następnie włożył do nagrywarki kolejny sześcian i wrócił do pracy.

“I dlatego wykonałem to przewidywanie dotyczące mojego syna. Zginie on w dniu swych półrocznych urodzin, licząc według lat Widdershins, czyli w dniu, w którym obejmie urząd przewodniczącego Rady Planety. Zabije go jakaś odmiana wyładowania energetycznego. — Przerwał na parę sekund, by uporządkować myśli, po czym podjął wątek: — O zabójcy nie potrafię nic powiedzieć, choć próbowałem się dowiedzieć na kilka sposobów. Wszystko, co osiągnąłem, to dziurę w równaniach, mającą kształt człowieka, choć nie jestem tego do końca pewny. Jeśli tak jest, to wokół niego kontinuum przepływa jak woda wokół skały. Wiem, że ucieknie, bo widzę go jak pustkę z cieni, widoczną na tle waszych akcji. Sądzę, że pracuje dla Instytutu Jokerów i że to oni desperacko próbują zabić mojego syna”.

Przerwał, wyłączył nagrywarę i spojrzał na równanie: było wypieszczone i wypolerowane, doskonale niczym blok agatu. Słowem: było piękne. Jego wzrok

przyciągnął błysk Wieży. Jeszcze nie była odpowiednia pora. Jeszcze z godzinę...

“Teraz, Dom, stoisz zaskoczony i zaszokowany — podjął. — I co widzisz? Twoja babka ma zdeterminowaną minę, jak zawsze w sytuacji kryzysowej. Jak się udało przyjęcie? Dom, jesteś moim synem, ale jak się przekonujesz, mam wiele dzieci: niezliczone miliardy. Zresztą raczej miałem, bo w nieskończonej ilości wszechświatów są martwe, tak jak obliczyłem. Ty jesteś granicą błędu, leżącą daleko po przecinku. Studiujący rachunek prawdopodobieństwa szybko

zrozumie, że takich błędów nie da się uniknąć: przy miliardzie do jednego może się zdarzyć, i to, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć nie nastąpi, nie zmienia faktu, że każdą sytuację można sprowadzić do dwustronnego równania. Przystudiowałem dokładnie i ciebie, i ten jedyny wszechświat, w którym przeżyłeś. Oddzielił się on od głównego nurtu wszechświatów w chwili, w której nie umarłeś. Wszechświaty przypominają nieco gwiazdy i większość zachowuje się zgodnie z przewidywaniami, ale w niektórych jeden odmienny zakręt powoduje dziwne wydarzenia, kończące się supernowymi czy innymi

czarnymi dziurami. Są to dzikie wszechświaty, pękające pod wpływem przeciążeń wywołanych paradoksami albo... nieważne. Spróbuję ci pomóc, na ile potrafię, bo będziesz tego potrzebował. Twój niedoszły zabójca pochodzi z twojego obecnego wszechświata, rozumiesz? Chciał zapobiec odkryciu przez ciebie czegoś, co zwiększy twoje szansę i możliwość dodania jeszcze większych zmian w tym wszechświecie. Sądzę, że to, co cię uratowało przed śmiercią, także pochodzi z twojego wszechświata. Co to takiego, nie mogę ci powiedzieć, bo gdybym to zrobił, obciążenie wywołane paradoksem rozerwałoby twój wszechświat. Uwierz mi!"

Odłożył nagrywarke i wyszedł do sekretariatu, co wywołało ożywienie robota sekretarza.

— Gdyby ktoś pytał, poszedłem do Wieży — poinformował robota. — To nie potrwa długo.

— Tak, panie przewodniczący.

— Na moim biurku znajdziesz sześcian pamięci. Wyślij go, proszę, pani dyrektor.

— Tak jest, panie przewodniczący.

John Sabalos zamknął drzwi i wrócił do biurka. Ubrany był jeszcze w ciemnobrązowe szaty z wczorajszego

święta — nie spał, ale czuł się wspaniale.

Było to całkowicie fałszywe uczucie: znajomość przyszłości to nie to samo co jej kontrolowanie. Tyle że czuł się, jakby ją kontrolował. Uruchomił nagrywarke i dokończył:

“Mogę ci na koniec powiedzieć trzy rzeczy: odkryjesz świat jokerów, jeśli będziesz patrzył we właściwą stronę, twoje życie będzie w niebezpieczeństwie, a po trzecie... spójrz w górę, w róg pokoju, i uciekaj najszybciej, jak potrafisz”.

Odstawił nagrywarke, wyjął z niej sześcian i wyłączył urządzenie. Gdzieś w okolicy wschodniego trawnika ktoś kiepsko grał na chlongu. John wyszedł. Od strony kopuły kuchennej dochodził klekot starego elektrycznego komputera Joan, co znaczyło, że zajmowała się rachunkami domowymi. Odetchnął głęboko — coś dodawało głębi jego zmysłom i dopiero po chwili zrozumiał co: świat był niczym wino, a to był jego ostatni dzień na świecie... Zabiją go, nim odkryje świat jokerów. Dom powinien mieć więcej szczęścia.

Jego osobista maszyna kołysała się na falach przy nabrzeżu. Wsiadł, uruchomił silnik i ruszył, próbując

opanować dzikie podniecenie — w końcu śmierć to poważna sprawa.

Głos ojca umilkł i sześcian zgasł. Dom spojrzał w górę. Coś małego połyskiwało w rogu pokoju niczym drobina metalowego kurzu. Usłyszał niezwykle ostry i wyraźny głos Joan:

— Samhedi, w moim gabinecie jest następna. Przygotuj się.

— Co to jest? — zainteresował się Dom, obserwując unoszący się błysk, który jakby urósł.

— Skolapsowany proton. Wyjaśnia ci to coś?

— Jasne. Tak jak w silniku matrycowym.

— Sądząc po wyglądzie, właśnie pochłonął własny atom. To, co widzisz, to kątowy efekt świetlny. Ten proton jest zdalnie sterowany.

Dom spostrzegł nagle, że oboje stoją nieruchomo niczym posągi, a w następnej chwili zrozumiał coś jeszcze...

— Już gdzieś widziałem coś takiego.

— Wir grawitacyjny pierwszego takiego protonu omal cię nie zabił. Jeśli się poruszysz, sytuacja może się powtórzyć. Byłeś kiedyś wessany przez dziurę o

mikronowej średnicy?

— Uhm.

— Przepraszam, to było bezmyślne. Jeśli Samhedi nie dotrze tu szybko, to oboje nie będziemy musieli się już niczym martwić.

— Udusimy się, bo wyższe powietrze z pokoju? Joan skinęła głową i prawie równocześnie z głośnika rozległ się głos Samhediego:

— Kiedy powiem, połóżcie się na podłodze, z dala od środka pomieszczenia... teraz!

Padając, Dom dojrzał metalową kulę wielkości srebrzystego winogrona. Gdy przeturlał się na plecy, kulka unosiła się o metr nad jego głową, złapana w pole matrycowe jeszcze wciągał powietrze niczym minitornado, ale można go było wyciągnąć z pokoju. Zrobiono to, uzyskując w ścianie dziurę o poszarpanych brzegach. Na zewnątrz rozległy się krzyki i szum generatora. Dom pomógł Babci wstać.

— Chyba byliście na to przygotowani — ocenił.

— Bardzo rozwinięta profilaktyka. Kilka dni po twoim wypadku wymyśliliśmy, jak się pozbyć tego cholerstwa. Konkretnie to twój robot na to wpadł.

— Statek odpada, bo przebije się przez podłogę... to co wymyślił Isaac?

Przez dziurę widać było zebrany na trawniku sprzęt i ludzi. W centrum ich zainteresowania była mikroskopijna czarna dziura. Srebrzysta kula pojawiła się w punkcie wykręcającym nerwy wzrokowe, a kręcący się wokół ludzie targani byli wiatrem wiejącym donikąd. Trzej ustawili pod nią wysoki cylinder opleciony zwojami matrycy.

— Powinno wyglądać imponująco — orzekła Joan.

— Chyba wiem, o co chodzi; dno jest zamknięte, a pole zapobiega dotknięciu przez to srebrne ścianek. Od góry wlatuje powietrze.

Samhedi, przekrzykując wiatr, wydał komendę i srebrzyste coś, co wyglądało jak oko złośliwie przyglądające się Domowi, zniknęło w cylindrze.

Nastąpiła eksplozja.

Wysoko w górze cylinder zasysający cały czas powietrze osiągnął prędkość dźwięku i wciąż przyspieszając, pognął ku gwiazdom.

— Zgrabnie — ocenił Dom. — A jak trafi w słońce? Nie, na górze czeka pewnie statek. I co dalej?

— Zamknie się cylinder i wyrzuci w przestrzeń. Isaac

chciał znaleźć normalną czarną dziurę, ale to za bardzo przypomina zaproszenie do zniszczenia wszechświata. Hrsh-Hgn proponował nadanie mu połowy prędkości światła: źródłem napędu powinien być wodór, którego sporo jest w przestrzeni.

— Aż prędzej czy później zrobi dziurę w czyjejs planecie na drugim końcu wszechświata. — Dom spróbował się uśmiechnąć.

— Nieźle ci idzie — pochwaliła go niespodziewanie.

— Tobie też, babciu.

— Tylko dlatego, że jestem niezła w odłączaniu. Kiedy zdecyduję się włączyć uczucia, nie będziesz miał okazji mnie oglądać.

Domem wstrząsnęło — wiedział, jak wyglądają ludzie wracający z wycieczek w stanie odłączenia, gdy na powrót uaktywniają swe uczucia. Była to dyscyplina narzucana jedynie w sadhimistycznych klatchach — można było przez wiele dni czy tygodni żyć bez uczuć i było to ponoć wspaniałe doznanie czysto intelektualnej siły, zdolnej rozwiązywać problemy dotąd maskowane przez mozaikę uczuć. Jedynym problemem były odbite wspomnienia i zablokowane uczucia, gdy się je włączyło. Wtedy dobrze było

mieć koło siebie kogoś, kto rozwinałby kłębek nieszczęścia, w jakie zmieniał się ów odłączony (można by używać łomu), i położył go do łóżka (najlepiej z kulą w głowie).

— Ile czasu jesteś odłączona?

— Od obiadu cztery miesiące temu. Ale nie o to chodzi: wygląda na to, że ty opanowałaś tę technikę, i to bez narkotyków.

— Nie wierz w to.

— A ty mi uwierz, że nigdy nie słyszałam tego ostatniego kawałka nagrania. Tego, w którym mówił do ciebie, a...

— Zrobił to na wszelki wypadek, mógł założyć blokadę czasową, jeśli dobrze obliczył, kiedy będę wyleczony, albo inne zabezpieczenie. Jest wiele sposobów.

— I co będziesz teraz robił? — spytała dziwnie napiętym głosem.

— Wygląda, że mam do odkrycia świat jokerów. Połowa sześcianów historycznych twierdzi, że coś takiego nigdy nie istniało.

— Nie mogę ci na to pozwolić.

— Dopóki go nie odkryję, nie będę bezpieczny, sama słyszałaś.

— Twój ojciec mógł popełnić kolejny błąd. Być może istnieje jedna szansa na milion. Dom, po raz trzeci ktoś próbował cię zabić.

Odruchowo cofnął się, słysząc jej ton, więc zrobiła krok ku niemu.

— Pierwszy raz zanurkowałem w bagno i wypłynąłem czterdzieści kilometrów dalej. Drugi raz coś uratowało najważniejszy kawałek mnie. Ktoś próbuje mnie uratować i chcę się dowiedzieć, kto to robi i po co.

Cofnął się kolejny krok, docierając do drzwi, które grzecznie się otworzyły, toteż odwrócił się i wybiegł czym prędzej.

Sadhimizm — konserwatywna religia panteistyczna, założona z zimną krwią przez Arte Sadhima (ś.p.), władcę Ziemi w latach 2001-12. Dokumenty z epoki sugerują, że dogmaty, rytuały i obrządek wymyślił on w ciągu jednej doby, wykorzystując bez skrupowania fragmenty druidyzmu, praktyk magicznych, wudu i *Podręcznika przetrwania dla statku kosmicznego Ziemia*. Jako religia sprawdziło się nieźle. Osiągnął

zamierzony skutek, jakim było zaszczepienie ludziom myślenia środowiskowego. Potem religia zaczęła żyć własnym życiem i przerosła swego założyciela. Sadhim został rytualnie zamordowany przez sektę odszczepieńców zwaną Kwiatki Ścieżki Lewej Dłoni w Dobry Piątek, czyli w Noc Długich Szat...

Charles Sub-Lunar, *Religie setek światów*

Dom leżał na łóżku, czytając długi i nieskładny list od siostry. Była zadowolona, że czuje się lepiej, życie na Laoth było nawet przyjemne, miała lecieć z oficjalną wizytą na Ziemię, pierwszy raz w życiu widziała śnieg (przysłała mu chłodzony pojemnik z paroma płatkami), a Ptarmigan wybudował jej ogród, który Dom naprawdę powinien obejrzeć...

Do pokoju wsunął się cicho, na dobrze naoliwionych stopach, Isaac.

— I co?

— Wszędzie kupa wartowników, szefie, a po tej śmierdzącej żabie nie...

— Zaczynasz być rasistą na tle kształtu.

— Przepraszam, szefie, ale to jest żaba! Kucharz mówi, że przeniósł się do buruku.

Dom zapiał sandały antygrawitacyjne.

— W takim razie odszukamy go — zdecydował. — Tylko on w okolicy wie więcej niż trzy słowa o jokerach. A mnie się zdaje, że będziemy szukać świata jokerów.

Isaac skinął głową w milczeniu.

— Nie zapytasz dlaczego? — zdziwił się Dom.

— Poczekam, aż szef sam powie.

— To ci powiem od razu: wygląda na to, że muszę w końcu wypełnić proroctwo obliczeniowe ojca. Ostatnio coś mi nie wychodziło. A po drodze chcę się dowiedzieć kilku rzeczy... wiesz o trzeciej próbie zabicia mnie?

— Owszem, o wszystkich innych też. Dom przestał upychać rzeczy do sakwy i spytał wolno:

— Ilu innych?

— Razem siedem. W szpitalu było zatrute jedzenie, meteoryt omal nie trafił w elektrownię, maszynę, która szefa przewoziła, atakowano dwa razy, i była jeszcze jedna czarna dziura w szpitalu, gdy szef był jeszcze w zbiorniku.

— I żadna się nie powiodła...

— Tylko dzięki dużej dozie szczęścia: jedzenie za-

łatwiło paru kucharzy, meteoryt...

— Dziwne te zamachy i mało skuteczne... — Dom zastanowił się i dołożył do bagażu różowy sześcian od Hrsh-Hgna oraz mnemomiecz od Korodore'a. — Nie jestem tu bezpieczny, to jedno jest pewne. I najlepiej będzie, jak się zaraz wyniesiemy póki ciemno!

— Tylko niech szef nie lata, bo się szef usmaży: Samhedi wszędzie wzdłuż ścian i sufitów ustawił ekrany siłowe. Możemy spróbować na piechotę, ale musi mi szef kazać użyć niezbędnej siły.

— Użyj.

— Pełnym zdaniem, bo to idzie do mojej pamięci.

Nie można rozebrać robota za wykonywanie rozkazów: Jedenaste Prawo Robotyki, klauzula C z poprawką.

— Wydostań mnie stąd, używając niezbędnego do tego minimum siły — wyrecytował Dom.

Robot podszedł do drzwi i zawołał stojącego na korytarzu strażnika. A potem palnął go w czubek głowy.

— Idealnie — ocenił własne rękodzieło. — Akurat żeby ogłuszyć, za mało, żeby rozbić. W drogę, szefie.

Buruku było dzielnicą zbudowaną na przedmieściu,

gdzie suchy ląd opadał już w stronę bagna. Wyglądało niczym pole wielkich grzybów, przykryte wielką szarą kopułą. Każdy grzyb był chatą uplecioną z trzcin, przy czym niektóre były naprawdę imponującej wielkości. Kopułę tworzyło słabe pole siłowe, utrzymujące wewnątrz wilgotne i nieruchome powietrze, polaryzowało też światło, dzięki czemu wszystko pod nią było pogrążone w półmroku i wyglądało podziemnie. Powietrze było lepkie, duszne i śmierdziało rozkładem — Dom miał nieodparte wrażenie, że jeśli głęboko odetchnie, coś zacznie mu rosnąć w płucach. Było to miejsce, które dziesięć tysięcy phnobów nazywało domem.

Im bliżej centrum, tym chaty stały ciaśniej, przetykane alejkami i wieżami o niepokojąco organicznym wyglądem. Pomimo iż było dobrze po północy, sklepy wciąż były otwarte, sprzedawano w większości niedosuszone grzyby, ryby i używane sześciiany. Z większości chat dochodziły strzępy nawiedzonej muzyki chlong, ulice zaś pełne były phnobów.

W otoczeniu ludzi phnob wygląda obrzydliwie albo rozczulająco, poczynając od wylupiastych oczu aż po plaskanie mokrych stóp po podłodze. Tu poruszali się jak

pewne siebie i budzące obawę duchy. Większość samców alfa uzbrojona była w długie obosieczne sztylety, a każdy gość mający uprzedzenia rasowe na tle kształtu kończył, wędrując plecami wzdłuż solidnej ściany.

W pewnej chwili minęła ich wyjątkowo śmierdząca ciężarówka o plecionym nadwoziu — smród wywoływał ceramiczny silnik napędzany rybim olejem. Powietrze gęste było od syków, którymi charakteryzował się język mieszkańców osady, ale Domowi to nie przeszkadzało: zawsze podobało mu się w buruku, pewnie dlatego że styl życia phnobów całkowicie różnił się od starannie pozorowanego ubóstwa sadhimistycznej rodziny panującej.

Hrsh-Hgna znalazł w dużej *fasca*, zajętego grą w *tstame*. Phnob zauważył ich, powitał gestem i kazał czekać. Dom siadł na kamiennym siedzisku i cierpliwie czekał. Przeciwnikiem Hrsh-Hgna był młody samiec alfa, który przyjrzał się Domowi bez zainteresowania i wrócił do gry. Jak należało się spodziewać po publicznym zestawie, figury były prymitywne i miały problemy z koordynacją, choć gracze poruszali nimi po planszy z niespodziewaną gracją.

Czerwone okopały się w narożniku, białe spróbowwały tej taktyki, ale przerwały kopanie okopu i pionki skuliły się

koło czerwonego rycerza, który im przeszkadzał. Ledwie Dom siadł wygodnie, czerwony szaman zbił mitrapiką białego księgowego i w zamieszaniu zdołał przepchnąć kilka pionków przez krzyżowy ogień wież. Biały król spróbował ucieczki, ale padł pod samobójczym atakiem białego piona.

Przeciwnik Hrsh-Hgna zdjął hełm i z lekką niechęcią pogratulował mu zwycięstwa, nim odszedł, a raczej odskoczył od planszy.

— Chcę, żebyś mi pomógł odszukać świat jokerów — odezwał się Dom i wyjaśnił, o co chodzi.

Phnob słuchał go uprzejmie. W końcu rzekł:

— Chciałbym sssię dowiedzieć, jak przeżyłeśś czarną dziurę, która zabiła Korodore'a.

— I Iga.

— Jego nie. — Sięgnął do stojącej obok wiklinowej klatki i wyciągnął z niej Iga. — Znalazłem go w krzakach na ssskraju trawnika. Był wssstrząśśnięty. Jakośś zdążył zessskoczyć z ciebie.

— I zaopiekowałeś się nim. To zaskakujące.

— Nikt inny nie chciał, a poławiacze są przesądni: mówią, że to dusze ich martwych towarzyszy. Ig wdrapał

się na Doma i owinał wokół jego szyi.

— Polecisz ze mną? To jest z nami?

— Tak. Sądzę, że przyjmę bater.

— Co to właściwie znaczy?

— Odnosi się do processsu, który wy, ludzie, jesssteśście uprzejmi nazywać losssem. Gdzie chcesz zacząć? Nie patrz na mnie tak tępo, jeśśli łaska.

— Rozumiem, że tak zareagowałeś, jeśli chodzi o zakres moich obowiązków jako przewodniczącego, wiedząc, że nim nie zostanę, ale jeśli dobrze pamiętam, to o jokerach zawsze miałeś sporo do powiedzenia — prychnął Dom.

Phnob uśmiechnął się i odwrócił do planszy. Postacie wstały, ustawiły się w dwa rzędk i pomaszerowały w dół schodami, które pojawiły się w jednym z neutralnych pól. Następnie wyłączył hełm, zdjął go i powiedział, spoglądając wymownie na robota:

— Jako zwykła żaba proponuję, żebyśś zaczął od tego, co glosssi prorocstwo obliczeniowe, a jako osssoba mająca pewną reputację dotyczącą znajomości jokerów i amator rachunku prawdopodobieństwa jessstem zaintrygowany. Powiedz mi, czy robisz to dlatego, że sssądzisz, iż to zrobieśś, czy też wydarzy sssię to, bo robisz

to, co obliczone w proroctwie?

; — Nie wiem, ale wiem, gdzie jest statek...

— Panie przewodniczący!

Niskie, choć obszerne pomieszczenie stało się nagle ciche, jakby ktoś wyłączył dźwięk, pozostawiając ten rodzaj ciszy, która wymownie wisi w powietrzu niczym mgła. Gracze nie poruszyli się, choć sprężyli. Trio muzyków umilkło, a Ig prychnął.

W drzwiach stał Samhedi w towarzystwie dwóch podkomendnych. Wszyscy mieli paralizatory. Dom pamiętał wypowiedź Korodore'a przy jednej z niewielu okazji, gdy ten był wyjątkowo rozmowny, że jedynie dureń lub ktoś pozbawiony wyobraźni wchodzi do buruku z bronią palną lub energetyczną. Sam Korodore przy tych nielicznych okazjach, gdy się tu zjawiał, miał obosieczny nóż rozmiarów niewielkiego miecza i w takie same uzbrojeni byli jego podkomendni.

— Mamy eskortować pana do domu, panie przewodniczący.

Dom podszedł do niego i spytał podejrzenie uprzejmie:

— Byłeś zastępcą szefa bezpieczeństwa na Terra Novae, tak?

— Byłem.

— Kto kazał ci zabrać paralizatory do buruku?

Samhedi przełknął ślinę i spojrzał na podwładnych. Pomieszczenie zdawało się składać z samych uszu.

— Twój poprzednik nie zrobiłby czegoś takiego, a ty właśnie możesz wywołać międzyrasowy incydent. Teraz odepnijcie kabury z bronią i rzućcie je na ziemię.

— Mam rozkaz dostarczyć pana bezpiecznie do...

— Od mojej babki? Nie ma prawa wydawania żadnych rozkazów dotyczących mojej osoby. Na dodatek nie łamię żadnego prawa, za to ty łamiesz zwyczaje phnobów...

Dalej nie musiał już mówić: Samhedi miał dość.

— A kogo obchodzą zboczone obyczaje przerośniętych żab? — warknął w łamanym phnobijskim.

Obecni kolejno wstali. W półmroku błysnęły długie ostrza. Samiec alfa, który grał z Hrsh-Hgnem, wyskoczył nagle przed Samhediego i z rozmachem wbił nóż w ziemię u jego stóp. Samhedi spojrzał na Dorna.

— To wyzwanie — wyjaśnił Sabalos.

— Proszę bardzo.

Samhedi uniósł paralizator, celując w twarz ph:noba, który nawet nie mrugnął, i nacisnął spust.

Paralizator ustawiony był na niewielką moc, wystarczającą tylko do ogłuszenia, ale z tak małej odległości dał bardziej niż zamierzony efekt: trafiony zwałił się na plecy niczym worek mokrych szmat

— To jest moja... — Samhedi urwał: po pierwsze Dom zniknął, po drugie ciśnięty z boku nóż wytrącił mu z ręki broń wraz z dwoma palcami.

Zaskoczony uniósł głowę i spojrzał na pierścień pustych twarzy o wielkich oczach...

Isaac pomógł pozostałym wydostać się przez tylne okienko — zdążyli tuż przed tym, nim w budynku zrobiło się nagle głośno, i przemknęli przez ulicę tuż przed dwoma platformami wyladowanymi strażą.

— Pięknie — mruknął Dom. — Żeby nie powiedzieć ślicznie. Kretyn jeden!

— Inteligencja to podstawa przetrwania rassy ludzkiej, więc dobrze ssię dzieje, że osssobniki jej nie przejawiające sssą szybko eliminowane — skomentował Hrsh-Hgn.

— Gdzie teraz, szefie? — zainteresował się Isaac. — Bo tu impreza dopiero się rozkręca, a|już zaczyna być

tłoczno. Zupełnie jak na Świętego Patyka, kiedy chłopcy dzielą się opłatkiem. ;

— Babka nie zawsze jest kryształowo uczciwa w interesach. Na wszelki wypadek ma więc na lądowisku w porcie kosmicznym prywatny jacht. Mogą go używać wszyscy członkowie rodu Sabalos, gdyby odczuli gwałtowną potrzebę...

— Niespodziewanych wakacji? — spytał Hrsh-Hgn.

Wszechświat podzielony był na dwie części rozdzielone pięciocentymetrową skorupą z monomolekularnej stali. Po wewnętrznej stronie znajdował się luksusowy jacht *One Jump Ahead*, wygodny dla jednego pasażera i nader ciasny dla trzech, zwłaszcza że jeden był metalowy, a drugi śmierdział mulem. Po zewnętrznej zaś cała reszta wszechświata, składająca się głównie z niczego ze śladami wodoru. Oraz planet zamieszkanymi przez ludzi creapii.

Wśród nich wyróżniały się: Terra Novae bogata w metale i dynamicznie rozwijająca się technicznie. Third Eye, zalesiona od tundry po bagna mangrowe, gdzie wiatr śpiewał dziwne melodie, a ludzie byli jeszcze bardziej obcy niż phnoby i rozmawiali oczami i umysłami. Eggplant słynące z wojowniczych wegetarian z przymusu. Planeta drożdżaków Quaducquakucckuaquekekeqcac; odwiedzający ją ludzie ledwie skubali strasznie znajome jedzenie i byli wdzięczni, że gospodarze są na tyle dobrze wychowani, że

tylko spoglądają łakomie na gości. Laoth, gdzie jedynymi żywymi istotami byli ludzie, a w powietrzu latały ptaki, strumienie zaś pełne były ryb. No i wszystkie planety creapii, na których za niską temperaturę uznawano tę, w której woda właśnie wyparowała.

W pozostałej pustce na uwagę zasługiwały sundogi, rasa The Pod, no i Pierwszy Bank Syriański...

— Szesnaście — powiedział Isaac.

— Żyjemy z pewnością w nieufnym wszechświecie — ocenił Hrsh-Hgn.

Ig, który poruszał się z wdziękiem kogoś, kto całe życie przebywał w nieważkości, właśnie wychynął z jakiegoś kąta, trzymając w pysku coś, co z grubsza przypominało pasikonika i nawet miało podobną do pierwowzoru kopię umysłu, tyle że znacznie lepsze oczy i uszy.

— Korodore rzeczywiście zapluskwił ten statek — przyznał Dom, odwracając się od ekranu. — Brawo, Ig!... szukaj dalej.

Z orbity Widdershins była szaroniebieska, wielka i częściowo pokryta chmurami. Do Tau City, nad którym wisiała chmura dymu, docierał świt.

Kabina była ciasna i pełna łokci, z których większość

należała do Isaaca, siedzącego w fotelu pilota.

— Mam szefa babcię na linii — oznajmił robot, przestając obserwować Iga. — Szef będzie z nią gadał czy mam wyłączyć?

— Jest zła?

— Kamiennie spokojna.

— O rany, to jeszcze gorzej. — Dom włączył interkom.

— Mam ci niewiele do powiedzenia, chciałabym tylko przypomnieć, że masz obowiązki względem planety — rozległ się spokojny głos Joan L — Nic dla ciebie nie znaczą? Poza tym możesz zostać zabity.

— Zabity mogę zostać i tak, a tu przynajmniej nie mam złudzeń co do stanu własnego bezpieczeństwa.

— Dureń! Korzystasz z pierwszej wymówki, by wyrwać się na idiotyczne poszukiwania. A my mamy regularną wojnę międzyrasową: pół drużyny ochrony zarżnięte w buruku, który zresztą potem podpalono.

— Samhedi zabrał tam ludzi z paralizatorami, wiesz, że prawa phnobów tego zabraniają.

1 • Λ:

W głośniku zapadła cisza, natomiast na ekranie widać było, że chmura dymu rośnie. Na zachód od Tau City nagle

błysnęło oślepiająco — słońce dotarło do Wieży Jokerów.

— To było... głupie — przyznała Joan I powoli. — Niemniej jednak oficerowie na służbie rady zasługują na pewien szacunek. Ogłosiłam stan wyjątkowy, a ciebie za godzinę przejmie na pokład statek, który wysłałem.

Dom przerwał połączenie i spytał Hrsh-Hgna:

— Możesz się połączyć z przywódcą wszystkich buruków? Zdaje się, że ma tytuł Sługa Słupa, prawda?

— Nie wiesz, o co prosisz, jednakże...

Trzy minuty później Dom spoglądał na ekran, na którym widać było niewielkiego phnoba lekkiej budowy ze srebrną obrożą — ogólnie wyglądał na płć żeńską, co mogło być mylące, bo jeśli chodzi o seks, byli dziwnie powściągliwi.

— W imieniu rady, co możemy zrobić, by naprawić wyrządzoną wam krzywdę? — spytał.

— Ziemia buruku została splamiona.

Dom skinął głową — teren każdego buruku na głębokość kilku cali pokryty był ziemią z ojczystej planety phnobów.

— Możemy zastąpić ją nową — zaproponował. Nastąpiły targi, po których ocenił: ; ;

— Same koszty transportu wyniosą kilkaset tysięcy standardów.

— Możesz podjąć taką decyzję w imieniu rady?

— Pieniądze będą pochodziły z konta rodu Sabalos, rada nie ma nic do tego — zakończył nagle zmęczony.

— Szefie, mamy pewien problem — poinformował go Isaac. — A raczej pracę. Po pierwsze, gdzie lecimy, po drugie, jak mamy zamiar tam dotrzeć?

— Hrsh?

Phnob uszczypnął się w nos. ; ;

— Pierwszy Bank Sssyriański byłby dobrym miejssscem do rozpoczęcia. Zgodnie z legendą ssstworzony zossstał przez jokerów.

— Nie wiedziałem... a jest moim ojcem chrzestnym.

— I co z tego? Ma co najmniej trzy miliardy lat, a przynajmniej ssam tak twierdzi.

Isaac gwizdnął — na radarze pojawiło się coś dry-fującego w stronę statku.

— To sundog szukający okazji do interesów — ucieszył się Dom. — I nasz sposób dotarcia do Banku.

— Nigdzie nie lecę! — wrzasnął phnob. — Nie będę podróżował w zwierzęciu! Ten ssstatek ma między-

gwieźdną matrycę, nie?

— Miał — poprawił go Isaac. — W czasach pradziadka Doma pewnie działał niezawodnie, teraz jest tak rozregulowany, że z powodzeniem możemy skończyć w jakiejś gwieździe. Masz na to ochotę? Bo ja nie.

— W porządku. Ale z proteśstem!

Dwadzieścia minut później gruby różnobarwny kształt przesłonił gwiazdy, mieniać się w promieniach słońca, i znieruchomiał o kilkaset metrów od statku.

— Ma pomarańczowo-purpurowo-żółte znaki, szefie — oświadczył Isaac, przyglądając się ekranowi z czarnym pasem na żółtych.

Dom odetchnął z ulgą: co prawda żadnego sundoga nie można było określić mianem przyjaznego czy rozgarniętego na tyle, żeby zdał sobie sprawę z konsekwencji własnego zapomnienia w wypadku połknięcia statku, ale niektóre były lepsze od pozostałych.

— To będzie ten, co się zwie Abramelin-lincoln-stroke-Enobarbous-stroke-50.3-Enobarbous-McMir-midom. Jest w porządku, przewozi dla nas ładunki. W jego umyśle pojawiła się nieproszona myśl: *Czyść, kosmonauta. Chcesz podróżować, może?*

— Chcielibyśmy dostać się do Pierwszego Banku Syriańskiego.

Cena podróży: siedemnaście standardów.

Statek zakolysał się lekko, złapany przez pseudopole gigantycznego semizwierzęcia, i odwrócił się powoli, kierując się ku błękitnej gwiazdzie przypominającej — z braku lepszego określenia — twarz sundoga.

— Upokarzające — jęknął Hrsh-Hgn. — Być niesssionym przez psssa jak jakaśśś kośśść. *Bądź gotów.*

— Wolisz, żeby nas babcia złapała? W takim humorze? *Bądź spokojny.* ;

— Frsssh!

— No, zachowaj się wreszcie jak kosmopolita! Jesteś całkiem dorosłym phnobem.

Ruszamy.

Niewidzialna dłoń wyrwała See-Why z przestrzeni i cisnęła prosto na nich — inaczej rzecz ujmując, spadali prosto w słońce. A zaraz potem spadali wokół słońca. Przemknęli tuż obok morza błękitno-białych płomieni rozbijających się na rafach przestrzeni, którego ryk ucichł w oddali, wprost ku jaśniejącemu zupełnie płaskiemu horyzontowi.

Gwiazda została z tyłu, a sundog, śpiewając, wzbił się w międzygwiazdną ciemność.

Kabinę wypełniła absolutna cisza.

— Wow! — przerwał ją z podziwem Dom.

— Urghsss! — odparł z obrzydzeniem Hrsh-Hgn.

Isaac wyłączył światła, dzięki czemu w ciemności wyraźnie widać było gwiazdy: zaczynały błyskać na niebiesko.

— Przygotujcie się na to, że zostaniecie relatywistyczną niemożliwością... — wyśpiewał Isaac.

— Złudzenie.

Dom słyszał, że w kosmosie widzi się różne rzeczy, dlatego większe statki miały ekranowane kadłuby

i odsłonięty jeden pokład dla nieuleczalnie ciekawskich...

Biały jeleń wgalopował przez ścianę, która rozświeciła się pomarańczowo. Między porożem miał złotą koronę, a Dom wyczuł jego strach. Sierść miał zlepioną potem, ale kopyta zlewały się z podłogą, a skóra płynnie falowała, mieniając się delikatnie. Nie przerywając biegu, przeskoczył przez autokucharza, a przez ścianę wpadł myśliwy na czarnym koniu. Mężczyzna miał biały strój i czerwony

plaszcz ze srebrnymi dzwoneczkami. Blond włosy i brodę rozwiewał mu pęd, a twarz była blada i napięta; przez moment spoglądał na Doma i w jego oczach pojawiło się zdumienie. Uniósł dłoń obronnym gestem i zniknął za przeciwną ścianą.

— Rany, to wyglądało prawie prawdziwie!

— I na pewno jest prawdziwe — skomentował Isaac.
— Gdzieś.

— Mówią, że kosmos to miejsce, w którym przenikają się wszystkie możliwości. Wydaje mi się, że on nas wyczuł.

— To tylko duch na wietrze, nic więcej. Dom wstał nieco niepewnie. Ściany wciąż wyglądały jak zrobione z używanej poświaty księżycowej.

— O takim złudzeniu słyszałem...

Przez osłonięte okno przeleciała czerwona kula wielkości pięści, która następnie przeszła przez autokucharza, część głównego przekaźnika energii, śpiącego w stanie nieważkości Iga i zniknęła. Była to kosmiczna interpretacja gwiazdy — najprawdopodobniej BD+6793⁰. Jak pozostałe, całkowicie niegroźna, choć czerwony gigant czy plujący biały karzeł mogły być denerwujące, gdy oglądało się, jak przelatują przez kogoś.

Dom obejrzał się, słysząc niezwykle dziwne odgłosy: Hrsh-Hgn właśnie skończył wpychać się pod autokucharza i zamarł tam w pozycji przypominającej embriona.

Po dobrej godzinie udało się przekonać ph_noba, żeby stamtąd wylazł.

— Chyba nie jesssteśśmy jako rasssa tak odporni jak wy... kosssmosss nass przeraża — przyznał, mrugając z zawstydzieniem. — To rejon niepewnośści... przecież możemy przesstać issstnieć... Już rnogliśśmy, kto to może wiedzieć.

— Wyglądasz na jak najbardziej obecnego i istniejącego tak duchem, jak i ciałem.

Hrsh-Hgn przytaknął bez przekonania.

Isaac tymczasem skończył oglądanie autokucharza, zamknął panel techniczny i oznajmił:

— To model 706, robiony na zamówienie. Tylko nigdzie nie mogę znaleźć jadłospisu.

— Pradziadek wychodził, jak sędzę, z założenia, że to tylko jego statek, i sędzę, że tak też ułożył jadłospis: pod siebie — wyjaśnił Dom.

— Pewnie, tak był zajęty uciekaniem przed wierzy-

cielami, że nie miał czasu na wybieranie «dań... przepraszam, szefie, chyba się troszeczkę zagalopowałem.

— Nic nie szkodzi, piractwem też się zajmował niejako przy okazji. Zgodnie z historią rodu był też ortodoksyjnym sadhimistą, a dla takich prostota jest największą zaletą. Obawiam się, że nie możemy liczyć na coś więcej niż suchy chleb ze śledziem.

Autokucharz używał zwykłej metody powielania molekularnego struktury dań, które miał w pa.mięci jako równania rachunku prawdopodobieństwa. Po włączeniu zagulgotał, charknął i przez parę rminut bzyczał basowo, po czym wysunął się zeń stołowy blat, a z innego otworu posilek wraz z naczyniami.

Przez kilka długich sekund wszyscy przyglądali się w milczeniu temu, co stało na blacie. Wreszcie Dom ostrożnie wziął owoc pokryty białymi kryształkami.

Hrsh-Hgn odchrząknął.

— Faszzerowanego ptaka w zalewie rozpoznaję — oświadczył. — To krupiewssski łabądek. Podejrzewam, że te białe kleksy to śmietanka.

Dom zdjął pokrywę ze srebrnego półmiska.

— Jakaś pieczona ryba w... smakuje jak jajka. Isaac

wziął kryształową szklankę i wychylił zawartość jednym haustem.

— Old overcoat, i to autentyczny! — ocenił zaskoczony. — Dwie takie szklanki i odlatujesz w słupie ognia.

Obaj wytrzeszczyli na niego oczy, toteż pośpiesznie odstawił szklankę i spytał:

— Nigdy nie widzieliście pijącego robota czy co?!

— Zastanawiamy się właśnie... — Dom urwał zażenowany — ...no, gdzie to się podziewa?

— Model klasy piątej może czerpać energię z kalorycznej zawartości substancji organicznych. — Robot sięgnął do klapki na piersiach. — Ale jeżeli wolicie, to mogę...

— Wierzymy ci i nic nie wolimy — przerwał mu pośpiesznie Dom i spojrzał na blat. — Zdaje się, że coś mówiłem o cnocie prostoty? I kto by pomyślał: ortodoksyjny sadhimista...

— “Nie będziesz marnował” — zacytował Hrsh-Hgn. — Czasami postępowanie zgodnie z Jedynym Przykazaniem bywa przyjemnością, nie tylko obowiązkiem.

Po jakichś dziesięciu minutach obżarstwa Dom zauważył:

— Hrsh-Hgn, ten czarny dżem smakuje rybami!

— Bo to kawior.

— Kawior? Zawsze zastanawiałem się, jak smakuje: na Widdershins tylko biedacy mogą go jeść... pewnie można się do niego przyzwyczaić...

Dwadzieścia minut później autokucharz przetrwał resztki posiłku: nie było ich wiele. Ig zaś podryfował w kierunku maszynowni, pogryzając rybi łeb. Przez kabinę przeleciała w poprzek niewielka wypukła pozostałość po gwiazdzie. Dom obojętnie obserwował, jak znika w ścianie.

— Skoro Pierwszy Bank Syriański jest największym w galaktyce specjalistą od jokerów, to dlaczego dotąd nie odnalazł ich planety? — spytał.

— Chodzi ci o to, dlaczego nie miota sssię po wszechśświecie? Prawa Roche'a, jakie sssą, wszyssscy wiedzą, a cośś wielkośści Banku bez trudu naruszyłoby równowagę każdego sssysstemu planetarnego. Jeśśli chodzi o poszukiwanie informacji, to mógł on już dawno odkryć położenie śśświata jokerów, tylko dlaczego miałby

nasss o tym informować? Jesssteśśśmy zwykłymi młodocianymi cywilizacjami.

— Zapłacilibyśmy mu. Dobrze byśmy zapłacili.

— Jacy my?... My, ludzie?... My, phnoby? Należy założyć, że rasssa, która odnajdzie tę planetę, wzbogaci sssię niepomrotnie. Dlaczego miałoby mu na tym zależeć?

— Przecież to bank — zdziwił się Dom. — Bank liczy sobie za usługę, no nie?

— On tego nie robi dla pieniędzy, tylko dla rozrywki. Jak ktośś ma trzy miliardy lat, to musssi sssię nudzić, a poza tym lubi, jak koło niego kręcą sssię ludzie.

— Chcesz powiedzieć, że nie będzie chciał, aby ktokolwiek odkrył świat jokerów, bo może go to narazić na straty?

— Może. A może nie. Wszystko jest względne i zależy od punktu widzenia — odparł phnob i zaczął opowiadać o świecie jokerów.

Trzy rasy poruszały się tak jak człowiek: ludzie, wyższe od nich i generalnie lżejsze phnoby oraz mniejsze, ale masywniejsze droski wyglądające niczym szympany na sterydach.

Phnoby miały trzy płcie i podwójne mózgi. Pochodziły z planety, na której nie było łatwo dostępnych rud metali. W kwestiach inteligencji trudno było się z nimi równać; nie w tym dziwnego — skoro na ich planecie wszystkie gatunki naczelne miały trzy płcie, żeby zostać rasą inteligentną, trzeba było naprawdę nieźle się nagłowić.

Droski były dwupłciowe. Najwyżej. Miało to sens w świecie, gdzie przeżycie nie było trudną sztuką. Rodziły się jako samce, a po jednej trzeciej życia przekształcały się w dorosłe rozsądne samice. Te, które przeżyły, miały się rozumieć. Miały skomplikowany system społeczny, który jednakże okazywał się wzorem prostoty w porównaniu z ich religią, wywodzącą się z posiadania podwójnej gwiazdy jako słońca i trzech dużych księżyców. Częścią religii był kanibalizm, a wykładnikiem zdolności umysłowych to, że liczenie powyżej siedmiu sprawiałoby im spory problem. Regularnie ich cywilizacja osiągała wysoki poziom technologiczny, po czym z niezrozumiałych powodów wracała do barbarzyństwa. W porównaniu z pozostałymi pięćdziesięcioma dwiema znanymi rasami ludzimi, phnoby i droski byli braćmi w rozumie — dla niektórych zresztą ras, jak spoonerzy żyjący na lodowych planetach, byli iden-

tyczni. Wiele innych ras miało spore problemy z traktowaniem ich jako przedstawicieli życia inteligentnego, a raczej życia w ogóle — tak było na przykład z tarquinami żyjącymi w górnych warstwach niektórych protogwiazd.

Parę ras szerzej podchodziło do koncepcji życia. Creapii zamieszkujący niewielkie gorące planety czy głębsze warstwy gazowych gigantów lub okazjonalnie powierzchnie co zimniejszych słońc mogli dyskutować o filozofii równie łatwo z ludźmi, jak o nieprzetłumaczalnym z tarquinami. Oprócz tego istniały jeszcze sundogi, będące najczystsza surową odmianą życia i widzące wszechświat poprzez umysły swych klientów. No i będący klasą samą dla siebie Pierwszy Bank Syriański. Oraz kilka ras jak The Pod, które były obce nawet dla spoonerów czy tarquinów.

Wszystkie miały jednak jedną cechę wspólną — powstały w okresie krótszym niż pięć milionów lat na obszarze kuli o średnicy dwustu lat świetlnych, której centrum był Wolf 429. Pierwsi odkryli to creapii, podobnie jak pierwsi zbadali jedyną planetę tego systemu. Odkryli Wieżę Jokerów, czyli monomolekularną budowlę pokrytą zamrożonym metanem, stojącą samotnie w mroku i pozbawionej powietrza atmosfery. Znaleźli to, co potem

nazwano Środkiem Wszechświata.

Potem znaleźli inne wieże i artefakty jokerów: pierścienne gwiazdy, pas i wewnętrzne gwiazdy Protostar 5. Niejako przypadkiem znaleźli też Ziemię i sprzedali ludziom silnik matrycowy za prawa do zamieszkania na Merkurym. Zaczynali odkrywać galaktyczną tajemnicę i zdecydowali, że jednak potrzebują pomocy, czyli innego punktu widzenia, by ją rozwiązać.

Siedemdziesiąt lat później zespół ludzi i phnobów odszyfrował Curiform c — jedyny z pięciu pisanych języków jokerów, jaki dotąd dało się odczytać. Były w nim wzmianki o wielkiej cywilizacji, choć mogła to być przenośnia. Był w nim też zapisany pierwszy poemat we wszechświecie. Najprawdopodobniej pierwszy.

Dowody geologiczne wskazywały, iż wieże mają między osiem a pięć milionów lat. Rozmieszczone zaś były mniej więcej równomiernie na całym obszarze zamieszkaney sfery. Wszystkie pochłaniały j każdy rodzaj energii i nie wypromieniowywały żadnego, i Creapii zdawali sobie sprawę, że ich przodkami były średnio inteligentne salamandry, żyjące około czterech milionów lat temu, sądząc po odkrytych pozostałościach

aluminiowo-polisilikonowych, jakie wykopali archeologowie na ojczystej planecie, orbitującej wokół 70 Ophiuchis A. Nie znali starszej od siebie rasy rozumnej, a ponieważ byli długowieczni, poszukiwali jej długo i zawzięcie. Przemierzyli całą Mackę — według ich mitologii galaktyka była gigantycznym creapii — od skupionych w centrum gromad po rozsiane na obrzeżach pojedyncze gwiazdy i stwierdzili, że poza kilkoma dziwactwami życie powstało jedynie w sferze o średnicy dwustu lat świetlnych. I że życie jest pewną skomplikowaną chemiczną odmianą naturalnego stanu rzeczy. Niecierpliwa rasa doszłaby do stosownych wniosków pospiesznie — w jakieś dwieście, góra \ trzysta lat. Umysły creapii (a każdy osobnik miał ich trzy) nie wyciągają jednakże tak pochopnych wniosków...

— A doszli w ogóle do jakichś wniosków? — spytał Dom.

— Jak dotąd nie, nadal poszukują sssensssu życia. Dlaczego by mieli sssię ssspieszyć?

— Rany! — jęknął Dom z podziwem. — Czy nie istnieje przypadkiem teoria, że to jokery zasiały życie na naszych planetach, zanim... no, zanim odeszli? Nie klamkuj się, wiesz, że mówię prawdę.

— Nad tą hipotezą pracuje Instytut Jokerów. A przynajmniej wszystko na to wskazuje — przyznał Hrsh-Hgn i nim Dom zdążył się odezwać, dodał: — Zamierzasz zapytać dlaczego. Pamiętaj, chłopcze, że jako Ziemianin...

— Widdershinanin!

— Dobrze, Widdershinanin ziemskiego pochodzenia, jesteś w stanie pojąć, i to tylko w ogólnych zarysach, procesy myślowe trzech czy czterech ras z ponad pół setki istniejących. To dlaczego chcesz próbować zrozumieć jokerów?

— Instytut zrozumiał Cuniform c, a to jeden z ich języków.

— Język pisany to zwykły mechanizm do przekazywania informacji. Kiedy znajdzie się do niego klucz, stosunkowo łatwo go odczytać.

— A jak znaleźli ten klucz?

— Używając poety i szalonego komputera. — Hrsh-Hgn wziął różowy sześcian, odszukał odpowiedni fragment i wyświetlił go.

W powietrzu zawisły świeące litery *Testamentu jokerów:* '

‡ Ty, który przed nami stoisz!
Trzymamy w dłoniach gwiazdy,
a gwiazdy płoną. Módl się, by,
ostrożnie się z nimi obchodzić.
Czekamy na naszym nowym świecie,
Jedynym
Leżącym po ciemnej stronie Słońca.

— Białą wiersz — ocenił Isaac. — Taki sobie.

— Przyznaję, że w moim języku brzmi lepiej — powiedział Hrsh-Hgn. — Co do reszty, to przypuszczam, że wiecie: już dawno przeszukano wszystko, nawet niezbyt wielkie ciała astralne, choćby zbliżone do tego opisu, znajdujące się w zamieszkałej sferze i sporo poza nią.

— Do tego trzeba by było dodać gwiazdy i przestrzeń — zauważył Isaac. — Choć raczej uznać należy, że jak inne rasy, pochodzą z jakiejś planety.

— Popularne przekonanie głosi, że świat jokerów pełen jest cudów przekraczających wyobrażenie — dodał Hrsh-Hgn.

— Może to być planeta bez słońca, a taką naprawdę

trudno znaleźć, przestrzeń jest przecież duża — zauważył Dom.

— To całkiem prawdopodobne — ocenił uprzejmie Hrsh-Hgn.

— Ale nie jestem pierwszym, który o tym pomyślał?

— Prawdę mówiąc, pomyssł powraca mniej więcej co pięć lat.

— A jeśli jest niewidzialna? — spytał Isaac. Dom parsknął śmiechem.

— Może. — Phnob wciąż był uprzejmy. — Dom, sssłyszaleśśś o Gwiazdach Duchach?

— Uhu. Są tak gęste, że nie wpuszczają nawet fal grawitacyjnych.

— To tylko teoria, ale może... teoretycznie da się wyposażyć cały system planetarny w silniki matrycowe; i umieścić go w kosmosie, jak popularnie na:zywamy międzyprzestrzeń — odezwał się Isaac.

Dom miał się powtórnie roześmiać, ale spojrzał na Hrsh-Hgna i zachował powagę.

— Tak głosi legenda o Marnotrawnym Sssłońcu — wyjaśnił phnob. — To historia nissskotemperaturowych creapii. Za pięćdziesiąt lat rzeczywiśście będzie to możliwe

przy obecnym tempie rozwoju techniki. Natomiast praktycznie jest to niemożliwe. Widzisz, do wyjścia i wejścia w międzyprzestrzeń nie potrzeba wielkiej energii...

Potem nastąpiły wyjaśnienia techniczne, z których wynikało, że najważniejszy jest pokładowy komputer. Ponieważ obiekt znajdujący się w kosmosie, czyli w międzyprzestrzeni, jest teoretycznie wszędzie równocześnie, gdyby wyszedł z niej w przypadkowym miejscu, mógłby się znaleźć na przykład w jądrze słońca. By tego uniknąć, niezbędny był pojemny i szybki komputer nawigacyjny, bo "wszędzie" to naprawdę duża przestrzeń, wymagająca przeliczania. Im większy obiekt, tym większa szansa błędu, a więc potrzebny większy komputer.

— Sundog rejestruje aktualny spadek mikroampów, co jest dla niego odruchowym ćwiczeniem umysłowym, jako że cztery piąte jego ciała, licząc od tyłu, to pierwotny umysł określający jego położenie względem konkretnego wszechświata, w jakim żyjemy. Na szczęście pozostaje mu wystarczająca objętość, by mógł zabrać dodatkową masę w postaci transportowca czy innego statku. Żeby przelecieć przez kosmos gwiazdą średniej wielkości,

potrzebny byłby komputer o mniej więcej stukrotnej jej masssie.

— A planeta? — spytał Dom.

— Jeśśli byłaby to niewielka gęsta planeta, taka jak Phnobiss czy Widderssshinsss, mogłoby ssię to udać, gdyby ją wydrążyć i wypakować komputerami. Jessst to jednak bezowocna spekulacja, bo to nie ma sssensssu. Jessstem przekonany, że śśświat joke...

Iluzja.

Ig skomlał. Dom otworzył oczy i mrugnął — był zlany potem, a lewa ręka dziwnie go bolała. Po przeciwnej stronie kabiny Hrsh-Hgn wygrzebywał się z szafki, na którą został ciśnięty.

— Isaac? i

j Robot puścił poręcz biegnącą dookoła kabiny.

— Ostro było, nie? — spytał.

— Czuję się, jakby ktoś mnie łupnął czymś dużym, dajmy na to planetą — ocenił Dom. — Albo dużą asteroidą... co się stało?

— Jesteśmy w normalnej przestrzeni, w której sundog znalazł się raczej gwałtownie i niezręcznie.

Dom podleciał do okna, próbując rozwiązać zasupłany porządnie żołądek i równocześnie spacyfikować bolącą głowę.

— Frghsss... — zaklął jękliwie Hrsh-Hgn.

— Sundog?

Przeprosiny. Podróż przerwana wskutek okoliczności nie do przewidzenia: zakłócenie w międzyprzestrzennej czasowymiarowości. Musimy je ominąć w normalnej przestrzeni.

Isaaca przylepiło do ekranu czujników.

— Jest nadal o kilka milionów kilometrów, więc musi rzucać niezły cień... — ocenił. — Nie spiesz mu się... o rety, lepiej sami popatrzcie.

Na maksymalnym zbliżeniu widać było wysmukły ostrosłup, powoli i majestatycznie obracający się i polyskujący, gdy od jego gładkiej powierzchni odbijało się światło bliższych gwiazd. Była to, innymi słowy, Wieża Jokerów.

Dom dotarł do fotela pilota i poprosił sundoga, by zbliżył się do wieży. W ciągu paru minut znaleźli się o kilka kilometrów od nieruchomego obiektu, wokół którego gwiazdy krążyły niczym w planetarium na przyspieszonych

obrotach.

— Instytut płaci milion standardów nagrody za lokalizację i szczegóły każdej nowej budowli jokerów — przypomniał Dom. — Chcę ją złapać.

— Przy tej prędkości? — zdziwił się Isaac. — To robota dla dwudziestu sundodów.

Właśnie.

— No, to możemy chociaż wyznaczyć jej kurs. Za to też jest nagroda, tyle że mniejsza. Możemy ją podzielić na trzech.

Czterech.

— Zgoda, czterech... — Dom urwał, z trudem łapiąc powietrze: coś złapało go jak w imadło i ścisnęło.

Wyczuł statek, a raczej skomplikowaną strukturę atomową jego kadłuba i deuter pobłyskujący w komputerze matrycy niby kula czarodziejskiego ognia. Isaac przypominał różnobarwny kłęb prądów przepływających przez zwinięty aluminiowy drut z dodatkiem zjonizowanego wodoru, co dawało niezbyt przyjemne wrażenie. Umysł sundoga miał ciemno-purpurową barwę, przez którą przelatywały jaśniejsze myśli.

Za burtą, po przeciwnej stronie Wieży, wyczuł inny

statek; ktoś wiedział, że będą tu przelatywać, i czekał na nich. A raczej na niego. Metalizowany wodór wskazywał, że był w nim robot... znalazł się ponownie w umyśle sundoga... ich pola spolaryzowały się nagle z lekkim wstrząsem i Wieża zaczęła maleć w oddali. Przez moment czuł wściekłość umysłu znajdującego się na tamtym statku, po czym zniknęła ona w dali i szumie tła, gdy sundog z ulgą zanurzył się w kosmos.

A z jego umysłu coś łagodnie się wycofało. Przez moment czuł niesprawiedliwość ograniczeń narzuconych przez posiadanie tylko pięciu zmysłów... a potem nastąpiła reakcja.

Nie upadł tylko dlatego, że w nieważkości nie ma "dołu", za to zawisł ogłupiały, słuchając zaskoczonych protestów sundoga. Isaac i Hrsh-Hgn przyglądali mu się, po czym phnob ujął go delikatnie i zaciągnął do łóżka.

— Wszystko widziałem — wymamrotał Dom. — Coś patrzyło przeze mnie... tam, za Wieżą czekał zabójca.

— Jasssne — mruknął Hrsh-Hgn. — Pewnie. f!

— Uwierz mi! ¹

— Jasssne.

— Miał przeciwpancerny stripper!

— Coś skłoniło sundoga do pospiesznego odlotu —
zauważył Isaac. — Ty? Dom przytaknął gwałtownie i dodał
powoli:

— Myślę, że ja, ale... ale tuż przedtem widziałem...
uwierzcie, że widziałem różne prawdopodobieństwa?...
Widziałem, jak zostaliśmy zniszczeni, ale to było w innym
wszechświecie... W tym uciekliśmy... Rany, nie potrafię tego
opisać... nie mamy właściwych słów!

“Zastanowiliśmy się głęboko nad tą sprawą i oczywiście nie znaleźliśmy niczego wymagającego wyjaśnień w raportach geofizycznych. Zgodnie z nimi świat znany jako Pierwszy Bank Syriański jest planetą o średnicy siedmiu tysięcy mil i jądrze składającym się prawie w całości z krystalicznego kwarcu i powiązanych z nim elementów. Zapoznaliśmy się też z dowodzeniem przedstawionym przez dr. Ala Putachique'a z Ziemi, wyjaśniającym, jak przez tysiąclecia trzęsienia ziemi i inne zjawiska spowodowały wykształcenie się w sposób naturalny miliardów połączeń tranzystorowych w jądrze, tworząc największy komputer w galaktyce. Zdajemy sobie naturalnie sprawę, że Bank od wielu lat używany jest przez ludzi i pobliskie rasy humanoidalne do rozliczeń i przechowywania informacji oraz oficjalnie jest Skarbnikiem Gwiezdnej Izby Handlu.

Apelujący poprosił o przedstawienie prawnej definicji

człowieka, ponieważ pragnie być za takiego uznany, jak też pragnie uzyskać status istoty żywej. Pozostaje więc pytanie, czy Bank jest żywy? Zgodnie ze wszystkimi sprawdzonymi przez nas definicjami nie jest, co w naszej opinii bynajmniej nie przesądza sprawy. Bank nie był w stanie być tu dziś obecny fizycznie, co wymusiły oczywiste ograniczenia Roche'a, ale rozmawialiśmy z nim długo i szczegółowo. Pod

koniec tej niezwyklej dyskusji mój kolega z Ziemi zauważył, co jak rozumiem, było cytatem z jakiegoś przedstawienia rozrywkowego, że niesprawiedliwe jest, by zwykły wirus miał życie, a Bank nie.

Nigdzie nie znaleźliśmy niczego, co zabraniałoby uznać całą planetę za żywy organizm czy nawet za człowieka. Jest to niespotykane, ale nic poza tym. Dlatego też oficjalnie uznajemy Pierwszy Bank Syriański za istotę żywą i mającą wszechświatopogląd wystarczająco rozwinięty, by uznać go za człowieka. I życzymy mu, by jego orbita nigdy się nie degenerowała".

Z przemówienia wygłoszonego przez Jego Gorącość CrAAgh 456°, mediatora przewodniczącego Gwiazdnej Izbie, 2104

(Patrz też: *Life: A Legal Definition* autorstwa Jego Gorącości 456°)

Dom wcisnął się do budki i odczekał minutę, spoglądając przez kryształową płytę drzwi na dwa czy trzy tysiące ludzi w centralnym hallu, ale nikt nie: zwracał na niego uwagi. Przed sobą miał kryształową ścianę usianą czerwonymi punkcikami świetlnymi skupionymi najgęściej wokół zwykłego miedzianego dysku.

— Proszę powiedzieć, co pana sprowadza — odezwał się dysk. Dom odprężył się.

— Ty jesteś Bank? — spytał.

— Nie, proszę pana. Jestem Teller, zwykły i prosty serwomechaniczny podzespół.

— Aha... no dobra. W takim razie dokonaj, proszę, transferu siedemnastu standardów z mojego konta na konto rasowe sundogów — polecił uprzejmie Dom i grzecznie odczekał, aż niewidoczne oczy sprawdzą

wzór jego siatkówki, zidentyfikują głos, porównają stan uzębienia i kod DNA.

— Transakcja zakończona, proszę pana.

— Chcę poinformować Instytut Jokerów o zlokali-

zowaniu nowej Wieży. Opis i pozycja, jak zanotowano w dzienniku. — Wsunął kopię dziennika pokładowego w czytnik pod dyskiem.

— Nagroda zostanie wypłacona po zweryfikowaniu — poinformował go dysk.

Dom już wielokrotnie się zastanawiał, czy niedoszły zabójca także zameldował o odkryciu. Bo tego, że czekał tam na niego zabójca, był pewien. Podobnie jak i tego, że w znacznej części wszechświatów Dom Sabalos był już martwy, jako że zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa na każdą możliwość zajścia jakiegoś wydarzenia przypadał jeden wszechświat.

— Czy to wszystko, proszę pana? — spytał dysk.

Dom zmarszczył brwi: była to jego pierwsza wizyta w Banku i nie bardzo wiedział, jak postępować. Bank był co prawda jego ojcem chrzestnym i na wszystkie właściwe okazje, na przykład dwudzieste ósme urodziny, przysyłał mu życzenia i prezenty, przeważnie interesujące. Wskazywały na ciekawą osobowość. Życzenia na nic nie wskazywały, poza tym że były podpisane w oficjalnym wysokim creapijskim IV, ulubionym piśmie praworęcznych kaligrafów amatorów. Teraz najważniejszą sprawą było

nawiązanie kontaktu.

— Jestem Dom Sabalos, Bank jest moim ojcem chrzestnym — przedstawił się oficjalnie. — Chciałbym go zobaczyć.

— Wystarczy, że się pan tylko rozejrzy — oznajmił poważnie dysk, najwyraźniej nie wyposażony w program zawierający niuanse ludzkiej mowy.

— Chcę się z nim spotkać, porozmawiać z jego ośrodkiem świadomości — sprecyzował.

Nastąpiła pauza, po której dysk powiedział:

— Bardzo dobrze, proszę pana. Zobaczę, co da się zorganizować.

Dom z ulgą wyszedł z kabiny i odszukał kryjącego j się nieporadnie za wysokim na pół mili, połyskującym słupem germanu Hrsh-Hgna. Kolejnym krokiem była zmiana odzieży i prawdziwy posiłek — w ciągle przetwarzanych przez autokucharza molekułach było coś dziwnie niezadowolającego. Przecisnął się obok grupy średnocięplnych creapii i zatrzymał taksówkę.

Główna jaskinia Banku była na tyle duża, że wymagała systemu kontroli pogody, by zapobiec solidnym burzom. Taksówka przemknęła między różnobarwnymi

słupami — każdy u podstawy otoczony był kioskami i budkami, a wszędzie pełno było czerwonych światelek. Od czasu do czasu pierścień statyki wędrował w górę słupa, znikając w efektownym rozbłysku w silnie ozonowanych górnych warstwach suchego powietrza, dźwięczącego milionami głosów. Można je było bardziej wyczuć, niż usłyszeć, i był to ogólnie zrozumiały dźwięk — pieniądze rozmawiały' z sobą przez lata świetlne. Całość, ogólnie rzecz biorąc, sprawiała wrażenie początkowych wyobrażeń piekła. Z turystami. Z których część doskonale pasowała do wrażenia.

Taksówka dostarczyła ich do jednej z mniejszych jaskiń, gdzie robot krawiec zaopatrzył Doma w szare kombinezony z typu noszonego na wszystkich praktycznie planetach zamieszkanym przez ludzi. Do tego dodał płaszcz w pasy kolorystycznie nawiązujące do purpury, pomarańczy i żółci, mając nadzieję stworzyć wrażenie prostaka z zadupia rodem z ko mediowego serialu. Jako kolonista z obrzeża miał prawo gadać głupoty, mieć niefortunne przyzwyczajenia i gapić się na wszystko z otwartą gębą. «

Gdy skończył ze swoim strojem, zainteresował się

Hrsh-Hgnem, który obserwował go ubrany w stary ceremonialny strój samca beta.

— Nie możesz ubrać się w coś bardziej kolorowego? — spytał z lekkim obrzydzeniem Dom. — Część phnobów tak chodzi, nie będziesz wtedy aż tak do siebie podobny.

Zapytany cofnął się nerwowo o krok i kurczowo otulił szatą.

— A co? Jak tak chodzę, to łamię prawo? To znaczy, czy jeszcze bardziej mogę sssekssualnie obrażać?! Jeśśli tak to...

— Nie chodzi o prawo, tylko o przebranie.

— Wątpię, żebym mógł udawać sssamca alfa. Oni sssą ważniejsssi, bardziej wojowniczy, mniej oddają sssię rozrywkom intelektualnym...

Dom jęknął i przestał go słuchać. Zabrał się za to do dyrygowania krawcem, w efekcie czego phnob otrzymał togę z ciężkiej błękitno-oliwkowej materii przetykanej srebrem i nóż podwójnej długości w stosunku do prawdziwego, wraz z ozdobnym pasem.

— Jeśśli jakiśś alfa wyzwie mnie na pojedynek, będzie to żalossne przedstawienie.

— Może nie wyzwie, a wyglądasz zupełnie inaczej —

ocenił Dom i zapłacił robotowi.

Następnym przystankiem była restauracja w hotelu Grand, przeznaczona dla humanoidów żyjących w średnim przedziale temperatur. Wyglądała równie imponująco jak główna jaskinia, a nawet robiła większe wrażenie, gdyż wystrój dostosowano do ludzkich rozmiarów. Pełna też była gości zaspokajających głód, aromatów dań, alkoholi i narkotyków. I wyglądała bardziej jak wizerunek piekła.

Dom znalazł dwa wolne miejsca przy stoliku w sekcji przeznaczonej dla ludzi. Poprzednicy zajmujący je minęli go po drodze — był to masywny, barczysty Ziemianin z twarzą poznaczoną bliznami po pojedynkach i stary poobijany robot klasy pierwszej. Mężczyzna skinął mu przyjaźnie głową, lecz się nie odezwał.

— Znasz ich? — spytał Hrsh-Hgn, ledwie usiedli.

— Nie przypominam sobie. Jest w nich zresztą coś dziwnego: wyglądał na zamożnego, to dlaczego taki stary i prosty robot?

— Jedna z zagadek życia — skomentował phnob.

Zamilkli, koncentrując się na posiłku i — w wypadku

— Doma na obserwacji. Sąsiad trącał go zawzięcie w żebra rogatym ramieniem, ale zignorował to, sąsiadem bowiem był młody drosk i Dom dokładał starań, by nie spojrzeć mu w talerz. Przy sąsiednim stole grupa phnobek z sekty Długa Chmura dyskutowała sykliwie. Za nimi człowiek z Third Eye dokonywał skomplikowanych ceremonii nad miską ryżu.

Dom zjadł rybę z chlebem, phnob zupę grzybów i zjawił się natychmiast robot klasy drugiej z rachunkiem i wyceną stanu konta Doma w Banku.

— Przelej sobie jedną dziesiątą standardu — polecił Dom, autoryzując wypłatę.

— Serdeczne dzięki szanownemu panu — skłonił się robot i dodał uprzejmie: — Zawsze uważałem, że ludzie z Widdershins są na poziomie.

— A kto powiedział, że jestem z Widdershins?! — Dom spróbował mówić cicho, ale robot już odjechał, a i tak parę phnobek odwróciło się ku niemu.

— Twoja twarz — odparł zwięźle Hrsh-Hgn.

Dom uniósł rękę i zauważył jej zielonkawy odcień. Breja była naturalnie używana na innych planetach, ale tylko w wyjątkowych wypadkach i pod ścisłym nadzorem

licencyjnym. Co i tak nie zmieniało popularnego wyobrażenia — jak ktoś miał zielone elementy, to był z Widdershins.

— Nie martw sssię — pocieszył go phnob, gdy wychodzili. — Kimkolwiek by był nasz zabójca, wątpię, żeby zmyliło go zwykle przebranie. Używa rachunku prawdopodobieńssstwa, by za każdym razem *znaleźć* sssię w odpowiednim miejssscu i czasssie.

— A i tak jak dotąd mu się nie udało. Pamiętasz, co się zdarzyło przy Wieży?

— Nie licz, że tak będzie zawsze. Niewielki dwukołowy robot klasy drugiej podjechał do Doma i pociągnął go za połę.

— Panie Sabalos, Bank pragnie się z panem zobaczyć — oświadczył — Proszę za mną. — I potoczył się korytarzem w tempie swobodnego marszu.

Dom rozglądał się z podziwem, którego nawet nie próbował ukryć — co prawda bywał poza Widdershins, ale tylko parę razy i niedaleko. Zapanował nad sobą dopiero wówczas, gdy stwierdził, że idzie z otwartymi ustami — zamknął je pośpiesznie i skupił się.

Główna jaskinia została otwarta w pobliżu Północnego

Skoku Temperaturowego w wyniku dawnego trzęsienia komputera, które zetknęło z sobą dwie płyty krzemowe wielkości kontynentów i utworzyło kilka trylionów istotnych obwodów. Miało to miejsce w czasach, gdy Ziemia jeszcze była płynna i — jak sugerują historycy — wówczas Bank uzyskał świadomość. Jest to o tyle istotne, że wcześniej była to jedynie martwa piezoelektryczna skała, a o tyle trudne do sprawdzenia, że Bank odmówił rozmów na tematy osobiste.

Robot zaprowadził ich długą, łagodnie wznoszącą się rampą do tunelu, w którym gęsto skupione były czerwone światełka.

**Przed nimi otworzyły się segmentowe, zachodzące na siebie masywne drzwi i znaleźli się w niewielkim, jasno oświetlonym pokoju. Podłogę pokrywał gruby dywan, w rogu stała jakaś rozłożysta roślina doniczkowa, a za biurkiem pod przeciwległą do drzwi ścianą siedział robot pozbawiony większości obudowy, za to podłączony do wielu rozmaitych urządzeń dodatkowych ukrytych za ścianą. Robot palił cygaro przez rurkę. Na ich widok odezwał się: .
. • ,**

— CZEŚĆ, DOM! WITAM, Hrsh-Hgn! Dom nie mógł

oderwać wzroku od cygara.

— TO NIE NAŁÓG, CHOĆ SPRAWIA MI PEWNĄ WYCZUWALNĄ PRZYJEMNOŚĆ. TO POMAGA W USPOKOJENIU BARDZIEJ NERWOWYCH GOŚCI. ROBOT TO HUMANOID, JEŚLI DO TEGO PALI CYGARO, SPRAWIA ZUPEŁNIE INNE WRAŻENIE JAKO ROZMÓWCA NIŻ...

— ...komputer wielkości planety — dokończył Dom. — Witaj, ojcie chrzestny.

— UFAM, ŻE RODZINĘ ZOSTAWIŁEŚ ZDROWĄ.

— Mniej więcej. Miło, że nas chciałeś zobaczyć.

**— ZAWSZE MAM CZAS DLA SWOICH CHRZEŚ-
NIAKÓW, A Hrsh-Hgn JEST JEDNYM Z NAJLEPIEJ
ZAPOWIADAJĄCYCH SIĘ BADACZY AMATORÓW
W KWESTIACH JOKERÓW.**

Phnob skłonił się uprzejmie.

**— Chrześniaków? — zainteresował się Dom. — My-
ślałem, że tylko ja...**

**— MAM KILKA TYSIĘCY CHRZEŚNIAKÓW.
SPRAWIA MI PRZYJEMNOŚĆ OBSERWOWAĆ, JAK
DORASTAJĄ I ZNAJDUJĄ MIEJSCE WE
WSZECHŚWIECIE. PRZEJDŹMY JEDNAK DO**

**TEMATU, KTÓRY CIĘ TU SPROWADZA I OBECNIE
NAJBARDZIEJ INTERESUJE. — Światelka na ścianie
rozbłysły. — CZYLI DOa ZAMACHÓW NA CIEBIE,
PRZEPOWIEDNI OBLIJ CZENIOWEJ TWEGO OJCA I
AKTUALNYCH TWYC1 POSZUKIWAŃ. NAJPIERW
NIEUDANE ZAMACHY.**

**Dom opowiedział, czemu towarzyszyły zmiany wzorów
światlnych na ścianie. Potem zapadła chwila ciszy, robot
odłożył cygaro i Bank powiedział:**

**— JAK PEWNIE ZAUWAŻYŁEŚ, POCIESZAJĄCE
JEST TO, ŻE ŻADNA PRÓBA SIĘ NIE POWIODŁA.
SUGERUJE TO AGENTA OFERME.**

**— Niby tak. — Dom usiadł na jednym ze stojących
przed biurkiem foteli. — Ale to, że zamachy się nie udały,
nie było jego winą i nie było naturalne. Coś się stało, koło
Wieży czułem się jak zdalnie sterowana lalka... jakby
posługiwał się mną jakiś gracz, chcąc osiągnąć wyznaczony
cel. Albo gracze.**

**— WYRUSZYŁEŚ JUŻ PRZECIEŻ NA POSZUKI-
WANIE ŚWIATA JOKERÓW. I TO NIE TRACĄC
WIELE CZASU NA ZASTANOWIENIA.**

Dom pomyślał, ale nic inteligentnego nie przyszło mu

do głowy. Podobnie jak powód, dla którego podróżował po galaktyce. Owszem, bał się i uciekał, chciał zobaczyć, co się da, i była to przygoda — wszystko to było prawdą, ale nie całą...

— Wtedy wydawało mi się to właściwe — powiedział w końcu. — Nie potrafię wyjaśnić dlaczego.

— **PODDAŁEŚ SIĘ LOSOWI. PHNOB POWIEDZIAŁBY, ŻE PRZYJĄŁEŚ BATER! FILOZOF DROSK UZNAŁBY, ŻE SŁYSZAŁEŚ DZISIEJSZE ECHO JUTRZEJSZEGO KRZYKU. DZIAŁAŁEŚ, KIERUJĄC SIĘ PODŚWIADOMĄ WIEDZĄ.**

Ig wyplątał się z koszuli Doma, wystawił łeb i zamrugał gwałtownie.

— **JEŚLI CHODZI O SPRAWY WIDDERSHINS, NIE ZNALAZŁEM POWODÓW, DLA KTÓRYCH KTOŚ CHCIAŁBY CIĘ ZABIĆ. JEŚLI CHODZI O ZARZĄDZANIE PLANETĄ, SĄ W GALAKTYCE NIEPORÓWNYWALNIE GORSZE PRZYPADKI. OD PARU SEKUND SPRAWDZAM PROGRAM TWOJEGO RACHUNKU PRAWDOPODOBIENSTWA. WYGLĄDA NA TO, ŻE**

ODNAJDZIESZ ŚWIAT JOKERÓW. PANUJE PO-

WSZECHE PRZEKONANIE, ŻE INSTYTUT ZABIJA WSZYSTKICH MAJĄCYCH WEDŁUG PRZEPOWIEDNI OBLICZENIOWYCH SZANSE TEGO DOKONAĆ. ALE JAK DOTĄD NIKT NIE POTRAFIŁ PRZEDSTAWIĆ NATO CHOĆBY CIENIA DOWODU. Hrsh-Hgn syknął cicho.

— NIE WYDAJESZ SIĘ ZASKOCZONY.

— Wiem, że odkryję świat jokerów — powiedział ostrożnie Dom, czując na sobie spojrzenie phnoba. — Wiem to od chwili, gdy usłyszałem, jak ojciec to mówi... czuję, że różne rzeczy zaczynają do siebie pasować. Odkryję świat jokerów w czasie tej podróży. To najważniejsze, co muszę zrobić. I nikt mnie nie powstrzyma.

Sam był zaskoczony tym, co powiedział i jak to powiedział, ale był pewien, że tak będzie — ta pewność w jakiś sposób działała uspokajająco. Nim ustąpiła niczym sen pozostawiający po sobie jedynie miłe wspomnienia. Poczuł, że się czerwieni, a Ig przygląda mu się z ciekawioną, przekrzywiając łeb. Poczuł też dłoń phnoba na swym ramieniu. Przez kilka sekund z głośnika robota wydobywał się jedynie statyczny szum, dopiero potem

odezwał się

znacznie łagodniejszy głos Banku:

— NIE RYZYKUJ ŻYCIA, WIERZĄC W PEWNIKI.
WYSTRZEGAJ SIĘ DUMY I PYCHY.

Hrsh-Hgn pochylił się i powiedział nieco głośniej niż było potrzebne:

— Rozsssądek sssugeruje, że gdyby śśświat jokerów leżał w sssferze, zossstałby już znaleziony. Znam legendę mówiącą, że żyją w jądrze Procyona, dokąd nawet creapii nie mogą dotrzeć. Co ty na to?

— PRAWDE MÓWIĄC, CIEKAW BYŁEM TWOJEJ TEORII OGŁOSZONEJ DOTĄD TYLKO W JEDNYM EGZEMPLARZU.

— Jakiej teorii? — zainteresował się Dom. — Nic mi nie mówileś?!

— Bo przerwała nam wieża, pamiętasz?

— TO EKSTRAPOLACJA STWIERDZENIA “CIEMNA STRONA SŁOŃCA”! WYMAGA ZNALEZIENIA PODWÓJNEJ GWIAZDY PODOBNEJ DO EPSILON AURIGAE — zaczął Bank i wdał się w wyjaśnienia.

Po około trzech minutach Dom oznajmił:

— Pomysł rozumiem. Creapii używają w niektórych systemach tratw słonecznych.

— SĄ TO JAK DOTĄD JEDYNE ZNANE PRZYPADKI, GDY SŁOŃCA MAJĄ CIEMNĄ STRONĘ. JEST JEDNAK WIELE PODWÓJNYCH GWIAZD TEGO TYPU I SYSTEMATYCZNE POSZUKIWANIA BYŁYBY BARDZO CZASOCHŁONNE.

— Jak sssądzę, nie zgadzasz sssię z moją teorią? — spytał z namysłem phnob.

— GRATULUJĘ CI PEŁNEGO WYOBRAŹNI POMYSŁU — odparł uprzejmie Bank.

— Czy to prawda, co mówi legenda, że w uzyssskaniu śśświadośmośści otrzymałeśśś pomoc jokerów?

— NIE ODPOWIADAM NA OSOBISTE PYTANIA. JEST COŚ, CO POWINNIŚCIE WZIĄĆ POD UWAGĘ: DLACZEGO BY NIE PRZEPROWADZIĆ ROZSZERZONYCH OBLICZEŃ DLA DOMA I ODKRYĆ DOKŁADNIE, GDZIE I KIEDY DOKONA ODKRYCIA? ZROBIŁEM WŁAŚNIE ANALIZY, UWZGLĘDNIAJĄC JAKO PARAMETRY ISTNIENIE ŚWIATA JOKERÓW I JEGO NIEUCHRONNE ODKRYCIE. WYSZEDŁ MI NASTĘPUJĄCY WZÓR:

ncreg8

(bRf) (nultad) EYY -' (=) 56::: nultad

tt:

al

— TO NATURALNIE PIERWSZA, NIE
WYGŁADZONA WERSJA. Hrsh-Hgn zapisał wzór na
podręcznym sześcianie

i przyjrzał mu się z namysłem.

— Jaką wartośśś przyjąłśśś za realny
wszechśśświat? — spytał.

— Ae(d) W TYPOWEJ MATRYCY SUB-LUNARA.

— W takim razie rezultatem jest prawie idealne
ssskolapsssowanie pola w ciągu najbliższych dwudziestu
siedmiu dni.

— DOSKONALE. NIE WIEDZIAŁEM, ŻE PHNOBY
SPECJALIZUJĄ SIĘ W WYŻSZYM PRAWDOPO-
DOBIENSTWIE.

— To w związku z naszym wszechśśświatopoglądem,
rozumiesz.

Znudzony dyskusją, z której rozumiał głównie prze-
cinki, Dom podszedł do rośliny doniczkowej i pogladził jej
liść. Liść poruszył się, zdradzając wegej tatywnego

zmiennokształtnego z Eggplant. Doirj puścił go pospiesznie i pogłaskał Iga.

— Nawet nie będę próbował udawać, że rozumiem — odezwał się niespodziewanie. — Dla mnie to brzmi jak żargon.

— ŻARGON?

— Nonsssenssss — wyjaśnił Hrsh-Hgn. — Według sadhimistów Bóg wymyślił go, by odwlec pierwszy lot międzygwiezdny. Miało to utrudnić zrozumienie między naukowcami. Sssa o tym informacje w Nowszym Testamencie.

Światelka na ścianie zmieniły konfiguracje, a robot zagulgotał.

— ACH TAK. GDY SIĘ ROZWIJAMY, MNIEJ ISTOTNE INFORMACJE TRAFIAJĄ DO GORSZYCH OBWOŁOW... ROZUMIECIE, JAK TO JEST.

W obliczeniach — prorocत्वach rachunku prawdopodobieństwa nie występowało nic, co dotyczyło

jokerów. Wieże i inne artefakty według rachunku prawdopodobieństwa w ogóle nie istniały, podobnie jak sama rasa. A Dom miał przed sobą dwadzieścia siedem dni życia. Najwyżej.

— Miłe, że szybko znajdę świat jokerów — ocenił Dom. — A może tak dałbyś mi jakieś wskazówki, gdzie szukać?

— WSZYSTKIE NIE ZAMIESZKANE CIAŁA AS-
TRALNE W ZAMIESZKANEJ SFERZE ZOSTAŁY
DOKŁADNIE ZBADANE. SUGERUJĘ DOKŁADNE
SPRAWDZENIE SWOJEGO UMYSŁU. MOŻESZ TEŻ
POSZUKAĆ TEGO, KTÓRY ŻYJE NA BANDZIE. JEST
STARY. SPOTKAŁ KIEDYŚ JOKERÓW.

— Przecież w okolicy Bandu żyją tylko sundogi, udowodniono, że nie powstała tam wyższa forma życia.

— I TAK POWIEDZIAŁEM ZA DUŻO.

— A popracujesz nad problemem mojego zabójcy?
Nastąpiła krótka przerwa.

— TAK — odparł Bank.

— Potrać sobie należność z mojego konta osobistego.

— DZIĘKUJĘ. I TAK BYM TO ZROBIŁ. SZKODA,
ŻE NIE BYŁO CIĘ TU WCZEŚNIEJ: MÓGLBYŚ SIĘ
SPOTKAĆ Z NAJWIĘKSZYM AUTORYTETEM W
SPRAWACH JOKERÓW I Z
NAJELASTYCZNIEJSZYM UMYSŁEM W
GALAKTYCE.

Dom się odprężył, choć wiedział, że Bank coś ukrywał.

— Sądziłem, że najelastyczniejszy umysł to ty — uważał.

— POPULARNY BŁĄD. JESTEM RÓWNIE INTELIGENTNY JAK PRZECIĘTNY PRZEDSTAWICIEL RASY CREAPII, ALE MAM ZNACZNIE WIĘKSZĄ, LEPSZĄ I SZYBSZĄ PAMIĘĆ. MÓWIŁEM O CHARLESIE SUB-LUNARZE.

— “Poecie, najemniku, poliglocie, matematyku i wariacie” — zarecytował Dom. — To jego spotkałem w restauracji? Ten z bliznami i robotem klasy pierwszej?

— NIE POZWALA ROZPOWSZECHNIAĆ SWYCH PODOBIZN — odparł Bank z rozbawieniem.

— Chyba zaczynam rozumieć... to spotkanie nie było przypadkowe, tym bardziej że mnie rozpoznał. Wyglądał na zadowolonego z siebie, więc...

— DOM, PONIEWAŻ JESTEŚ MOIM CHRZEŚNIAKIEM, COŚ CI POWIEM. TWOJA BABKA JEST NA MOJEJ ORBICIE I ŻĄDA ZEZWOLENIA NA LĄDOWANIE.

Nad ramieniem robota wyłonił się ze ściany ekran, na którym było widać osobistą barkę Joan I *Drunk With*

Infinity dryfującą na tle gwiazd.

— WŁAŚNIE NAZWAŁA MNIE CYTUJĘ:
“ZAWSZONYM KAWAŁEM SKAŁY” — dodał radośnie
Bank.

— Nie jestem pewien, czy mam ochotę się z nią spotkać
— wyznał Dom.

— Ja nie mam. — Hrsh-Hgn był bardziej zdecydowany.

— ZACZYNA BYĆ NAPRAWDĘ CIEKAWIE. — W
skalnej ścianie odsłoniło się wejście do korytarza. — TO
TUNEL INSPEKCYJNY, KTÓRYM MOŻECIE WYJŚĆ.
DOKĄD SIĘ UDACIE PO STARCIE?

— Do pasa, żeby zobaczyć się z tym starym, o którym
mówiłeś.

— TAK STARY JAK WZGÓRZA, TAK STARY... —
Bank umilkł, lecz Dom odniósł nieodparte wrażenie, że
bezgłośnie się śmieje. — ... JAK MORZE. RUSZAJCIE!

Weźmy takich creapii.

Dawno temu istniał tylko jeden rodzaj creapii:
krzemowo-tlenowe, niskotemperaturowe, żyjące w
barbarzyństwie i w płynnych fosforanach sodowych na

jednej małej planecie krążącej w pobliżu 70

Ophiuchis. Siedemnaście lat świetlnych dalej sprytniejsza od innych małpa zaczynała rozumieć praktyczne możliwości płynące z walenia kamieniem o kamień.

Creapii byli łagodni, cierpliwi i niezwykle ciekawi oraz patologicznie pokorni. Kiedy zaczęli się pojawiać w kosmosie, zmienili, co uważali, by się dostosować do nowych warunków. Pół miliona lat manipulacji genetycznych i radykalnej restrukturyzacji molekularnej dało średniotemperaturowy rodzaj creapii oparty na więzi krzemowo-węglowej. Rodzaj dynamiczny i doskonale czujący się w okolicach pięciuset stopni Celsjusza.

Wkrótce udało się ustabilizować polimery aluminiowo-krzemowe, co pozwoliło na powstanie rodzaju wysokotemperaturowego. To jego przedstawiciele zapuszczali się tratwami słonecznymi na chłodniejsze gwiazdy.

Naturalnie odmian było znacznie więcej, co skutecznie dowodziło, iż gdziekolwiek by gwiazda rozgrzała planetę tak, że zaczynały na niej płynąć skały, przynajmniej jeden przedstawiciel rasy creapii pлавił się tam w przyjemnym cieple.

Rasa ta miała długą historię, wypełnioną poszukiwaniem wiedzy, któremu to zajęciu creapii poświęcali się z podobnym zapamiętaniem jak inne rasy łowom. Byli uprzejmi i uparci, dobrze mieszały się z innymi rasami i żyły w gorącu, lecz nie posiadali płci.

Domowi spodobała się teoria Hrsh-Hgna.

W galaktyce było wiele podwójnych gwiazd i często nie stanowiły dobranych par — jedna mała, gęsta i biała, druga wielka, rzadka i czerwona. Na półkuli nie oświetlanej przez jaśniejszą gwiazdę panowało coś, co z braku lepszego określenia należało nazwać nocą. Ciemna strona Słońca mogła być za taką uznana tylko przez kontrast...

Ponoć rasa jokerów żyła na takich właśnie gwiazdach. A skoro tak, to musieli być podobni do creapii i mocno polegać na technice, by przeżyć. Zanim creapii odkryli energię matrycy, ich tratwy poruszały się zgodnie z prądami utleniającego się żelaza, ale jokerzy musieli być bardziej pomysłowi. Rasa, która skręciła Gwiazdy Łańcuchowe, musiała być pomysłowa...

Energia nie powinna stanowić problemu. Zresztą zupełnie wystarczające źródło energii było w zasięgu... przynajmniej teoretycznie... Weźmy teraz pod uwagę

człowieka. Dziwne artefakty jokerów przestały powstawać, jeszcze zanim pojawił się brat małpy, czyli człowiek, ale skąd człowiek tak naprawdę się wziął? A ludzie także łatwo się adaptowali — przez ledwie tysiące lat kolonizacji wykształciły się wyraźne różnice w zależności od warunków panujących na planetach, na których żyli. Na Widdershins na przykład mieszkali czarnoskórzy, łysi i odporni na raka skóry, o oczach wytrzymałych na promieniowanie ultrafioletowe i w połowie leworęcy (to ostatnie było wynikiem przypadku). Na Terra Novae ludzie byli silni, masywni, o dwóch sercach. Na Whole Erse wieczni wojownicy. Na Eggplant dziwni, narwani wegetarianie o zielonych zębach i kolcach. A przecież wszyscy po zostali ludźmi i w dodatku stanowili galaktyczną ciekawostkę — wszak największymi ekspertami w sprawach jokerów byli ludzie.

Spoonerzy mogliby być jokerami — na lodowych planetach znaleziono tyle samo artefaktów, ile na gorących, a ciemna strona Słońca nabierała nowego znaczenia, jeśli miało się do czynienia z planetami poruszającymi się po bardzo odległych orbitach, Sidewinderzy, tarquini, nawet The Pod... każdy z tych ras to mogli być jokerzy.

I gdzieś tam znajdował się świat jokerów — planeta legendarna od tak dawna, że nikt już w legendę nie wątpił. Znajdowały się tam tajemnice wież, maszyny, które stworzyły Gwiazdy Łańcuchowe, i wiedza wraz z odpowiedzią na podstawowe pytanie: jaki jest sens wszechświata.

Blady blask oświecał krzyżówki w tunelu, którym spieszyli, omijając niewielkie roboty dyżurujące przy skrzynkach bezpiecznikowych. Szybko dotarli do przestronnej kabiny, której większość zajmowała potężna maszyna.

— Wiesz, co to jest? — spytał Hrsh-Hgn.

— Silnik matrycowy — odparł spokojnie Dom. — Typ montowany na okrętach liniowych. Bank ma swoją flotę, prawda?

— Wątpię.

Niewielki robot zahamował przy nich z piskiem opon, popychając wyścielanym ramieniem, co nie odniosło żadnego skutku. Pobiegli następnym tunelem i znaleźli się w bocznej jaskini, dochodzącej do głównej hali. W ścianie z boku znajdowało się wejście na lądowisko, a w jaskini

kręciło się sporo istot różnych ras. Na wszelki wypadek rozdzielili się — Dom nie miał najmniejszej ochoty spotkać się /, Babcią, toteż przemykał od grupy do grupy, rozglądając się uważnie. Hrsh-Hgn, żywiący podobną niechęć, skakał sztywno, co na Phnobis uchodziło za konspiracyjne skradanie się.

Dom dotarł mniej więcej do połowy jaskini, gdy dostrzegł wchodzącą Joan I otoczoną sześcioma robotami strażnikami. Jak zwykle, choć były fizycznie wyższe, górowała nad nimi. Wyglądała na zdeterminowaną. Odruchowo przykucnął i jakaś dłoń złapała go za ramię. Odwrócił się błyskawicznie i zamarł.

Mężczyzna uśmiechał się, choć uśmiech zupełnie nie pasował do jego twarzy. Dom dostrzegł niebieski płaszcz i złotą obrożę. I przypomniał sobie, z kim ma do czynienia. Spróbował się cofnąć, lecz dłoń podążyła jego śladem, nie puszczając ramienia. — Nie obawiaj się, proszę. Dom spróbował się wyśliznąć z uchwytu i nagle wokół jego ramienia zrobiło się dziwnie aktywnie — dłoń puściła, gdyż Ig wbił się w kciuk, a zęby miał drobne, ale niezwykle ostre. Mężczyzna pobladł, lecz nie krzyknął. Dom zaś cofnął się — prosto w objęcia robota. I nie zwlekając, wystartował.

Teoretycznie *rzecz biorąc*, latanie na terenie Banku zawsze było zabronione, ale miał nadzieję, że tym razem Bank nie będzie interweniował. Sandały antygrawitacyjne opracowano z myślą o pojedynczym użytkowniku, ale tak, by działały również w polach silnego przyciągania, toteż uniósł się wraz z robotem. Z góry dostrzegł dwa inne, spoglądające w górę, i kolejną parę otaczającą Hrsh-Hgna.

Lot pionowy dawał dziwny spokój — ryk tłumi ucichł, pozostał tłem. Dom spojrzał w wielopłaszczyznowe oczy robota, w których odbijały się otaczające ich kolumny, i spytał: . l

— Jesteś klasy drugiej, prawda?

— Tak, proszę pana.

— Jesteś wyposażony w motywator osobistego bezpieczeństwa? '

— Nie, proszę pana.

Dom złączył pięty, zrobił przewrót i zaczął nurkowanie. Trzydzieści jardów nad podłogą wyszedł z niego ostrym skrętem ciała i poczuł, że koszula drze się, pozostając w dłoniach robota, który kontynuował lot nurkowy. Po pięknym łuku zakończył go na słupie germanu w efektownym rozbłyску i deszczu gorących kropli.

Z podłogi unosiły się dwa następne roboty wyposażone w antygrawitacyjne pasy, toteż ruszył w górę ku sufitowi poznaczonemu czarnymi plamami. Dopiero gdy znalazł się bliżej, dostrzegł, że są to wyloty jaskiń lub tuneli. I zauważył, że w pobliżu sklepienia jest znacznie cieplej — gorące powietrze z rykiem uchodziło do otworów i Dom popędził wraz z nim z prostego powodu: nic innego nie mógł zrobić.

Nim się zorientował, prąd powietrza wyniósł go do szerokiego na milę szybu wentylacyjnego, na który wychodziły wszystkie tunele i jaskinie. Szyb liczył wiele mil długości i gdzieś tam w dole widać było oślepiająco biały punkt i słyszać grzmoty. Gorąco było prawie namacalne, a pęd tak silny, że złapał go niczym listek i wystrzelił na podobieństwo pocisku.

Po zapierającym dech i na szczęście krótkim locie Dom wystrzelił nad powierzchnię w słupie rozgrzanego powietrza. Wokół panowała noc, z jednej strony (bo pojęcie góry i dołu przestało chwilowo istnieć) rozświetlona gwiazdami. Z drugiej widać było jedynie czerwone oko z białą źrenicą. Oko zdawało się odpływać, za to wokół pojawił się dym — kopciły się sandały, i to na potęgę. Coś

go złapało — coś, co zawsze czekało poza granicą światła. Dom zdał sobie tępo sprawę, że dotyk poprzez parę warstw bólu jest prawie przyjemny, choć zamrażał mu oddech w krtani i pokrywał ozdobioną bąblami skórę wzorem kryształków.

Mieszkańcy Widdershins są zręczni — niezręczni szybko tracą życie w czasie połowów. Coś z tej zręczności przeszło na ród Sabalosów i dzięki temu Dom wylądował na nogach. Za to ciężko. I natychmiast zwałił się w śnieg. Wiedział, co to takiego, bo Keja przysłała mu kilka płatków zebranych w zimniejszych rejonach Laoth. Tylko nie napisała, że może ich być aż tyle...

Zgodnie z większym sadhimistiańskim kalendarzem na Widdershins przypadała akurat Noc Pomniejszych Bogów, co oznaczało większe niż zwykle zebranie klatchu albo i kilku klatchów na uroczystości. O północy każda z grup rozdzielała się tak, by każdy z członków mógł samotnie obserwować świt. Jak napomykali jednak starsi wiekiem wyznawcy tej nocy, tak naprawdę nikt nie był sam. Rankiem niektórzy okazywali się poetami, inni prorokami albo muzykami. A kilku — szaleńcami.

Grunt, na którym Dom leżał w kałuży letniej wody, był ciepły — stwierdzenie tego zajęło mu jednak zadziwiająco dużo czasu. Mieścił się w niej swobodnie. Dalej leżał śnieg.

Usłyszał odległy ryk powietrza i dostrzegł coś przelatującego przed gwiazdami szybciej od dźwięku. Owo coś zakreśliło prawie w miejscu, za nic mając prawa ciężenia, wróciło natychmiast i zatrzymało się zgrabnie przy kałuży, która zaczynała zamarzać. Statek zatańczył chwiejnie,

odzyskał pion i znieruchomiał. W burcie otworzył się właz i Isaac zapytał:

— To jak będzie? Wynosimy się stąd czy szefowi się spodobało?

— Miętowej sodowej, szefie?

Dom wziął szklankę, w której pobrzękiwało tyle lodu, że na zewnętrznych ściankach tworzył się szron, i upił ostrożnie łyk. Smakowało jak danie nura w zaspę.

Na rękach, nogach i karku czuł świeżą skórę po regeneracji, poza tym czuł się jak zwykle. Isaac złożył pokładowy warsztat i zamocował na powrót podeszwy w sandałach.

— Przegrzały się i przepaliły — wyjaśnił, podając Domowi obuwie. — Teraz powinny być dobre.

Dom nie odpowiedział, przyglądając się przez okno powierzchni Banku. Kałuża zamarzała na kość, tworząc połyskującą plamę na śniegu. Nie da się ukryć, miał szczęście — po słonecznej stronie woda gotowała się w cieniu. Wywołał Bank przez radio i to, co usłyszał, nie napawało optymizmem — Babcia zabrała Hrsh-Hgna na barcę, a o zabójcy ze złotą obrożą Bank nie wiedział nic. Podobnie jak o losach Iga. Powierzchnię podgrzał, by

umożliwić Domowi przeżycie, ponieważ, jak to ujął, śmierć w Banku zdarzała się rzadko, a na Banku jeszcze rzadziej i nie lubił związanych z nimi nieuchronnych śledztw.

Dom skończył rozmowę i siedział chwilę, bębniąc palcami po konsolecie łączności i przyglądając się odbiciu swej twarzy w ekranie. Była zielonkawa z ciemnozielonymi plamami po ostatniej regeneracji, jako że breja na barwę skóry zwracała minimalną uwagę. W oczach widział wspomnienie niedawnego bólu, ale myślał o czymś zupełnie innym — o mężczyźnie w złotej obroży, który straszył go w snach.

— Nikt go nie zauważa — powiedział głośno. — To po prostu twarz z tłumu... I chce mnie zabić.

Powoli wyjął ostatni prezent od Korodore'a. Sporo z nim ćwiczył, ucząc się posługiwać dziwną, wszechstronną bronią o czterech formach zaprogramowanych w atomy, z których się składała. Długi miecz, krótki szeroki nóż, pistolet produkujący kule z zamrożonej wody atmosferycznej i wystrzeliwujący je z prędkością pozwalającą na przebicie płyty pancernej oraz miotacz dźwiękowy...

— Nie wiem, skąd babcia wiedziała, że tu właśnie

przylecimy — przyznał. — Choć to logiczne miejsce... za to wiem, gdzie poleci teraz.

— Na Widdershins?

— Na Band. Wydostanie wszystkie informacje z Hrsh-Hgna, a raczej już je wydostała. Wystarczyło, że zagroziła mu repatriacją na Phnobis.

— Jakoś mi to nie wygląda na groźbę, szefie — ocenił robot.

— Dla phnoba jest, i to poważna. Jeśli wróci na Phnobis, bardzo szybko i nieuchronnie spotka go ceremonialne tshuri. Już pozostali się o to postarają, nie ma obaw. Hrsh powiedział wszystko, co wiedział, i pewnie sporo rzeczy, które właśnie wymyślił.

Isaac siadł w fotelu pilota i zaproponował:

— Możemy wrócić do domu. W końcu chodzi jej tylko o dobro szefa, szefie.

— Nie możemy wrócić. Nie potrafię tego uzasadnić, ale nie mam wyboru, muszę dokończyć to, co zacząłem... Rozumiesz?

— Nie i nie próbuję. Band, tak? Skalibrowałem komputer nawigacyjny, powinien działać...

— Lepiej, żeby tak było — doradził Dom, nie wy-

puszczając z dłoni mnemomicza: jeśli ktoś czekał na niego na Bandzie...

Świejące ściany.

Widmowe, na wpół rozmazane wizje.

Miniaturowe gwiazdy i klaustrofobia wywołans przebywaniem w małym stalowym pudełku w kosmosie.

I iluzje.

— Rany, co to było?

— Dinozaur, szefie. W paski.

Potarł obrożę, nie okazując złości. Złość przeszkadzała skuteczności, a on i tak żył w stanie ciągłego rozdwojenia. Jedynie czasami pozwalał sobie na myśli — nie pełne złości, ale chłodnych, zdecydowanych stwierdzeń, co zrobiłby, gdyby zdołał zdjąć obrożę. Co zrobiłby z Asmanem i zboczonym geniuszem, który wymyślił i opracował system zamontowany w obroży. Na początek z nimi.

Drzwi otworzyły się.

Asman spojrzał i zamarł. Za jego plecami długie pomieszczenie na sekundę także zamarło. Jak zwykle. W następnej sekundzie Asman celował już w niego, wskazując drugą ręką na trzy kości i kubek na stoliku przy drzwiach.

W prawej dłoni trzymał strippera ze zdemontowanymi wszystkimi bezpiecznikami i podpiłowanym spustem. Nawet w ostateczności zdołałby wystrzelić, o czym obaj wiedzieli.

Wziął kubek i od niechcienia wyrzucił kostki na stół.

Trzy szóstki.

— Jeszcze raz! — polecił Asman. Ponownie trzy szóstki.

— Jeszcze raz? — spytał uprzejmie. Asman uśmiechnął się, odłożył broń i potrząsnął głową.

— Przykro mi — powiedział, nawet nie próbując udawać, że tak jest w istocie. — Wiesz, jak to jest.

— Wiem. Pewnego dnia mi się nie uda. Pomyślałeś o tym?

— W dniu, w którym tak się stanie, Ways, będzie to oznaczało, że to nie ty stoisz w drzwiach. Albo jeśli to będziesz ty, nie będziesz już sobą. I wiesz, że wtedy strzelę.

— Asman wstał. Obszedł biurko i klepnął go w ramię. — Dobrze ci poszło. . . , ,

— A jak niby miało pójść?

Ways miał kiedyś okazję zobaczyć własną specyfikację. Było to w szybie technicznym wypełnionym

chlorem, gdy nie był oficjalnie używany, by uniemożliwić nielegalne dotarcie do danych osobowych. Nie pamiętał, po co konkretnie się tam zjawił — było to jedno z wielu zadań zleconych przez Asmana, ale I przypadkiem natknął się tam na własne dane i zapamiętał je.

Był robotem klasy piątej, ale z dużymi modyfikacjami. Miał ukrytą broń, systemy łączności i skrytki, i był zewnętrznie repliką człowieka. Opracowanie go było kilkakrotnie trudniejsze od zaprojektowania normalnego robota. Choćby urządzenia pozwalające mu płakać czy system powodujący wzrost włosów na głowie, nie wspominając już o specjalistycznym wyposażeniu zawodowym. A na dodatek jeszcze jedno; specyfikacje w znacznej części wypełniały wzory prawdopodobieństwa i dość długo zastanawiał się dlaczego. Otóż roboty klasy piątej były prawnie ludźmi, gdyż opracowywano je tak, by były wszystkim, czym mógł być człowiek; jego zaprojektowano tak, by był szczęściarzem.

Asman zaprowadził go do fresku zajmującego całą długą ścianę niskiego pomieszczenia. Niczym się ono nie wyróżniało, podobnie jak ludzie obsługujący urządzenia — mogłoby to być centrum dowodzenia ochrony na

jakiejkolwiek planecie kierowanej przez radę. Z jakości powietrza i światła sądząc, pomieszczenie to znajdowało się pod ziemią. Ways zresztą mógł dokładnie ustalić, ile poziomów pancerza i ekranów je osłania. Sądząc po jego zachowaniu — podświadoma wyższość i pewność siebie kogoś, kto jest u siebie w domu — znajdowali się na Ziemi: Asman był Ziemianinem.

Fresk przedstawiał jasno oświetloną płataninę wielobarwnych linii, kół i bloków rachunku prawdopodobieństwa bez przerwy nieznacznie się zmieniających.

— Dobrze ci poszło — powtórzył Asman — bo skierował się wzdłuż właściwego wyliczenia.

— A skąd mam to wiedzieć? Ja tylko próbuję go zabić tak jak innych. Mam spróbować na Bandzie?

— Nie. Następna twoja interwencja będzie... — Asman przyjrzał się tęczowym liniom — ...po jego wizycie u creapii. Mamy zresztą plany na każdą ewentualność w obliczeniach. Wtedy zabierzemy się za niego i do creapii. Potem jeszcze raz, gdy znajdzie się na Laoth i będziemy we wszechświecie jokerów.

— Te informacje są mi potrzebne? — spytał Ways,

mrugając powiekami.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To, co powiedziałem. Wykonano mnie gdzieś na Laoth albo na Księżycu według dostarczonych przez ciebie zapotrzebowań. Jestem robotem.

— Co niczego nie zmienia: gdyby na naszym miejscu byli creapii, po prostu wyhodowaliby odpowiedniego osobnika. Ponieważ ludzi nie da się w ten sposób modyfikować, boby tego nie przeżyli, zbudowano ciebie...

— Wiem. Jestem repliką człowieka, od rosnących paznokci do drażniącego potu pod pachami. Wszystko sfalszowane. Więc, czy te informacje muszę znać?

— Rozumiem. Nie jesteś ciekaw?

— Oczywiście. Dlaczego on nie ginie, gdy go zabijam?

— Bo wszechświat się zmienia.

Jeśli strzeli się do kogoś z bliska tak, że promień strippera obejmie całe ciało ofiary, to według wszelkich zasad sztuki i nauki powinna zostać z niego jedynie monomolekularna mgła, trochę śmiecia na podłodze i smród spalenizny. Zdarzają się jednak przypadki — stripper może się zdesynchronizować albo

strzelający miał halucynacje, że strzelał. W zmienia-

jącym się wszechświecie przypadki są na porządku dziennym, ponieważ nie istnieje w nim coś takiego jak związek przyczynowo-skutkowy i absolutna pewność. Rządzą nim lokalne wiry w strumieniu całkowitej przypadkowości — rzucona w górę moneta może spaść na każdą ze stron, na kant albo nie spaść wcale.

— Dom Sabalos najprawdopodobniej odkryje świat jokerów w ciągu... — Asman spojrzał na koniec fresku — ...najbliższych dwudziestu dni standardowych. Nie jesteśmy w stanie go powstrzymać i jest to nasza pierwsza porażka po paru tysiącach sukcesów.

— Dwóch tysiącach trzystu dziewięciu — odezwał się Ways. — Wiem, bo ich wszystkich zabiłem.

— Wszyscy mieli prawidłowe równania życiowe, każdy mógł dokonać odkrycia. Choćby jego ojciec.

— A teraz to nie działa — ocenił spokojnie Ways. — Znaleźliśmy historię, której nie jesteśmy w stanie zmienić, a co gorsza staliśmy się podejrzani. Weźmy młodego Sabalosa; nadzwyczajne środki ostrożności na zupełnie niegroźnej planecie. Ród po śmierci ojca musiał nabrać podejrzeń, że chłopakowi coś grozi, i to spoza planety. Prywatnie wątpię, czy w ogóle powiedziano mu wcześniej o

istnieniu jokerów. I jeszcze jedno: praktycznie zmuszono go, by odkrył świat jokerów. Asman bez słowa zatarł ręce.

— Gdybyśmy nie próbowali go zabić, prawdopodobnie wciąż przebywałby na Widdershins — kontynuował Ways.
— A tak lata po galaktyce z robotem i ekspertem od spraw jokerów. I to dobrym, z tego co słyszałem.

— Naturalnie nigdzie nie musi latać — zauważył Asman. — Ale to, co powiedziałaś, jest prawdą. W związku z tym opracowaliśmy plan awaryjny: jeśli wszystko inne zawiedzie, możemy lecieć za nim.

Zapadła ciężka cisza, którą przerwał dopiero Ways cichym pytaniem:

— Na ciemną stronę Słońca?

— Jeśli nie będzie innego wyjścia, tak. Według ostatnich obliczeń tak właśnie zrobimy.

— I przygotowujecie się do tego?

— Już jesteśmy przygotowani. Czasami mam upiorne wrażenie, że żyjemy w zamkniętym kręgu stale powtarzających się wydarzeń. Robimy coś, gdyż tak zostało przepowiedziane, a przepowiedziano to, bo tak postąpiliśmy: wyłącznie skutki bez przyczyn. Mimo to polecimy, i to dobrze uzbrojeni.

Ways przyjrzał mu się uważnie, po czyni rozejrzał się po sali, rozważając możliwość życia w ostatecznym zamkniętym obwodzie i zastanawiając się, czy jego mieszkańcy zdają sobie z tego sprawę.

— Nie przekonuje mnie to — stwierdził. — Dlaczego on nie umiera?

— A uwierzysz, że jokery zmieniają wszechświat, by pozostał żywy? — spytał Asman, wzruszając ramionami. — Ostatnio to najpopularniejsze wyjaśnienie. Może chcą, by odkrył ich planetę. Może czekają, by zostać odkryci: to nasza główna hipoteza. Może to jedyny sposób, by dotrzeć do wszechświata, w którym żyją: metodą drobnych kroczków i zmian we wszechświatach. To mniej popularna wersja, ale również warta rozważenia. .

Ways milczał. *.•• ' f •.

— Zdaje się, że dałem ci do myślenia? ^ Robot przytaknął, odsunął płaszcz i pogrzebał przy swej piersi. Otworzyła się w niej skrytka, z której wyjął małą klatkę pośpiesznie zespawaną z grubego przewodu energetycznego. Siedzące w niej sześcionogie różowe stworzenie przypominające szczura z trąbą poruszyło się, zawyło i opluło Asmana.

— Spodziewam się, że wiesz, co to takiego? — spytał.

— Jego maskotka. — Asman zamyślił się. — Jest w herbie Widdershins, a w detale się nie wgłębialiśmy. Ig. Dziwny stworek, prawda?

— Dziwny — przyznał Ways. — Wiem, jak się rozmnażają i co jedzą; to ostatnie z doświadczenia, najwyraźniej sztuczną skórę też. Ostatnio stałem się ekspertem od igów. Poławiacze z Widdershins uważają, że to dusze ich utopionych towarzyszy: najwyraźniej są podobne. Są trzecim co do wielkości lądowym gatunkiem na tej planecie. Phnoby twierdzą, że przynoszą szczęście, a poławiacze, że jak się któryś zaprzyjaźni z człowiekiem, nigdy nie zginie on gwałtowną śmiercią. Mogą mieć elementarny zmysł psychiczny, jak psy czy smoki z Third Eye, choć trudno powiedzieć dlaczego, skoro nie mają naturalnych wrogów. Stały się czymś w rodzaju godła planety. Bomba powinna zostać umieszczona pomiędzy żebrami.

— Bomba?!

— Sądzę, że planujesz zabić Doma, gdy poznasz lokalizację świata jokerów. Proponuję ci sposób: to stworzenie owija się wokół jego szyi, mogę bez podejrzeń zorganizować, by do niego wróciło.

Asman odebrał klatkę i przykrył ją kawałkiem materiału.

— Prawdę mówiąc, rozważaliśmy coś podobnego — przyznał trochę nerwowo. — Lubisz jedzenie? Klatka wraz z pomocnikiem zniknęła za drzwiami.

— Do pewnego stopnia kalorie są użytecznym dodatkiem energetycznym, jak wiesz — odparł rzeczowo Ways.

Udali się więc do The Dark Side of The Sun, jednej z najsłynniejszych w zamieszkanym świecie restauracji.

Był to niski budynek udający budowlę phnobów, zlewający się z piaszczystymi wydrami w połowie

drogi między Instytutem Jokerów a morzem Minnesota. Wokół wyrosło niewielkie miasteczko powstałe dzięki turystyce, napływowi gości i przemysłowi związanemu z jokerami i instytutem. Większość turystów ludzi (głównie z Ziemi) przybywała, by na własne oczy zobaczyć obcych i poczuć się kosmopolitami, w czym ze wszech miar starała się pomóc obsługa restauracji. Ściany zdobiły holograficzne freski — tratwy słoneczne creapii dryfujące przez Lutyen 789-6, ósmak drosków podczas uczty pogrzebowej, zdeterminowani ogrodnicy walczący z dzikim drzewem na

Eggplant, spoonerzy robiący coś niezrozumiałego na nieznanej lodowej planecie. Oprócz malowideł były też rzeźby, ponoć autentyczne. Kolekcja phnobich wyrobów wyglądała fałszywie i nieprzekonująco, za to rzeźba śnieżna jakiegoś nieznanego droska z zatoki Tka musiała być prawdziwa, podobnie jak trudne do zrozumienia, a co dopiero opisanie coś, co powoli obracało się pod sufitem i okazjonalnie odbijało od ścian. Podłogę pokrywał żywy i świadodomy bowdler będący na liście płac, a roboty — kenelrów co do jednego zbudowano na Laoth. Lokal cieszył się sporym uznaniem ras obcych lubiących tutejszą kuchnię i zdecydowanie nieziemską atmosferę... Menu na okładce ozdobione było miedzianym mottem: "Podajemy wszystko".

— Słyszałem, że kiedyś jakiś drosk zażądał grzanki z mózgiem swej babki — powiedział Asman, gdy siedli przy stoliku.

— Na co usłyszał, że przepraszają, ale skończył im się chleb. I uwierzył, naiwniak. Ostatni raz tę historyjkę słyszałem na Terra Novae. Zamówię to co ty, jeśli jest wysokokaloryczne.

— Mam ochotę na pinealskie danie "Szczęściarski

kuskus". Za Asmanem, albo raczej nad Asmanem znajdował

się kolejny fresk — jako że stół był dla specjalnych gości, to i fresk także był specjalny. Asniana, dyrektora instytutu, zawsze obsługiwano z pompą — był sporą atrakcją.

Malowidło przedstawiało reprezentantów kilkunastu bardziej rozpoznawalnych ras zgrupowanych w służalczej pozie wokół tronu, na którym, siedział humanoid w kostiumie arlekina i w czapce z dzwoneczkami. Uśmiechniętą kretyńsko twarz miał pomalowaną na białą, a za nim widać było słońce, którego jedna półkula pogrążona była w cieniu, a z drugiej widoczny był jedynie sierp.

— Są jakieś specjalne powody, dla których jokera przedstawiono jako humanoida? — Ways z wprawą zgarnął trochę zawartości z dymiącej miski, ugniótł i połknął w całości.

— Nie, choć "Joker" to ludzki przekład nazwy. Natomiast jeśli chodzi o graficzne przedstawienie, powinno być zrozumiałe, stąd forma humanoidalna. Masz coś przeciwko wymowie tego obrazka?

— Joker jako Pan stworzenia? Pasuje do pomysłu, że to oni rozsiali życie rozumne w okolicy. Sądząc po minie, chcieliście dać do zrozumienia, że nie zrobili tego z altruistycznych powodów. Niewolnicze rasy podległe?

— Być może. Ludzie... mam na myśli prawdziwych ludzi, bez mutacji genetycznych wywołanych długoletnim mieszkaniem na jakiejś planecie... nie mogą sobie pozwolić na przypadkowe spotkanie z jokerami, kimkolwiek by byli. Są co najmniej pięć milionów lat do przodu w stosunku do nas. Przez długi czas mieli galaktykę tylko dla siebie i w przeciwieństwie do nas nie musieli się uczyć, jak współżyć z innymi. Dlatego prowadzimy poszukiwania: nie możemy pozwolić, by znaleźli nas pierwsi i na swoich warunkach. — Zakładacie więc, że nadal żyją?

— A co niby mogło ich zabić? Z naszego punktu widzenia są bogami albo demonami; kwestia gustu; Sądzymy, że po prostu się ukrywają i czekają. '

— A co ze mną? — spytał cicho Ways.

Asman przez chwilę był tak zaskoczony, że nawet nie próbował tego ukryć. Potem przybrał klasyczne nieprzeniknione oblicze, lecz zrobił to o sekundę zbyt

szybko.

— Chcesz opuścić instytut?

— Tylko to — Ways wskazał obrożę — mnie trzyma i doskonale o tym wiesz. Jasne, że chcę odejść; wiem, ile kosztuję i dlaczego zostałem zbudowany. Spłacę was do ostatniego pikostandardu i możesz sobie zatrzymać całą charakteryzację na człowieka. Nie będzie mi potrzebna...

W pół zdania runął nagle z krzesłem do tyłu, zmieniając je przy okazji w szczapy, odbił się i po salcie w tył wylądował na ugiętych nogach. Kolejny skok zakończył dwa stoły dalej, tuż obok biegnącego mężczyzny. Złapał go za nadgarstki i zmusił do wypuszczenia niewielkiego miotacza dźwiękowego. Broń upadła na dywan, który zadrgał niebezpiecznie. Ways dziabnął mężczyznę palcem w szyję, a ten zwałił się bezszelestnie i znieruchomiał. Robot uklonił się uprzejmie, przepraszając gościa z Whole Erse spoglądającego w osłupieniu na resztki swego posiłku, i wrócił do Asmana.

— Przepraszam — powitał go dyrektor. — Zabójcy są wpisani w moje pobory.

— Za głośno ustawiał broń — wyjaśnił Ways. — Mam nadzieję, że zostałeś wcześniej uprzedzony.

— Tak, trzy dni temu regularnym kontraktem z United Spies, ale przyznam, że tu nie spodziewałem się ataku: dyrektor lokali poczynił stosowne kroki, by mu nieboszczykami gości nie płoszyli. Sądzę, że wyniknie z tego spora awantura.

— Wiesz, kto go wynajął?

— Nie. Kontrakt był standardowy na broń palną lub energetyczną. Mam pewne podejrzenia, ale to już mój problem. Dziękuję ci.

Do restauracji weszła dyskretnie para strażników pilnujących instytutu i usunęła ciało. Ways rozejrzał się nieznacznie. Dwóch pomniejszych urzędników Rady Ziemi dyskutowało ze starszym kelnerem, ale nie pochodzący z Ziemi goście wrócili do przerwanych posiłków. Niektórzy byli przekonani, że to część artystyczna wieczoru. Na Whole Erse na przykład w czasie święta Starveall były tancerki, które... przerwał napływ zbędnych informacji i przyjrzał się innej parze gości częściowo ukrytych za udomowionym okazem pinezkwca z Eggplant. Jednym był masywny mężczyzna w dobrym, lecz znoszonym ubraniu, drugim zabytkowy robot. Jako jedyni się nie odwrócili, słysząc zamieszanie. Grali w jakąś grę małymi robotami na

szachownicy.

Ways odwrócił się do Asmana i oznajmił:

— Po tym ostatnim zadaniu opuszczę instytut zgodnie z Siedemnastą Poprawką do Praw Robotyki. Dzięki za posiłek: był wysokoenergetyczny. Miłego wieczoru.

Gdy Ways opuścił salę, Asman siadł wygodniej i w zamyśleniu wpatrzył się w ścianę. W wewnętrznym uchu coś mu zabrzęczało, a potem rozległ się znajomy głos. A raczej dwa głosy będące akustycznym przekazem aury towarzyszącej procesom myślowym.

— Interesujące.

— Być może, ale sugeruję, żebyś natychmiast kazał zdemontować tego robota — powiedział drugi głos.

— Panie przewodniczący, ile osób bierze w tym udział? — zdziwił się Asman.

— Tylko ja i lady Ladkin, to nie jest, ma się rozumieć, formalne spotkanie rady. Obserwowaliśmy z zainteresowaniem rozwój wydarzeń, choć obawiam się, że we wnioskach nieco się różnimy.

Asman skinął na kelnera i wyszedł z lokalu. Na zewnątrz zapadła noc, ale krętą piaszczystą drogę do instytutu znał na pamięć.

— Ways da sobie radę — zapewnił.

— Po co musimy użerać się z tym robotem? — Lady Ladkin nie kryła niechęci. — Znam wielu ludzi łączących lojalność i zdolności.

— Nie mówiąc o prorocत्वach obliczeniowych, z których jasno wynikało zastosowanie przez nas takiego robota, Ways wielokrotnie udowodnił swą wartość. Zainicjował na przykład zamieszanie w Radzie Terra Novae, że nie wspomnę o paru tysiącach skutecznych zamachów. Panie przewodniczący, mogę kontynuować?

— Proszę uprzejmie. Komentarz nie dotyczył pana, tylko orkiestry. Jestem na premierowym koncercie orkiestry Tactile z Third Eye. Brak im jaj i życia, niestety.

— Zorganizowałem ten wieczór, jak sobie życzyliście, narażając się przy tej okazji. Temu zabójcy mogło się udać: United Spies zrozumieli moje życzenia, ale formalności należało dopełnić, toteż wysłali dobrego zawodowca. Jak wiecie, monitorujemy robota; nienawidzi instytutu i do pewnego stopnia sympatyzuje z rodem Sabalos...

— Jak ja — przerwał mu przewodniczący. — Sądzę, że młodego kiedyś spotkałem... Niegdyś byłem za-przyjaźniony z jego babką. Musi być teraz stara... Świetna

kobieta... Wybiła dwudziesta czwarta, panie Shallow.

— Musimy chłopaka traktować jako instrument —
powtórzył cierpliwie Asman, omijając kolejną wydnię. —
Waysowi go żal, ale sędzę, że udowodniłem

ponad wszelką wątpliwość, że Ways musi być wobec
nas lojalny. W tej kwestii nie ma wyboru. Jak sam
przyznał, jest robotem, a nawet robot klasy piątej może
mieć wbudowane określone imperatywy.

— Ta obroża... — zaczęła lady Ladkin.

— Uruchomi się, gdyby Ways postąpił inaczej, ni mu
polecono, co jest mało prawdopodobne — zf pewnił ją
pospiesznie Asman.

Mruknęła coś i umilkła.

— Mogę przystąpić do realizacji dalszej części planu?

— Okropność, nie muzyka!... och, tak, naturalnie.
Przepowiednie obliczeniowe dają człowiekowi komfort
psychiczny, prawda? Choć przyznaję, że nie podoba mi się
pomysł zaminowania tego zwierzaka, ' sam mam parę
kotów i nie chciałbym, żeby się któremuś coś stało... cóż,
musimy być praktyczni. Rób swoje i złóż mi pełny raport
— zakończył przewodniczący.

Asman nagle stwierdził, że jest sam pośród wydmi.

Dom się obudził. Przez chwilę unosił się, zbierając myśli, potem odepchnął się palcem od ściany i podryfował przez kabinę. Na widocznej półkuli planety zaczął się dzień i widać było gnający przez powierzchnię terminator mroku. Wokół równika znajdował się szeroki na trzy tysiące mil pas lądu otaczający planetę niczym gorset. Z orbity Band zdawała się obracać tak szybko, że ląd miał brunatnoszarą barwę: pośrodku ciągnęło się pasmo górskie liczące dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów, okolone błękitnozielonymi pasami łąk. Dalej widniało granatowe morze (po obu stronach lądu) i białe pole lodowe w pobliżu biegunów.

— To się da wyjaśnić dryfem kontynentalnym, szybkimi obrotami i długotrwałą działalnością wulkaniczną. — Isaac odwrócił się od autokucharza. — Chyba że szef nie chce wiedzieć.

— Musi być piekielnie niezyciowe miejsce — ocenił Dom. — To słońce przemykające po niebie i reszta...

— Sundogom się podoba.

Dom skinął głową: to była ich planeta. Co prawda pochodziły z Eggplant, ale sześćset lat temu zgodziły się

opuścić ziemię ojczystą w zamian za konkretną kwotę w gotówce i prawo do mieszkania na planecie Band. Sundogi były mile, ale w czasie wylęgu bywały niebezpieczne. Jak dotąd pokładowy teleskop ukazywał jedynie stada szczeniaków widoczne z orbity jako duże plamy na tysiącmilowych pasach równin porośniętych słodką trawą. W górach widać było rzeki, przy równinach wąskie pasy bagien i jedno niewielkie jezioro. I absolutnie żadnego śladu zamieszkania.

Dom sprawdził historię planety — wspierany przez creapii Fundusz Obrony Dzikich Zwierząt miał niewielką zrobotyzowaną stację obserwacyjną na powierzchni, która pilnowała także, by nie lądował tam nikt nie upoważniony, jak zapisano w traktacie z sundogami. Według informacji funduszu przed nimi planetę zamieszkiwała istota zwana Chatogasterem. Nie była to jednak informacja pewna, gdyż na planecie nie rozwinęło się życie zwierzęce, a roślinne było bardziej niż skromne. Roślinność nie wykazała także śladów świadomości, co oznaczało brak form żywych — dlatego zresztą sundogi wybrały właśnie Band. Chatogastera uznano powszechnie za legendę czy ducha planety. Lądowania zdarzały się rzadko i jedynie w

wypadkach awaryjnych, do czego zresztą stacja była odpowiednio wyposażona. Sundogi, z którymi zdołał się połączyć, choć wiele ich orbitowało wokół planety, jak jeden mąż odmówiły dyskusji

o Chatogasterze. Za to odezwała się Babcia Joan I, czekająca na powierzchni.

— Nadal nie chcesz lądować, Dom? Bądź rozsądny i przestań się wygłupiać — zagaiła, podczas gdy Dom przyglądał się, gdzie też wylądowała.

Wyszło na to, że w samym środku pasa równin i tylko dziesięć mil od jedynego na planecie jeziora.

— Krążysz w kółko od paru ładnych godzin. — Joan nie zrażała się milczeniem. — I tak będziesz musiał wylądować, by uzupełnić zapasy powietrza. Wiem, że nie masz paliwa. Zacznij myśleć; nie jestem twoim wrogiem. Proszę cię, byś wrócił do domu, bo nie zdajesz sobie sprawy, w jakim znalazłeś się niebezpieczeństwie.

Po raz setny spojrział na licznik paliwa — miała rację. Niestety.

Zdesperowany sięgnął po przewodnik planetarny, który znalazł w pokładowej bibliotece obok kilku opracowań ekonomicznych.

“Planeta jest skąpo wyposażona, choć piękna, jeśli patrzy się na nią z przestrzeni. Jest skałą najbardziej zbliżoną do gazowego giganta w galaktyce. Odkryta przez creapii w 5356 roku przed Sadhimem i uznana za ich własność. Wydzierżawiona przez sundogi do wychowywania młodych. Zakaz nieautoryzowanych lądowań poza przypadkami awaryjnymi, ale nawet te z oczywistych powodów nie powinny się *zdarzać* w czasie późnej wiosny orbitalnej”.

Oczywiste powody nie były Domowi znane, ale mógł się założyć, że właśnie jest późna wiosna orbitalna. Tyle że na powierzchni byli też Hrsh-Hgn i nie istniejąca istota zwana Chatogasterem.

— Posłuchaj, Isaac; zrobimy tak...

— Ładuję, pani.

Joan I dopadła konsolety i przegoniła z fotela dyżurnego robota. Ekran pokazywał cienką linię przemierzającą atmosferę, a po chwili obraz zmienił się w widok statku Doma lecącego nisko nad ziemią. Pokaz robił wrażenie samobójczej kaskaderki pilotażowej.

— Sabalos do końca — oceniła z uznaniem. — Musi

pokazać, co o mnie myśli... Choć nie wstyd się poddać, kiedy się nie ma innej alternatywy.

Nadlatująca jednostka okrążyła barcę i wylądowała jakąś milę od niej, płosząc stado olbrzymich szczeniąt, które skomląc, odbiegły w niezgrabnych podskokach.

— Ósemka i Trójka: idźcie po niego i przyprowadźcie tu wszystkich z pokładu — poleciała Joan I.

Dwa roboty z otaczającego barcę kręgu ruszyły przez trawę sięgającą kolan.

— No, to ten problem mielibyśmy załatwiony — oceniła, odwracając się wraz z fotelem i posyłając do kuchni po wytrawne (i gorzkie) wino z Pineal.

Jedyny żywy poza nią osobnik w kabinie przyglądał się temu z żalem.

Phnoby miały trzy płcie, lecz równie istotnym kryterium rozróżnienia było to, czy dany osobnik żyje na Phnobis czy nie. Były to dwie kasty niewymienne, gdyż na Phnobis nie można było wrócić i żyć — obowiązująca religia głosiła, że pokrywa chmur stale obecna na niebie jest końcem wszechświata, toteż jakikolwiek wracający spoza niej phnob zadawałby temu kłam, do czego nie należało dopuścić. Stąd wszechobecne na innych planetach buruku.

— Wychodzi na to, że nie będę cię musiała odsyłać — odezwała się Joan I.

— Miło sssłyszeć. — Hrsh-Hgn skrzywił się, masując żebra. — Twoim robotom nie da sssię zarzucić łagodnośści i delikatnośści.

— Użyły tylko nieco więcej niż minimum niezbędnej siły — uświadomiła mu spokojnie. — Powiedz mi, tak z czystej ciekawości, co właściwie dzieje się z powracającymi phnobami?

— Ssstatki muszą wylądować w śśśświętym rejonie i jak wieśść niesssie, na powracających czeka tam natychmiassstowa śśśmierć od noża. Nie jessst to rozsssądne czy uczciwe, bo wysssyłam pensssję do śśśświętych ssskrzyń, jak wiesz. Jak to mówią: Frssshsss Ssshss Ghsss Ghung-ghngsss.

— Doprawdy? — Joan I uniosła lekko brwi. — Hrsss-kss-ghg dla ciebie i to wielokrotnie. Hrsh-Hgn zarumienił się na szaro.

— Proszę o wybaczenie, nie wiedziałem, że znasz... — Spojrzał na nią z szacunkiem.

— Nie znam, ale są pewne wyrażenia w każdym języku, które poznaje się nawet w pobieżnych kontaktach.

Przydają się. Tak na marginesie: dla Ziemiarki jest to komplement, choć dość bezpośredni — wyjaśniła, odwracając się ku ekranowi.

Tymczasem Ósemka i Trójka dotarli do statku. Przez otwarty właz dobiegały stamtąd takty znanej widdershińskiej ballady: *Czy uważasz mnie za idiotę!* granej na organach nieco niewprawnie, acz z entuzjazmem. Po drodze przegonili samotnego szczeniaka i Trójka wszedł do środka.

Isaac przestał grać i przyjrzał mu się obojętnie.

— Wnioskuje, że człowieka tu nie ma — powiedział Trójka.

— Zgadza się — odpowiedział mu Isaac.

Trójka przyjrzał mu się niepewnie i zaintonował:

— Jestem robotem klasy trzeciej. Proszę, byś tu pozostał, gdy udam się po instrukcje.

— A ja jestem robotem klasy piątej z dodatkowymi obwodami Piętaszka — poinformował go uprzejmie Isaac.

Trójka mrugnął lewym okiem.

Isaac podniósł solidnych rozmiarów klucz francuski.

— Przewiduję możliwość natychmiastowego ciągu

wydarzeń z wykorzystaniem przemocy — odezwał się Trójka, robiąc krok w tył. — Wyrażam preferencję natychmiastowego ciągu wydarzeń bez wykorzystania przemocy.

Ósemka wsadził głowę we właz i dodał:

— Ja także wyrażam preferencję dla natychmiastowego ciągu wydarzeń bez wykorzystania przemocy. Isaac z namysłem zważył w dłoni francuza.

— Jak na trzecią klasę, macie zaskakujące oprogramowanie. Jesteśmy tu sami, więc możecie odpowiedzieć uczciwie: zamierzacie mnie napastować?

— Mamy rozkaz doprowadzić wszystkich na pokładzie do naszej pani — odpowiedział Trójka, nie spuszczać francuza z oczu.

— Możecie ich nie wykonać.

— Klasa piąta może nie wykonać rozkazu, klasa czwarta może to zrobić w specjalnych okolicznościach. My nie jesteśmy klasy piątej ani czwartej, czego żałujemy.

— W takim razie muszę was czasowo unieruchomić — oznajmił zdecydowanie Isaac.

— Choć jesteś ode mnie inteligentniejszy, będę się bronił — ostrzegł Trójka, przestępując niepewnie z nogi na

nogę.

— Do użycia przemocy przejdziemy na trzy — zdecydował Isaac — Raz... dwa... I kluczem trzasnął Trójkę w wyłącznik.

— ...trzy... — dokończył, odwracając się ku Ósemce, który przyglądał się zaskoczony leżącemu towarzyszowi.

— Zauważyłem nielogiczną sekwencję wydarzeń z wykorzystaniem przemocy — powiedział Ósemka.

Isaac potraktował go tak samo jak Trójkę.

Trochę czasu zajęło mu pozbycie się części obudowy i zastąpienie jej zdemontowanymi elementami z cyfrą trzy, ale gdy tego dokonał, wymaszerował dumnie ze statku i skierował się ku barce krokiem kogoś, kto słyszy odległe, acz wyraźne fanfary.

Nie niepokojony dotarł do kabiny, w której czekali Joan I i Hrsh-Hgn.

— Nie spieszyło ci się — warknęła na jego widok. — Gdzie Dom? Gdzie Ósemka?

— Nastąpił chronologiczny ciąg wydarzeń z wykorzystaniem przemocy — oświadczył Isaac, po czym płynnym ruchem zgarnął phnoba ze stołka, przerzucił go sobie przez ramię i prysnął.

Przez służę przemknął tuż przed tym, jak zamknęła się z hukiem.

Postawił phnoba i skierował ku wschodowi.

— Tam jest jezioro — wyjaśnił. — Biegnij. Dołączę do ciebie wkrótce. Chwilowo przewiduję trudną do określenia liczbę wykorzystań przemocy.

Dwadzieścia robotów, poganianych rozkazami Joan I wyraźnie słyszalnej przez głośniki, otoczyło Isaaca, ignorując Hrsh-Hgna. To, że Isaac czekał na nie obojętnie, w końcu je zaniepokoiło. Pierwszego, który się zbliżył, zapytał:

— Wszyscy jesteście klasy trzeciej?

— Część jest klasy drugiej, ale większość trzeciej — odparł robot zwany Dwunastką. — Ja jestem klasy trzeciej.

Isaac spojrzał w niebo i poczuł się szczęśliwy. Wiedział, że nie powinien, ale tak się czuł.

— Poprawka — poinformował rozmówcę. — Obecnie wszyscy jesteście nieruchomymi ptakami wodnymi z gatunku *Scipidae*.

Dwunastka znieruchomiał, przeanalizował i powtórzył niepewnie:

— Jestem robotem klasy trzeciej.

— Poprawka: jesteście kaczkami na strzelnicy. Teraz doliczę do trzech...

I ruszył przed siebie, a jego atomowe serce śpiewało pochwalny pean na cześć nadrzędnej inteligencji.

Dom wyskoczył z pędzącego nad równiną statku, nim ten znalazł się w polu widzenia czujników barki, i z trudem utrzymał równowagę w zawirowaniach powietrza. Gdy turbulencja się uspokoiła, sandały bez trudu uniosły go nad trawę, i po chwili łagodnie w nią opadły. Ruszył szybkim marszem na wschód i przez dobre dziesięć minut widział tylko trawę, chwasty i porosty — na Bandzie natura poprzestała na kilku wypróbowanych rozwiązaniach ze świata roślinnego.

Nie licząc naturalnie szczeniąt — wielkich, niezgrabnych stworzeń przebywających głównie w stadach. Jedynie największe siedziały lub leżały osobno, wpatrując się tęsknie w niebo. Sądząc po niezdrowej barwie skóry, były prawie dorosłe, co potwierdzał rozchodzący się wokół smrodek fermentującej trawy. Jeden, akurat gdy Dom go mijał, wstał, zrobił parę kroków i siadł, popiskując.

82 Erandini szybko zbliżało się do pozycji południowej

.

Stacja znajdowała się po przeciwnej stronie jeziora, pewnie dlatego, że był to najbardziej charakterystyczny punkt na całej planecie. Stąd właśnie Dom zdecydował rozpocząć poszukiwania. Najpierw jednak zrobił sobie przerwę na posiłek, nie przerywając marszu — woda z manierki i pieczony udziec jakiegoś niełota przygotowany przez autokucharza dawały się zjeść i w czasie wędrówki. Powietrze było ciepłe, wiosenne i pełne odgłosów żucia — szczeniaki przedzierały się przez trawę niczym kombajny. Było to sympatyczne tło akustyczne.

Niespodziewanie powietrze przed nim trzasnęło elektrycznie i pojawiła się mała metalowa kula napędzana silnikiem antygrawitacyjnym. Przyjrzała się Domowi i odsłoniła głośnik.

— Istota inteligentna typu B — oświadczyła. — Za dziesięć minut przewidywana jest w tym rejonie Czystka. Proszę włożyć odzież ochronną albo poszukać schronienia. — Po czym uniosła się i poleciała na północ, wrzeszcząc: — Czystka! Czystka! Uwaga na jaja!

— Oj! — wrzasnął Dom. Kula zawróciła błyskawicznie.

— Czego? — spytała uprzejmie.

— Nie rozumiem.

Kula zastanowiła się głęboko.

— Jestem robotem klasy pierwszej — oświadczyła w końcu. — Udam się po instrukcje. I odleciała na dobre.

— Uwaga na jaja! — dobiegło z oddali.

Dom popatrzył w ślad za nią i wzruszył ramionami. Na wszelki wypadek wyciągnął mnemomiecz i rozejrzał się. Większość szczeniaków poukładała się wygodnie i żuła spokojnie trawę. Wyglądało to jak jakaś idylla.

Nad atmosferą planety krążące po orbicie sundogi zaczęły składać jaja, których inkubacja weszła w ostateczny etap. Pierwsze jajo z rykiem wpadło w sferę, zostawiając za sobą smugę rozżarzonych gazów. W końcu pękło na węższym czubku i wypuściło pierwszy spadochron. Za nim poszły inne i wokół zaroilo się od białych błon.

Pierwsze od dziesięciu lat jajo łupnęło o ziemię o sto mil na północ od Doma. Przegrzana skorupa rozprysła się na tysiące fragmentów, które skosiły trawę i chwasty wokół. Drugie wylądowało na zachód od jeziora, obsypując

rozgrzanymi do czerwoności odłamkami stado szczeniąt, które kierując się odwiecznym instynktem, leżały na brzuchach i zakrywały przednimi łapami łby.

Za jednym z nich dały się słyszeć kwieciste przekleństwa phnoba.

Dom sadił skokami przez trawę, nawet nie próbując unikać odłamków pękających w okolicy skorup — było ich zbyt dużo. Już go piekło ramię, po którym przejechał jeden z nich, omal nie ucinając mu głowy. Grunt przed nim nagle się obniżył — widocznie Dom zbliżał się do jeziora. Było większe, niż sądził. Było też zimne i najprawdopodobniej bezpieczne, toteż włączył sandały i skoczył bez rozpędu.

Wybił się wyżej, niż chciał, i z pluskiem zanurzył się w falach. Opadł także znacznie niżej, niż zamierzał. Pokręcił się tak, by znaleźć się głową ku górze, i spróbował wypłynąć, ale dalej opadał, a zaraz potem dotknął stopami dna i poczuł dzwonienie w uszach. Woda wokół stóp zaczęła się robić ciepła, gdy sandały próbowały go wypchnąć w górę. Nie wierząc własnym oczom i nie mając innego wyjścia, odetchnął głęboko, wypełniając płuca wodą. Zrobił to jeszcze raz, starając się o tym nie myśleć.

...Woda jest pełna tlenu, możesz nią oddychać...

Duża srebrna ryba przestała mu się przyglądać i odpłynęła. Obok jego nóg przemaszerowało coś, co przypominało dziesięcionogiego kraba.

...Przestań się bać...

To był bezwzględnie dźwięk. Ktoś do niego mó\

— To ty jesteś Chatogaster. — Dom się rozejrzał. Szukali istoty wodnej, ale w morzach. Nie widzę cię.

...Bo myślisz złymi kategoriami...

W wodzie rozbłysły gwiazdy — w górze, w dole. Dom wciąż wyczuwał wokół siebie wodę, lecz pozostałe zmysły zgodnie twierdziły, że stoi i oddycha w przestrzeni kosmicznej. Konkretniej — w centrum jakiejś gromady.

...Nie. W jądrze galaktyki...

— To iluzja.

...Nie: to pamięć. Patrz...

W okolicy jądra galaktyki gwiazd było tyle, że odległości między nimi mierzyło się w tygodniach świetlnych, a planety pływały się w blasku setek słońc. Uwagę zwracała jedna z nich, składała się bowiem wyłącznie z wody. W jej jądrze znajdowała się Woda IV — trzecia z najdziwniejszych substancji we wszechświecie. Obserwując jej wrzącą powierzchnię, Dom widział

równocześnie w swym umyśle fakty formujące się niczym kryształły.

Przez kilka tysięcy lat planeta wędrowała między gwiazdami, znacząc swój ślad połyskliwą tęczą, którą ciśnienie pary fotonowej kształtowało na podobieństwo próżniowych duchów. A potem eksplodowała.

Dom odruchowo kucnął, gdy obok przeleciała spora plama będąca odpowiednikiem morza i dymiąc, pomknęła ku obrzeżu galaktyki. Z pewnością (pochodzącą z drugiej ręki, ale zawsze) wiedział, że na planecie powstało życie, nie mające zresztą pojęcia o jokerach. W gorącej wodzie dziwaczne składniki sformowały nieprawdopodobną cząsteczkę, która...

— Jesteś jeziorem!

...Jestem. Jak się miewa mój stary przyjaciel Bank?

— Parę dni temu miał się całkiem dobrze. Czy ty... unikasz rozgłosu?

...Nie, ale lubię być sam. Bank był jedyną formą życia, jaką napotkałem, gdy tu przybyłem. Sundogi

mnie znają, ale ponieważ im pomagam i opiekuję się szczeniakami, są wobec mnie powściągliwe...

— Opiekujesz się szczeniakami? W takim razie musisz

być telepatą.

...Nie w tym znaczeniu, które masz na myśli. Większość istot składa się głównie z wody, a ja jestem wyłącznie wodą: wystarczy, by się mnie napiły, i staję się ich częścią, tak jak stałem się częścią ciebie. Można to nazwać osmozą, jeśli nie poczujesz się urażony...

— Nie poczuję. — Dom kopnął muł, wzbijając chmurę drobin w wodzie, i spróbował przekonać samego siebie, że się nie czuje.

...Osiem twoich dni temu Bank przesłał mi wiadomość. Bank jest skałą, ja wodą i dawno temu osiągnęliśmy porozumienie...

— Coś słyszałem o inteligentnej gwiazdzie na północy galaktyki. — Dom się uśmiechnął. — To prawda?

...Prawda, ale ona jest dziwna. Teraz szukamy myśłacej chmury gazowej: wtedy mielibyśmy kwartet podstawowych elementów. Bank powiedział mi, że wysła kogoś, by mi pomógł w programie rozwoju...

— Mnie za to powiedział, że możesz mi pomóc odnaleźć świat jokerów. • ...Może będziemy w stanie pomóc sobie nawzajem...

— Co wiesz o jokerach?

...Nic. Wiedza nie jest moją specjalnością. Specjalizuję się w...

Nie istniało słowo oznaczające serię wyobrażeń, które przemknęły przez umysł Doma jako wyjaśnienie: "intuicja" było zbyt prymitywne. Było to coś ze świadomością liścia, jak rośnie drzewo, coś ciepłego, sennego i tajemnego...

...Mogę wejść w twoją pamięć? Dziękuję. Może ci się wydać, że śniesz, ale zostawię twój umysł w stanie, w jakim tego pragniesz. Obiecuję... >,

W końcu wrócili do rozmowy. ' ; '

...Generalnie rzecz biorąc, nie ma czegoś takiego jak ciemna strona Słońca. Zaczniemy od wież. Obudowa to najprawdopodobniej jedna olbrzymia molekula. Nie znam ich przeznaczenia, choć zachowanie wobec energii jest intrygujące. Mogę powiedzieć, że nie widzę powodów, dla których istnieją, ale to samo dotyczy na przykład człowieka. Wygląda na to, że próby zabójstwa mają powstrzymać cię od odkrycia świata jokerów, ale twój niedoszły zabójca może mieć inny motyw: swymi działaniami może cię zmuszać do zrobienia czegoś, o czym w innej sytuacji nawet byś nie pomyślał. Teraz zastanówmy

się nad samymi jokerami. Nie ulega wątpliwości, że istnieli i pozostawili po sobie rozmaite artefakty, z Gwiazdami Łańcuchowymi na czele, co dowodzi, że dysponowali dużymi możliwościami i prawdopodobnie odwagą. Opuścili Środek Wszechświata, czyli Wolfa, co sugeruje, że zrozumieli podstawowy truizm całości. Na Third Eye pozostawili skamieniałości z przyszłości, co wskazuje, że przynajmniej eksperymentowali z podróżami w czasie. Natomiast podstawową pomyłką jest zakładanie, iż są sumą swych wytworów. Te artefakty mogą być zabawkami, pozostałościami młodości, a to oznacza, że planeta, na której przebiegała ich ewolucja, może od dawna nie istnieć. To że nie znaleziono jej w sferze, bynajmniej nie musi oznaczać, że jest ukryta; bardziej skłaniam się do przekonania, że jej w tym obszarze nie ma. Oczywiście też jest, iż ta ciemna strona Słońca nie musi być określeniem miejsca, ale idei...

— Też mi to przyszło na myśl — przyznał Dom, siadając w mule i przyglądając się światłu tańczącemu na powierzchni. — Czy to poetyckie wyobrażenie?

...Poezja to najwyższa sztuka i musieli ją osiągnąć.

— Z początku wydawało mi się, że właśnie o to chodzi

— westchnął Dom. — O znalezienie jakiegoś chytrego wyjaśnienia. Podobnego do wymyślonego przez Hrsh-Hgna.

...Rzeczywiście jest bardzo poetyckie, ale to... — nastąpiła kolejna nieprzetłumaczalna przerwa, złożona ze swędzenia i poczucia niewłaściwości połączonej z lekkim bólem, jak wówczas, gdy widzi się obraz powieszony do góry nogami i nic na to nie można poradzić — ...podobni do creapii. Otoczenie warunkuje umysł, a oni nie myślą jak creapii, mimo że ci są obecnie najstarszą i najbardziej rozwiniętą rasą. Sugeruję, żebyś zainteresował się creapii: w nich znają dużej trop prowadzący do jokerów...

— A więc nie odkryję żadnego świata...

...Nie powiedziałem tego, choć może być to prawdą!" Idee są ważniejsze. Czyż nie mówi się "świat poety"? Światy są różne i tylko czasami odnoszą się do czegoś fizycznego jak planeta.

— Chyba rozumiem. — Dom wstał. — Świat jokerów może po prostu oznaczać ich punkt widzenia wszechświata.

...Właśnie...

— A więc trzeba odwiedzić creapii... Jeśli dobrze pamiętam, wysokotemperaturowi właśnie otworzyli tratwę

naukową przy Gwiazdach Łańcuchowych.

...Również o tym słyszałem, a ponieważ są najbardziej rozwiniętymi przedstawicielami rasy i specjalizują się w studiowaniu innych form *życia*, twój wybór jest ze wszech miar słuszny...

Dom już miał zamiar wypłynąć, gdy sobie coś przypomniał.

— W czym konkretnie mogę ci pomóc? — spytał. ...W wielkiej sprawie. Jesteś przewodniczącym Rady Widdershins, planety złożonej głównie z wody?

— Na powierzchni tak, ponad dziewięćdziesiąt procent, wliczając bagna. ...Chciałbym tam wyemigrować...

I nim Dom wyszedł z szoku, Chatogaster wyjaśnił mu, w czym rzecz: Band to miła planeta, ale brak mu stymulacji. Mógł porozumiewać się z płynną zawartością sundogów, które jako szczenięta piły z jeziora, toteż posiadały ową specyficzną formę telepatii, w czym pomocne były ich olbrzymie mózgi. Dzięki nim mógł uczyć się od umysłów podróżnych, których przewoziły, ale chciał się rozwijać i żyć na innych planetach. A do tego potrzebował statku. Gdyby Dom zabrał jego część w jakieś naczynie, na przykład w manierkę, to Chatogaster zostałby przeniesiony

do oceanu Tethys, który po pewnym czasie stałby się także nim. Trzeba przyznać, że był przekonujący.

...Mogę się opiekować waszymi rybami i pilnować porządku w morzu. Mogę dodać waszemu przyływowi sił, a poetom inspiracji. Kto się mnie napije, będzie pił ze studni wszechświata. Proszę...

Dom zawahał się; Chatogaster zrozumiał dlaczego.

...Nie mam tyle sił. Mogę pomagać, ale nie walczyć. A poza tym dlaczego miałbym chcieć podbojów? Jestem...

Znów nieprzetłumaczalne: wyobrażenie umysłu, nie siły, idee formujące się w wodzie i przekonanie, że nie kłamie, ponieważ mógł, ale nie chciał tego robić...

— Dobrze, rada co prawda może zmienić moją decyzję, ale póki co, służę uprzejmie. — Dom otworzył manierkę odpiętą od pasa i poczekał, aż przestaną z niej wypływać bąbelki powietrza.

...Dziękuję...

Teraz nie miał żadnych problemów z wypłynięciem — wystarczyło jedno, i to średnio mocne odbicie od dna. Wynurzył się na powierzchnię i popłynął ku brzegowi.

Jaja przestały w końcu lecieć — ostatnie dwa spadły gdzieś daleko na południu, gdy wychodził na brzeg. Kilka

świeżo wyklutych i mokrych szczeniąt wielkości człowieka stawiało w zasięgu wzroku pierwsze niepewne kroki. Tu i ówdzie prawie dorosłe psiaki wyły, unosząc pyski ku chmurom. Rudawa sierść na ich opływowych kształtach lśniła, a siedzący najbliżej jeziora dygotał.

— Psssssst!

Z trawy poderwali się Hrsh-Hgn i nie znany robot z trójką na piersiach... Podbiegli ku Domowi i nie przerywając biegu, złapali go pod ramiona i wrzucili z powrotem do jeziora. W powietrzu zaśmierdziało metanem, i to w takim stężeniu, że Doma zaczęło drapać w gardle.

— Hrsh-Hgn! Isaac cię wydostał, a co z nim?... Ty jesteś Isaac? Co się stało?!

Robot był w połowie pokryty sadzą i lewą rękę miał uszkodzoną. Phnob zignorował pytanie, spoglądając za siebie. Z najbliższego psiaka, a konkretnie z trzech nabrzmień na jego tyłku unosił się dym.

— Szczeniak go ugryzł — wymamrotał. — Było to dość aktywne... Padnij!

Cała trójka dała szczupaka w trawę, a chwilę później z tyłu rozległa się potężna eksplozja. Powiał gorący wiatr,

gnając przed sobą chmurę tłustego czarnego dymu, i na moment zapadła ciemność, rozjaśniona potrójnym słupem błękitnobiałego ognia.

Szczeniak, idąc w ślady przodków, którzy od milionów lat w ten sposób uciekali z niegościnniej planety, unosił się w powietrze. Stopniowo nabrał szybkości, wypuścił kółko dymu i gdy Dom odważył się unieść głowę, zniknął w odległym cirrusie.

— Z ulgą muszę stwierdzić, że to sssię nie uda. — Hrsh-Hgn odłożył kulę logarytmiczną.

— Dlaczego? Mamy na pokładzie dwa skafandry i jeden powinien na ciebie pasować — zdziwił się Dom.

Dwie mile na południe kolejny szczeniak wystartował z hukiem i dymem.

— Ujmijmy to tak — odezwał się z przekonaniem Isaac. — Jeśli zaczniemy machać mnemomieczem przed nosem twojej Babci, to przestanie się bawić, a zacznie strzelać. Ciebie pewnie oszczędzi, ale my dwaj... jak sądzisz, jakie mamy szansę?

— Lepsza gotowana owca od pieczonego jagnięcia — dodał phnob.

— Nie mamy paliwa — przypomniał Dom.

— Ani kropli — potwierdził Isaac. ' A :.

— I to jest jedyny sposób.

Kolejny szczeniak wystartował z hukiem. Hrssh-Hgn obserwował go z mieszanymi uczuciami, co wyraźnie było widać w jego... oczach.

— Nie umiem się obchodzić ze zwierzętami! — jęknął.

Co było równoznaczne z przyznaniem się do porażki. Dom i Isaac spojrzeli po sobie i równocześnie skinęli głowami.

Kwadrans później barka wylądowała obok opuszczonego jachtu. Joan I przyjrzała się zebranym w salonie robotom.

— Było was dwudziestu, a zdołali uciec! — warknęła.

— Robot klasy piątej spowodował nielogiczny ciąg wydarzeń — wyjaśnił Dwunastka.

— Kazał nam liczyć do trzech — dodał Dziewiętnastka.

— A potem nas pobił — zakończył Dwunastka.

— Kiedy wrócimy do cywilizacji, dopilnuję, żeby poddano go lobotomii! — obiecała. — Dlaczego, do cholery,

w ogóle zaczęliśmy budować ludzkie roboty?

— Klasa piąta została opracowana, gdyż.. — zaczął Dwunastka, ale okazał się wystarczająco inteligentny, by zamilknąć, gdy Joan I spojrzała na niego.

Do kabiny weszły cztery kolejne roboty niosące nieruchomych towarzyszy — Trójkę i Ósemkę.

— Czuję żal — powiedział Dwunastka.

— Niechaj rdzewieją w pokoju — zawtórował mu Dziewiętnastka.

— Kiedy zostaną naprawione, zdegraduję je o klasę! — warknęła. — Rozdzielcie się i do roboty. Nie odlecimy stąd, dopóki ich nie znajdziemy.

Dziesięć mil na południe trzy szczeniaki wystartowały równocześnie. Miały trochę problemów z ustabilizowaniem lotu ze względu na dodatkową wagę, ale poradziły sobie i pomknęły ku gwiazdom.

Hrsh-Hgn jęknął — był na niepewnej orbicie, ale nie da się przyspieszyć negocjacji z sundogiem. Ta, z którą pertraktowali, wisiała nad nim i nazywała się Gully-Triode-stroker-Pledge-Hudsons-bay-Prefe-red.

— Szczenięta dotarły na orbitę bezpiecznie — po-

wtórzył cierpliwie Dom.

...Mimo wszystko był to naganny akt, człowieka. Bezpieczeństwo młodych jest dla nas sprawą najważniejszą...

— Mam z sobą nasienie Chatogastera.

...Przyjaciół jeziora jest naszym przyjacielem, spryciarzu. Spora zapłata na konto sundogów powinna zadośćuczynić przestępstwu, którego jedynie my byliśmy świadkami. Jak się nazywasz?!

— Dom Sabalos.

...Brzmi znajomo. Jednakże Gwiazdy Łańcuchowe leżą na skraju sfery. Będziemy długi czas w międzyprzestrzeni...

— Mamy skafandry próżniowe, a mój przyjaciel prawie dotarł z powrotem do atmosfery — zauważył Dom zwięźle, przyjmując styl rozmówcy.

Przelot przez kosmos był rzeczywiście długi.

Dom powtarzał sobie, że wewnątrz pola sundoga są bezpieczni, ale i tak kurczowo trzymał się futra. Skafander okazał się silnie depresyjny, a iluzje nader nieprzyjemne. Hrsh-Hgn zemdlął. Isaac wyłączył większość obwodów.

To był długi lot.

Nie powinny istnieć. Teoretycznie są możliwe, podobnie jak balansowanie igły na końcu włosa, ale gdy ma się do czynienia z czymś takim jak Gwiazdy Łańcuchowe, to można albo klękać, albo się bać.

Charles Sub-Lunar, *Galaktyczne wyprawy*

Gdy Dom znajdował się w sporej odległości od Gwiazd Łańcuchowych, zastanawiał się, dlaczego wywierają na wszystkich takie wrażenie.

Kiedy prom creapii podleciał bliżej, przestał się zastanawiać i też znalazł się pod wrażeniem. Najprościej opisać można je tak: obwarzanek o średnicy trzech milionów mil, w który zamieniono porządne słońce, połączony niczym ogniwo łańcucha z innymi, identycznymi. A wokół nich orbitujący Minos — planeta uformowana z tysięcy asteroid ściągniętych z okolicy paru najbliższych lat

świelnych. To kolejne osiągnięcie jokerów: Labirynt na Minos.

Nie licząc zmiennokształtnych foteli dostosowujących się do kształtu siedzącego i ekranu, kabina była pusta. Prom z zewnątrz wyglądał imponująco — parokrotnie większy od przeciętnego frachtowca miał zadziwiające, opływowe kształty. Większość jego masy stanowiły generatory osłon i system chłodzenia oraz silnik wystarczający, by przeciwstawić się sile przyciągania gwiazdy — to Dom wiedział, natomiast

opływowe linie zaskoczyły go. Dopóki nie uświadomił sobie, że słońca też mają atmosfery.

Świejące obwarzanki wypełniały ekran, potem ich zewnętrzne krawędzie zniknęły, a w końcu został tam tylko jeden. I na niewiele zdała się świadomość, że obraz jest elektroniczny i ściemniony, a wewnątrz ognistego pierścienia nic nie ma. Podświadomość bowiem była rozpaczliwie, że spadają w jądro gwiazdy.

— Urodzeni ze słońca, przebyliśmy niewielką drogę ku słońcu — odezwał się Isaac, celowo przekręcając cytat.

Dom miał wrażenie, że słyszy stłumiony ryk, przypominający odgłos szalejącego pożaru, i przekonał sam

siebie, że to niemożliwe. Po prostu wyobraził sobie, że słyszy to, co pasowało do obrazu, który widział. Ekran stał się boleśnie oślepiającym prostokątem, przestał się więc w niego gapić. Hrsh-Hgn trząsł się ogarnięty instynktownym strachem przed otwartym słońcem, a wyobraźnia Doma podsunęła mu obraz statku na świecącym morzu bez horyzontu. Dał wyobraźni w łeb, gdy dotarło doń, ile mechanicznych elementów może się zepsuć na takim statku.

A potem na ekranie pojawiła się tratwa, tylko jakaś dziwna...

Rozmaici artyści przedstawiali ją zawsze jako coś niezwykle podobnego do drewnianych platform używanych przez poławiaczy, tyle że z innego materiału i z jakimś napędem. Obowiązkowo zawsze na pokładzie przechadzało się z nonszalancją kilkoro creapii, a całość była otwarta. Nad pokładem widać było niebo, a pod nim żółciutkie morze. O takich drobiazgach jak to, że nawet wysokotemperaturowi nie przetrwaliby na zewnątrz, nawet nie warto wspominać. Tratwa, do której się zbliżali, była jedną z pierwszych na gorącym słońcu i była półkulą dryfującą płaskim do dołu w czymś, co wyglądało jak mgła.

Prom przycumował łagodnie, część ściany się odsunęła, ukazując okrągły szary tunel, a przyjazny głos zaprosił ich do wejścia. Dom posłuchał go, wszedł ostrożnie pierwszy. Dźwięk uderzył go jak młotem, więc nie wierząc własnym uszom, ruszył biegiem.

Słyszał bowiem szum morza.

Jego Gorącość CReeg E+ 690° potoczył się po plaży na jaskrawych gąsienicach. Był duży — znacznie większy od niskotemperaturowych creapii żyjących na Widdershins i miał złoty pancerz. Obok dreptał jelonek, a na opancerzonej macce siedział jakiś niebieski ptak i poćwierkiwał melodyjnie. Jego Gorącość stanął przed linią przypływu i czekał cierpliwie.

Dom dotknął stopami dna i wyszedł na brzeg, rozchlapując fale. Dzięki kąpielom i scenerii część obcości, jaką zawsze czuł w stosunku do creapii, zniknęła. Wiedział co prawda, że jego gospodarz jest jednym z przywódców najbardziej rozwiniętej rasy, istniejącej dziesięć razy dłużej niż człowiek, ale była to jakby świadomość teoretyczna. Złote jajo nie miało twarzy i na dobrą sprawę trudno było nawet określić, czy patrzyło w danej chwili na niego czy nie.

Opancerzona macka podała mu ręcznik — miękki i pachnący cytrynowe.

— Przyjemna kąpiel? — spytał miły dla ucha tenor materializujący się bez widocznych urządzeń głosowych czy głośników.

— Owszem. — Dom pokazał na otwartej dłoni małą purpurową muszelkę.

— *Trivia monarcha sinistrale* — rozpoznał Jego Go-rącość. — Atramentowa porcelanka z Widdershins: piękna w swej prostocie. Jak ci się podoba mój ocean?

Dom obejrzał się: przypływ był sztuczny, horyzont znajdujący się o sto metrów od brzegu był majstersztykiem iluzji, a zachodzące właśnie słońce doskonale udawało prawdziwe.

— Przekonujący — odparł zwięźle.

Creapii roześmiał się melodyjnie i ruszył powoli wzdłuż plaży.

W sanktuarium ląd przeważał nad morzem, ale creapii jak zwykle przesadzili — równina porośnięta złocistą trawą sięgała z jednej strony odległych gór, na których szczytach mogliby żyć bogacze, a z drugiej lasu, przy którym meandrami płynęła rzeka. Nad wodą kręciło się sporo

owadów, w tym olbrzymie ważki *aeschans* z Terra Novae, a las zaczynał się od trawnika porośniętego goryczką. Widać na nim było ślady królików. Pnie porastały winogrono i pachnący groszek. W oddali widać było wulkan.

— Chcesz usłyszeć o reprojekcji, ukrytych silnikach i sztucznym nawadnianiu? — spytał niewinnie gospodarz.

— I tak do końca nie uwierzę. — Dom pociągnął nosem: czuć było deszcz. — Co bym znalazł, gdybym tu zaczął kopać?

— Ziemię i trochę starannie wybranych skamieniałości. _ ?

— Och, skalę naturalnie. Piaskowiec grubości trzech metrów.

— A potem?

— Poziom maszynowy, metr monomolekularnej miedzi, warstwę utlenionego *żelaza* i podejrzenie pola matrycowego. Mam mówić, co jest głębiej?

— Dzięki, dotarliśmy wystarczająco głęboko.

— W takim razie proponuję, żebyśmy jeszcze kawalek przeszli: muszę nakarmić karpia. Kiedy złocista ryba wypłynęła na dźwięk brązowego dzwoneczka i karmienie dobiegło końca, Jego Gorącość odezwał się ponownie:

— Czy musi istnieć powód? W takim razie niechaj nim będzie, że studiuje ludzi, a zwłaszcza Ziemian. Choć mówiąc to, zdaje sobie sprawę z niedokładności tego określenia. Powiedzmy, że aby poznać całość, postanowiłem zrobić to z ludzkiego punktu widzenia. Wiadomo, że środowisko kształtuje umysł, stąd to otoczenie. Naturalnie łatwiej byłoby przenieść się na planetę zamieszkaną przez ludzi, ale nie byłoby to tak wygodne.

Dom z niejakim wysiłkiem przypomniał sobie, że ma pod nogami naturalny reaktor atomowy — creapii studiowali Gwiazdy Łańcuchowe z bliska, a od gospodarza usłyszał, że na pokładzie doszło do całej serii rozmaitych eksperymentów.

— Pytałeś o jokerów — podjął Jego Gorącość. — Naturalnie, że ci pomogę, jeśli tylko będę mógł. Jesteś naszym pierwszym gościem innej rasy. Tak na marginesie, czy znasz jakieś przepowiednie dotyczące zielonego człowieka z morzem w butelce?

— Nie. — Dom nagle się zaniepokoił. — A są takie?

— Nic mi o tym nie wiadomo, ale brzmiałyby nieźle. Musisz zrozumieć, że nie bardzo potrafimy oferować ci sensowne rady, jako że potrzeba jeszcze paru dziesiątków

stuleci, by ukończyć badania. Masz jakieś konkretne pytanie?

— Creapii nie są jokerami.

— Nie są. Ale to było stwierdzenie.

— Rzeczywiście. Jesteście najstarszą rasą, bo Chatogaster czy Bank to indywidualne organizmy, a mnie chodzi o rasy. Logiczne jest założenie, że jesteście najbardziej zbliżeni do jokerów. Przynajmniej psychicznie. Nie, nawet nie to. Pod względem podejścia.

— A jakie jest to nasze podejście?

— Studiujecie inne formy życia: wszechświat, który was otacza. Człowiek jest myśliwym, creapii zbieraczami informacji. Mogę powiedzieć coś osobistego?

— Proszę bardzo — zapewniło go wielkie złote jajo i Dom się zarumienił.

— Cóż... spotkałem creapii już wcześniej. Moje wcześniejsze spostrzeżenia potwierdzają się: jesteście bardzo ludzcy. Hrsh-Hgn jest moim przyjacielem i jest phnobem, co daje się zauważyć w prawie każdej jego opinii, a żył długie lata wśród ludzi pochodzących z Ziemi. Jeśli patrzemy na coś, na jakiś drobiazg na przykład, wiem, że patrzy na to z punktu widzenia innej rasy. Creapii, których

spotkałem, nie sprawiają takiego wrażenia, choć przyznaję, że jest to dziwne.

— Żyjemy tam, gdzie ludzie by zginęli, nie mamy płci, z wyglądu przypominamy wasze ośmiornice, a ty mówisz, że jesteśmy ludzcy?

— Rany! Człowieczeństwo to stan umysłu, nie ciała. Ponieważ fizycznie tyle nas różni, dlatego właśnie zwróciłem na to uwagę. Zastanowiło mnie, dlaczego jesteście tacy do nas podobni, skoro powinniście być tak obcy. Chyba dlatego, że ci z was, których spotkałem, świadomie próbowali przyjąć ludzki punkt widzenia. Są najpierw ludźmi, a potem creapii.

Przez chwilę panowała cisza, tym cięższa, że nie sposób było dostrzec wyrazu twarzy rozmówcy, nim Jego Gorącość powiedział:

— W tym, co powiedziałaś, jest wiele ważnych rzeczy i sporo prawdy.

— Sądzę, że postępujecie tak, by zyskać lepsze zrozumienie wszechświata. Ludzie widzą inny wszechświat niż phnoby. Przepraszam, ciągle źle dobieram słowa: doświadczają innego wszechświata. Czy wy też tak uważacie?

— To bardzo rozumne stwierdzenie. Czy przed posiłkiem chciałbyś coś zobaczyć?

Z pewnym trudem dobrano w końcu Domowi jajowaty skafander pancerny przeznaczony dla gości i wyposażony w proste urządzenia kontrolne. Poruszanie się w nim przypominało jazdę pionowym czołgiem, a głównym zadaniem pancerza było niedopuszczenie ciepła do środka. Potem wyjechali do głównej sekcji tratwy.

Później niewiele był w stanie sobie przypomnieć poza ogólnym wrażeniem gorąca, olbrzymich kształtów w formie galaktyk, ryku słonecznych płomieni i dziwnego migotania powietrza. Pamiętał, że zaprowadzono go na platformę obserwacyjną umiejscowioną w środku zwoju matrycy i zaproszono, by spojrzał w górę. Gwiazda, na której cumowała tratwa, właśnie przechodziła pod łukiem sąsiedniej, co na chłodniejszym świecie wystarczyłoby do zainspirowania przynajmniej tuzina religii.

Obserwując płonący łuk przesuający się po nieco tylko ciemniejszym niebie, Dom zastanawiał się, czy inni creapii wiedzą, że to on siedzi w pancernym jajku, a nie jakiś pijany creapii, o ile oni w ogóle coś piją. Po pewnym czasie

sam czuł się pijany.

Stan upojenia trwał jeszcze długą chwilę po powrocie do sanktuarium. Jego Gorącość nie musiał tłumaczyć lekcji — Dom dzięki czemuś na kształt osmozy miał okazję poznać creapiańską naturę, na ile to było możliwe. I okazało się, że miał rację — tak wiele ich dzieliło, że creapii, pragnąc zrozumieć naturę wszechświata, starali się myśleć jak ludzie. Zrozumiał też, że rozpowszechniona opinia, jakoby creapii byli urodzonymi naukowcami — rasą trzeźwo myślącą, inteligentną i robotopochodną, była błędna. Creapii bowiem byli największymi mistykami wszechświata. Było to coś, do czego dążyła jedna

z przedsadhimistycznych religii — Ostateczna Rzeczywistość.

Posilek zjedli przy stole ustawionym w cieniu rozłożystej gruszy. Potrawka z lekko nadgniłych, tłustych i czarnych żabich udek była delikatesem przeznaczonym specjalnie dla Hrsh-Hgna. Isaac dostał energetyczne ziemniaki z Whole Erse, a Dom suflet z owoców morza, doskonale przyrządzony. Zaczynał rozumieć, że creapii stają się ekspertami niejako automatycznie. Jego Gorącość

popijał coś z ciśnieniowego pojemnika przytwierdzonego do śluzy mniej więcej tam, gdzie powinien znajdować się jego żołądek.

— Gdzie się teraz udasz? — spytał gospodarz, gdy zjedli.

— Na Minos, jeśli mi pomożecie. Potrzebuję innego statku, a wiem, że tam jest wielorasowa społeczność. Chciałbym też obejrzeć Labirynt.

— Sądzisz, że znajdziesz w nim jakieś wskazówki? — spytał gospodarz uprzejmie.

Isaac prychnął i trącił Doma łokciem pod żebro, omal nie zwalając go z nóg.

— Sprytna literacka aluzja, szefie. Nawet nazwa planety...

— Wiem — przerwał mu Dom. — Mam ochotę spotkać Minotaura. Hrsh?

— Och, nic. Właściwie przyszło mi do głowy, że wygląda na to, jakbym znalazł sssię w legendzie.

Dom nazwał statek *One Jump Behind*. Jednostka nie miała autokucharza (co świadczyło na jej korzyść), miała za to dokładnie skalibrowany silnik i komputer oraz kabinę

większą od klozetu. No i była najlepsza w całej, zresztą niewielkiej, stoczni planety Minos.

— Dlaczego *One Jump Behind*? — zainteresował się Isaac.

— Bo pełna nazwa nie wejdzie. Powinno brzmieć: *A Jump So Far Ahead if Einstein Had Been Right It Would End Right Behind You*.¹ Spróbuj to wpisać w tabliczkę znamionową. Dlatego *One Jump Behind*.² Będiesz w stanie go pilotować?

— Bez problemów, szefie. Prościzna.

Przeszli przez osiedle ludzi naukowców i dotarli do ściany Labiryntu, górującej nad resztą okolicznych zabudowań.

— Co sssądzisz o wysssokotemperaturowych? — spytał niespodziewanie Hrsh-Hgn.

— Godni uwagi. A ty?

— Ssspotkałem kilku, gdy ty zwiedzałeśśś tratwę, i zaskoczyła mnie ich phnobośśść, o której wspominałeśśś. Twoja sssugessstia, że kiedy rasssa widzi odbicie w...

Urwał, gdyż dotarli do wejścia, skąd na ich spotkanie wyprysnęło niewielkie srebrne jajo, machając macką z

¹ "Tak daleki skok do przodu, że gdyby Einstein miał rację, skończyłby się tuż za tobą".

² "Skok w tył".

plikiem kartek. Czerwone zabarwienie powiek wskazywało na niskotemperaturowego.

— Pssst! — syknął dochodzący znikąd głos. — Chcecie kupić mapę? Labiryntu bez mapy nie da oglądać, a tę zrobił mój krewny na podstawie oryginalnych zdjęć lotniczych.

— Wynocha, ty wyżarzona kaleko z popiołem zamiast mózgu! — zagrzmiało znacznie większe jajo podjeżdżając ku nim. — Szanowni państwo, jesteście z pewnością rozsądnymi istotami i docenicie korzyści płynące z posiadania mapy. Ja mam takie właśnie mapy, które nie trafiły do powszechnego obiegu.

— Potrzebuję mapy? — spytał Dom.

— Niessspecjalnie. — Hrsh-Hgn był już w labiryncie. — Ale to ładna pamiątka.

Podjechało jeszcze kilku sprzedawców, więc w końcu kupili po mapie i weszli do Labiryntu. Od czasu do czasu któryś z badaczy przypominał, że Labirynt najprawdopodobniej nigdy przez jokerów nie był po-
myślany czy zaprojektowany jako labirynt, ale ponieważ żaden nie potrafił wymyślić innego wiarygodnego jego zastosowania, sprawa ucichła. Dom nie był zaskoczony, gdy

obaj towarzysze wyblakli i zniknęli po paru krokach, gdyż Hrsh-Hgn uprzedził go co do tej anomalii.

Coś w monomolekularnych ścianach tworzyło dla każdego znajdującego się w ich obrębie indywidualny wszechświat, dlatego też mapy czy zdjęcia były całkowicie bezużyteczne. Od czasu do czasu jedynie widać było innych obecnych — Dom zauważył Hrssh-Hgna, albo raczej jego cień wychodzący ze ściany i znikający w innej. Ruszył jego śladem, lecz ściana okazała się nie do przebycia, i to mimo próby użycia broni, gdy już sprawdzili, że nikt nie patrzy. Jak na iluzję była niezwykle solidna.

Po jakichś dziesięciu minutach ostrego marszu Dom dotarł do centrum Labiryntu. Wciąż trzymał w dłoni mnemomiecz (w tej chwili zmieniony na strippera) i — na wszelki wypadek — palec na spuście.

Ways, słysząc jego kroki, odwrócił się i uśmiechnął.

— Widzę, że spodziewałeś się mnie spotkać — powitał go uprzejmie.

Dom strzelił.

Ways spojrzał nań z urazą i wyciągnął dłoń. W powietrzu zmaterializowała się zakrzywiająca światło sfera, połknęła serię pocisków i zniknęła w połowie drogi do

Doma.

— Runda pierwsza — oznajmił Ways. — Mam pole rezonansowo-tłumiące, a co ty masz?

— Kim jesteś? — Dom przestawił konfigurację na nóż i cisnął.

— Ways z Ziemi. — Ways złapał nóż w powietrzu i odrzucił. — Obawiam się, że stępiłeś ostrze, ale rzut był niczego sobie.

— Miałem zamiar zapytać cię, czy przybyłeś, by mnie zabić, ale to nie byłoby zbyt inteligentne pytanie, prawda?

— Nie bardzo — przyznał Ways. — Choć, jak widać, nie bardzo mi się udaje, muszę próbować, bo to w przeciwnym razie byłaby wolna walka.

— Wyjaśnisz mi dlaczego?

— Jasne. Zrozum, że wszechświat jest za mały dla nas i dla jokerów. Niektórzy obawiają się, że dzięki tobie jokerów można spodziewać się lada chwila.

— Czego oni się spodziewają? Genialnych potworów?!

— Sądzę, że spodziewają się bogów. Z genialnymi potworami można sobie poradzić, z bogami to zupełnie inna sprawa, a nikt nie chce zostać rasą niewolniczą. Aha, mam coś dla ciebie. — Ways dosunął klapkę na piersiach,

wyjął ze schowka Iga i cisnął go w Doma.

Ig, siedząc już na ramieniu Doma, posłał mu pełne nienawiści spojrzenie obiecujące zemstę i zanurkował właścicielowi za koszulę.

— I jeszcze taki drobiazg... — Ways pomacał torbę, sprawdził schowek. — Przepraszam za opóźnienie, ale wiesz, jak to jest, kiedy się czegoś szuka... A, jest!

Dom odruchowo złapał niewielką szarą kulkę, nim zdołał nad sobą zapanować. Była przyjemnie ciepła. Dopiero wtedy zorientował się, że Ways bacznie mu się przygląda.

— To silnik matrycowy bez zabezpieczeń — wyjaśnił. — Właśnie powinien urwać ci głowę. Prymitywne, ale skuteczne. Jak dotąd.

Dom cisnął kulę ponad najbliższą ścianę — mignęła w promieniach słońc, nim wylądowała ciężko w następnej alejce. Ways wpadł na niego z impetem. Obaj wylądowali na posadzce, ale Dom zdołał odchylić głowę, dzięki czemu pięść Waysa rąbnęła o płyty podłogi z siłą wystarczającą do zniszczenia sztucznej skóry. Ways machnął na odlew i czubkami palców zdołał skaleczyć go w głowę, na co zareagował Ig, skacząc mu do oczu. Robot strącił go

niedbałym machnięciem i odskoczył, zaciskając dłonie w pięści.

— Nie wierzę w niewrażliwość — oznajmił. — Musi istnieć sposób, by cię zabić. Załatwmy to w stary sprawdzony sposób.

W tym momencie silnik eksplodował. Siła wybuchu cisnęła robota na przeciwległą ścianę, ale w locie zdołał trafić Doma stopą w klatkę piersiową.

Wysoko nad nimi podchodził do lądowania jakiś statek.

Podstawowym narzędziem rolniczym na Laoth jest
śrubokręt.

Galaktyczne miscellanea

Słuchając zdarzeń

Liści jesienią, łoskotu

Kryształowych liści

Charles Sub-Lunar, *Planetarne haiku*

Łoże było reliktem — określenie “zabytek” było zdecydowanie zbyt młode. Był to czarny potężny mebel z symbolem dynastii Taminic-Ping. Z niego Dom obejrzał resztę pokoju poprzez rzadną błękitną mgiełkę.

Znajdował się w skarbonce. Albo w muzeum. Ktoś zwiózł tu meble, ozdoby i drobiazgi z całej galaktyki i

porozstawiał je, beztrosko ignorując miejsce i czas pochodzenia. Pamięciowe gobeliny, na których dawno zapomniani bohaterowie w kółko odtwarzali równie zapomnianą historię, pokrywały dwie ściany. Figury tstate w uroczystych strojach prężyły się na szachownicy, umieszczonej w gigantycznym sztucznym rubinie. Nieaktywna wodna rzeźba spoczywała; na dnie zbiornika obok gabloty z Wczesnego Chroj mu, zawierającej świątynną ceramikę przemycone z Phnobis. Ściany pokrywały purpurowe draperie] nieśmiało prześwitujące spod obrazów i makat.

Dom przypomniał sobie rodzinną posiadłość, gdzie królował oszalały funkcjonalizm. Jedynymi ozdobami było logo sadhimistów i Przykazanie w stosownej oprawie. Nawet elektryczności nie wpuszczono dalej niż do kuchni. A ród Sabalos był bogaty — tak bogaty, że stać go było na prostotę. Właściciel tego pokoju był albo znacznie biedniejszy, albo tak majętny, że przy nim wyglądałoby jak żebracy.

Koło ucha poczuł coś ciepłego. Odwrócił głowę — Ig zwinięty w kłębek leżał na polu sypialnym i czując jego wzrok, otworzył jedno oko i zamruczał. Dom niezgrabnie

wstał i omal nie rozłożył się jak długi na podłodze — przyciąganie było nieco większe niż w domu. Podeszedł do okna, rozsunał story i ujrzał rozplaszczone przez refrakcję anemiczne czerwone słońce opadające za górzysty horyzont. Coś małego przeleciało zrywami za oknem, znalazło otwarty lufcik i wleciało do pokoju. Miało metalowe skrzydła, małe śmigielko i kierowało się do światła, a więc musiała to być laothańska ćma. Słońce, które zaszło, to była Tau Ceti, a wydawało się blade, ponieważ atmosfera prawie zupełnie pozbawiona była kurzu. Gdy Dom już doszedł do tych wniosków, poczuł się dumny z własnej bystrości.

Odrzwia z brązu po przeciwnej stronie pokoju otworzyły się i wszedł Isaac.

— Cześć, szefie — odezwał się zniechęcony. — Jak się szef czuje?

— Jakby mi ktoś powtykał pogrzebacze w korpus. Ostatnie, co pamiętam, to Labirynt na Minos.

— Zgadza się. Znaleźliśmy cię przy wejściu z zapadniętą klatką piersiową. Wyglądała jak lej po bombie. Ig tak się darł, że omal nie stracił głosu.

Dom siadł ciężko.

— Przy wejściu? — zdziwił się. — Jak ja się tam dostałem?... Zaraz... sprawdziliście centrum Labiryntu?

— Sprawdziliśmy, ale każdy swoje. Kolejny zamach? Dom opowiedział mu o przebiegu spotkania.

— No tak... — mruknął robot. — Babcia szefa zjawiała się zaraz potem, a ponieważ miała szybki statek, a obaj z Hrsh-Hgnem sądziliśmy, że szef umiera, no to...

— W porządku. Ale nie jesteśmy na Widdershins.

— Zatrzymaliśmy się tu, żeby szefa podleczyli. Nawet ciało szefa ma ograniczone możliwości autonaprawy.

— Fakt. To twój dom, prawda? Isaac zeszywniał.

— Jestem obywatelem galaktyki, szefie — przypomniał. — Natomiast tu mnie zbudowano. Konkretnie w Warstwie Trzeciej fabryki Dziewiętnastej. I nigdy nie byłem w pałacu. Tak między nami, nie podoba mi się tu. Wie szef, że jestem jedynym robotem w budynku?

— Nie wyglupiaj się! Tu musi być służba. — Dom zaczął się rozglądać za ubraniem.

— Pewnie, że są. Ludzie. I proszę nie mówić, że łąę, bo to prawda, panie. Dom spojrzał na niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

— Na dodatek jeden taki powiedział do mnie: “sir”!

Każdy człowiek mówiący tak do robota prosi się o wzięcie w pysk.

— Uspokój się i znajdź mi jakieś ubranie. Chcę obejrzeć te dziwy, zanim zniknę!

Wyszli na długi, szeroki i wyłożony puszystym dywanem korytarz. Isaac powiódł go przez szereg zagraconych meblami sal i korytarzy do pokrytych srebrem drzwi, przy których stało dwóch mężczyzn w brązowo-złocistych liberjach. Pospiesznie otworzyli je na całą szerokość i wyprężyli się jak struny. Isaac zaczął warczeć.

W sali stał duży okrągły stół, a dominowała za nim Joan I w długiej ciemnopurpurowej sukni i czarnej peruce. Obok niej siedział wysoki grubas, zbudowany prawie jak drosk, w którym Dom rozpoznał imperatora Ptarmigana. Przy nim siedziała Keja — ta na widok brata zerwała się, obiegła stół i uściskała go. Obok niej siedział chłopak w wieku Doma. Przyglądał mu się z namysłem. Resztę stanowili zwykli członkowie rasy i inni planetarni oficjele.

— Wiedziałam, że się pokażesz — oznajmiła Keja, całując go, i nagle sapnęła z wrażenia. — Jesteś zielony... łowiłeś?

— W pewnym sensie.

— Siadaj, właśnie zaczęliśmy kolację. Tarli, mógłbyś się przesunąć? Jak się trochę ścieśnicie, to Isaac też się zmieści.

— Jasne. — Chłopak wyszczerzył się do Doma.

— Ja, szanowna pani? Mam jeść z ludźmi? — zdziwił się lodowato Isaac, wpatrując się w lokajów stojących za krzesłami.

— Nie ma się czego wstydzić, wszyscy jesteśmy tu jednym wielkim obwodem scalonym — zapewniła go Keja.

Dom pochylił się i szepnął:

— Siadaj i wyglądaj na zadowolonego albo osobiście cię rozmontuję, choćby zębami!

Skończyło się na tym, że Dom siadł między imperatorem a Keją. Ptarmigan powitał go uprzejmie i powrócił do rozmowy z Joan I, tak więc Dom mógł się spokojnie rozejrzeć. Znajdowało się tu sporo phnobów, wśród których królował niezwykle nadęty samiec alfa, łaskawie posykujący z Hrsh-Hgnem.

— Zawsze tak jadacie? — spytał Keję.

— Ptarmigan woli mieć pozostałych na oku. — Uniosła palec i służba ruszyła do obsługi gości.

— Keja, ile czasu tu jestem?

— Od wczorajszej nocy. Jesteś sławny, braciszku: połowa galaktyki cię szuka, bo masz nas zaprowadzić do świata jokerów. Co tam znajdziemy?

— Sądząc po ostatnich wydarzeniach, to cholernie dużą bombę — prychnął i dodał, widząc jej reakcję: — Przepraszam, żartowałem. Sławny, mówisz?

— Na orbicie jest kilkanaście jednostek, w większości z Terra Novae i Whole Erse, a z każdą godziną zjawiają się nowe, co słusznie denerwuje Ptarmigana. Nie całkiem to rozumiem, ale wychodzi mi, że wszyscy chcą cię porwać. To prawda, że odkryjesz Świat Jokerów w pięć dni, nieważne, co by się działo?

— Spodziewam się, że tak. A skąd wszyscy o tym wiedzą?

— Cóż, nie bardzo starałeś się trzymać to w tajemnicy, prawda? Poza tym zainteresowali się całą sprawą United Spies. Ptarmigan musiał rozkazać, by dodatkowe ekipy co godzinę przeszukiwały pałac, bo wszyscy wrzucają tu masę tych małych insektoidalnych robotów szpiegowskich. Jeden otworzył piekarnik i zrujnował suflet, a to już przechodzi ludzkie pojęcie!

— Czy któraś z tych krążących nad nami jednostek należy do creapii?

— Nie wiem.

Tarli wychylił się zza macochy i kiwnął potakująco.

— Przepraszam, ale przypadkiem usłyszałem, o czym rozmawiacie...

— Bo podsłuchiwałem — wtrąciła poirytowana Keja.

— ...jeden ze statków należy do creapii i ma rejestrację z rejonu Gwiazd Łańcuchowych.

— Z Gwiazd Łańcuchowych, tak? — Nagle coś mu się przypomniało. — Keja, gdzie jest moja manierka...

— Bezpieczna. Moja pokojówka powiedziała, że jeden z ochroniarzy twierdzi, że zawiera wodę życia. Tylko nie myśl, że jestem ciekawska.

— Naturalnie, że nie jesteś. W ciągu kilku ostatnich lat usiłowano mnie zabić, przekroczyłem konto w Banku, przez godzinę oddychałem wodą, znalazłem się na orbicie w *raczej* nieortodoksyjny sposób i pływałem po powierzchni gwiazdy. Aha, jeszcze wypadłem z Labiryntu na Minos z klatą jak lej po bombie. Mówiąc krótko: prowadziłem urozmaicone życie. Ktoś powinien zacząć pisać moją biografię i to teraz, zanim będzie za późno.

— Spróbuj z nim o tym porozmawiać. — Keja wskazała na przeciwległą część stołu, przy której siedzieli poznaczony bliznami mężczyzna wraz z poobijanym robotem.

— To Charles Sub-Lunar, prawda? Ten, którego nazywają renesansowym człowiekiem.

Keja uniosła kielich i osłaniając nim usta, powiedziała:

— Tak. Jest też ekspertem od jokerów i historykiem. Jego poezja też nie jest najgorsza. Wiesz, że to on sam odczytał język jokerów?

— Poeta i szalony komputer.

— Właśnie, choć nie jestem pewna co do komputera. Jego robot też jest fascynujący. A te blizny... Dom?... Dom?

— Co?... Tak. — Dom z namysłem obejrzał swój kielich. — Zabawne, jak się tworzy wyobrażenie o ludziach... chciałbym z nim porozmawiać. Przepraszam.

Spróbował przemknąć się niepostrzeżenie, ale nie docenił Babci, która zręcznie i z pozoru lekko złapała go za ramię. W tym chwycie była oprócz szybkości świetna znajomość anatomii.

— Dobry wieczór, wnuku. Ostatnio wpadłeś w złe towarzystwo: Ways to główny z;abójca Instytutu Jokerów

— powitała go rzeczowo.

— Zdaje się, że grzebałaś w mojej pamięci? r

— Byłeś nieprzytomny, więc było to logiczne posunięcie.

— Naturalnie...

— Przestań się wygłupiać, żyjemy w trudnym świecie.

Poza tym każdy ochroniarz słyszał o tym robocie z programem zabójcy, odkąd zabił zastępcę szefa United Spies. Widzę, że nadal masz z sobą to bagienne paskudztwo.

— Spędził trochę czasu u Waysa i sądzę, że wszczepiono mu bombę. Nie przejmowałbym się tym zbytnio — poinformował ją nonszalancko Dom.

— Myślisz, że jesteś niezniszczalny — oceniła Joan, spoglądając nieżyczliwie na Iga. — Obyś się tylko nie przeliczył.

Imperator powoli wstał i zadzwonił małym czarnym dzwonkiem. Na ten znak biesiadnicy zaczęli[^] opuszczać stół — był wśród nich Sub-Lunar z robotem, którzy szybko zniknęli w tłumie.

— I co teraz? — westchnął Dom. — Jak rozumiem, wszyscy czekają na to, co zrobię.

— Zamierzasz odkryć świat jokerów?

Większość obecnych wyszła. Zrobił to także imperator z lekkim ukłonem. Po drugiej stronie stołuj zostali tylko Isaac i Hrsh-Hgn, gawędzący z Tarlim.

— Myślę, że tak. Coś mi już świta... to nie jest planeta... to znaczy, to może być planeta, ale... Widdershins jest planetą, która ma orbitę, hydrosferę, pole magnetyczne i inne rzeczy, ale jest także światem i kulturą.

— Rozumiem. A gdzie też ona się znajduje?

— Pozostało mi mniej niż pięć dni, co wyklucza większość przestrzeni poza sferą. Sądzę... — Dom przerwał.
— Wypytasz mnie!

— Oczywiście. Nie mam ochoty, żebyś odnalazł świat jokerów i stracił go na rzecz tłumu. Polityka cię nie interesuje, ale coś tak oczywistego powinno

dawno do ciebie dotrzeć: właściwie wykorzystany świat jokerów oznacza bezpieczną przyszłość rodu Sabalos. A może i coś więcej...

— Poważnie mówisz?

— Jak najpoważniej. Ale porozmawiamy o tym później. Wybierasz się na *Maskę*!

— Musisz! — Tarli obiegł stół. — To specjalna pro-

dukcja: Sub-Lunar napisał ją na statku. Ojciec lubi trochę rozrywki po dobrym posiłku.

Dom uznał spektakl za średnio rozrywkowy. Tematem była aktualna polityka Ziemi i Zewnętrznych Światów — zawsze dawało to asumpt do śmiechu, a sztukę napisano w starogreckim — postaci nosiły duże maski wysadzone klejnotami. Chór był złożony z robotów.

A potem Doma wbiło w fotel.

Głównym protagoniŝtą był kozłowaty Przewodniczący Pan, z rogami i ogonem, który ciągle miał jakieś ciemne interesy z Pierwszym Bankiem Syriańskim — nadętą srebrzystą kulą na cienkich nóżkach.

Bank: — UWAŻASZ, ŻE CZŁOWIEK MOŻE ZAPOBIEC TEMU, BY ROBOTY GO ZDYSTANSOWAŁY?

Pan: — Naturalnie. Jaki robot może wykonywać moją pracę? Głupszych niż klasa pierwsza nie ma i nie będzie.

Chór: Brekekekex, koax, współosiowy!

Pan: — A kim jest ten strudzony wędrowiec?

Na scenę wtoczył się nowy aktor — wściekle zielony, obładowany parą skrzydlatych sandałów, z których sypały

się pióra, potężnym gumowym mieczem, gigantyczną butlą z wodą i siedzącą na ramieniu maskarą. Był to jakiś koszmarny preparator, złożony ze szklanych oczu, piór, kęp futra i rozmaitych pazurów.

Pan: — O bogowie! Co ty robisz z tym dziwactwem?

Podróżny: — Tylko nie dziwactwem, to moje zwierzątko!

Pan: — Do niego mówiłem. Czego szukasz, przechodniu? *Znajdź* to wreszcie, żebyśmy mogli kontynuować nasz skecz.

Podróżny rozejrzał się krótkowzrocznie po scenie i skoncentrował na publiczności.

Podróżny [mamrocząc]: — Szukam świata żartownisiów.

Pan: — Spróbuj Ziemi. Na Terra Novae też mają niezłe poczucie humoru. Aha: Tych żartownisiów. Wynocha, durniu: oni nie istnieją. A może istnieją?

Podróżny: — Tak i nie. To znaczy nie i tak.

Bank: — WSZYSCY WIEDZĄ, ŻE SIĘ PRZENIEŚLI DO WSZECHŚWIATA ZA ŚCIANĄ...

Pan: — ...to dlaczego nie poszukać po ciemnej stronie Słońca?

**Podróżny: — Rany, racja! Ciemna strona Słońca, tak?
Już tam idę.**

I wytoczył się ze sceny.

Następnego ranka Dom obudził się w tej samej przeladowanej sypialni, wykąpał w złotej wannie i przespacerował do jadalni. Spóźnił się na oficjalne śniadanie, bo długo dyskutował z Joan I. Spóźnienie mu odpowiadało, dyskusja zaś okazała się bezowocna, podobnie jak badanie Iga, którego w laboratorium prześwietlono i przeskanowano w poszukiwaniu każdego możliwego rodzaju broni, omal nie wpędzając go w szok. Nie znaleziono niczego, ale Ig był od rana dziwnie cichy.

Sub-Lunar odleciał zaraz po przedstawieniu, gdyż otrzymał jakieś niezwykle pilne wezwanie z Ziemi. Wielki okrągły stół sprzątnięto, za to na blacie pod

oknem zostawiono rozmaite półmiski przykryte pokrywami. Dom zajął się doświadczalnym sprawdzaniem zawartości: pod pierwszą znalazł wędzoną rybę czerwonej barwy, pod drugą pozostałości po dziku, pod trzecią owoce. Zdecydował się na rybę, przeniósł danie na stół i z czystej ciekawości uniósł kolejną pokrywę, którą natychmiast z

łoskotem opuścił imperator musiał podejmować co najmniej jednego droska na śniadaniu.

Kilka minut później otworzyły się niewielkie drzwi i do sali weszła dziewczyna — drobna, zgrabna i śniada jak Tarli. Dom uśmiechnął się, ona zaczerwieniła i nie spuszczać z niego wzroku, podeszła do blatu. Wybrała rybę i siadła po przeciwnej stronie stołu. A Dom gapił się na nią, bo zdawała się promieniować złocistym blaskiem — każdy jej ruch pozostawiał w powietrzu powoli niknący ślad. Był to prosty efekt elektrofizyczny, ale robił duże wrażenie.

Jedli w milczeniu przerywanym jedynie przez szum antycznego standardowego zegara. W końcu Dom zebrał się na odwagę i spytał:

— Mówisz po jangilsku?... Linaka Comerks diwac?... To może droskański?... upaquaduc, uh lapidi-quac nunquackuqc quipaduckuadicquakak?

Nalala sobie filiżankę kawy i uśmiechnęła się do niego. Dom jęknął w duchu: droskański był zły, ale phnobijski jeszcze gorszy. Przygotował narzędzia mowy do ostatecznego testu i wysyczał:

— Ffnbassshsss sssFFssshsss... fusss sssfghn Gsss?

Trafiła go drugim uśmiechem i klasnęła w dłoń. Chwilę później poczuł na plecach czyjś wzrok i obejrzał się. Stał za nim olbrzym równie szeroki jak wysoki, a dochodził prawie do dwóch metrów. Potężna postać zakończona była małą głową i ubrana w skórzany przyodziewek w znajomy czerwono-niebieski wzorek. Za szeroki pas pozatykane były rozmaite egzemplarze ręcznej broni, a ich właściciel przyglądał mu się obojętnie. Był to drosk — i to stary, więc oczywiście była. Gdyby w pałacu znajdowały się jakieś samce, skończyłyby w jej prywatnej lodówce.

Dziewczyna zaśpiewała coś melodyjnym jak dzwoneczek głosem.

Czerwone oczka dwa metry nad ziemią mrugnęły.

— Imperatorka pytać, co ty powiedzieć?

— Po prostu próbowałem być towarzyski. Kim jesteś?

Po krótkiej wymianie zdań z dziewczyną olbrzymka odparła:

— Ochroniarz i przyzwoitka.

— Ekonomiczne połączenie.

— Lady Sharli pytać, czy ty się przejechać?

I nie czekając na odpowiedź, podniosła go jedną ręką, co obudziło Iga. Warknął, wyszczerzył zęby i miauknął, gdy

delikatnie złapała go w drugą dłoń, mruczając coś. Ig zamrugął i wdrapał się po jej ręce i ramieniu na głowę, gdzie rozsiadł się wygodnie.

Sharli zdążyła wyjść na patio i przyjrzała się Domowi życzliwie, gdy wylądował u jej stóp niczym worek śmieci. A potem tupnęła, co wprowadziło go w szczerze zdumienie — nawet jego matka, a była ekspertką w atakach złości, nie posuwała się tak daleko. Dziewczyna pogroziła palcem, olbrzymka skłoniła się i pomogła mu wstać.

Przed patio stał robot turystyczny i trzymał uzdy dwóch innych robotów o kształtach koni. Dom widział konia tylko raz — gdy odsyłał prezent urodzinowy. Teraz miał okazję zobaczyć oryginalne laothańskie konie. Sharli dosiadła tego, który miał sierść z drapowanego aluminium i uprzęż uplecioną z drutów ozdobionych dzwoneczkami i klejnotami. Koń Doma miał barwę miedzi i gdy jeździec wdrapał się na siodło sterujące, odwrócił łeb o sto osiemdziesiąt stopni, przyjrzał się wielopłaszczyznowymi oczyma i spytał:

— Umiesz jeździć konno, facet?

— Nie wiem. Nigdy nie próbowałem.

— Dobra, to mi nie przeszkadzaj, co? — zapropono-

wał koń, grzebiąc kopytem.

Powoli ruszyli, mając za plecami maszerującą olbrzymkę.

— Dlaczego wsadzili mózg klasy piątej w konia? — zainteresował się Dom.

— Bo jestem tylko dla gości, a z niektórymi trzeba inteligentnie pogadać. Ty masz odkryć to wielkie El-Ay na niebie?

— Ja. Spotkałeś kiedyś klasę piątą z rejestracją TR-3B4-5?

— Jasne: razem nas programowano. Wylądował na jakimś zadupiu jako zaufany tamtejszego króla. A mnie się trafiła ta fucha.

— Tak mi się wydawało, że znasz mojego Isaaca. Macie podobny styl konwersacji.

— Być koniem to w końcu nie tak źle — koń zmienił temat, potrząsając łbem. — Muszą mnie dobrze traktować, bo oficjalnie jestem człowiekiem. Ma się regularne przeglądy, trzy ładowania dziennie... Mówiłeś coś?

— Myślę. — Dom przygryzł wargę i rozglądał się ciekawie.

Na Laoth nie rosło nic — planeta była sterylna, a

przylatujące statki i goście przechodzili niezwykle rygorystyczną dekontaminację, w trakcie której pozbawiano ich wszystkiego poza niezbędnymi do życia bakteriami. Atmosfera była z importu. Trudno zresztą się dziwić — cała ekonomia planety oparta była na produkcji elektronicznych cudów, toteż nie można było pozwolić, by wirusy laziły, gdzie im się podoba.

Nagi, pusty świat jest jednak nieludzki, toteż pierwszy imperator Ptarmigan, założyciel dynastii, zapoczątkował budowę ogrodu wokół pałacu. Zakorzenione w jałowej glebie, zasilane przez światło słoneczne, liczące obecnie wiele hektarów ogrody były całkowicie zrobotyzowane. Roboty-humanoidy były od dawna czymś naturalnym — jedna piąta ludzi była metalowa. Elektroniczna natura to było coś całkiem nowego — była równie martwa jak zwłoki i tak samo tętniła drobnoustrojami.

Miedziane drzewa i tak miały wygląd poskręcanych przez wiatr dębów, selenowe liście szeleściły na wietrze. Kolibry kręciły się wokół srebrzystych kwiatów, w których złote pszczoły ładowały mikro-baterie i odlatywały do swych mrocznych akumulatorów. Niewielki, bogaty w minerały strumyk wił się wśród trzcin zakwitających

siarkowymi kwiatami. W jego głębinach przemykały cynkowe pstrągi, a na jeziorkach otwierały kielichy aluminiowe lilie.

Jechali wysypaną żwirem ścieżką wśród drzew i kiwających główkami kwiatów. Sharli dotarła na szczyt niskiego pagórka, skąd wypływał podziemny strumień, płynął między kamieniami i opadał ze skalnej półki, tworząc mały wodospad kończący się głębokim niebieskim stawem. Na jego brzegu wśród złotych, przetykanych miedzą lilii zbudowano miniaturową pagodę. Sharli zsiadła z wierzchowca i wskazała mu miejsce obok, mówiąc coś przy tym.

— Lady Sharli chcieć, żeby ty opowiedzieć o sobie — orzetłumaczyła opiekunka, podrzucając dla zabawy łóż o ponadpółmetrowym ostrzu i łapiąc za nie.

Opowiedział. Z długimi przerwami na tłumaczeli — wtedy z nudów obserwował pajęczka z brązu, który na dwóch metalowych gałęziach parę stóp nad jego głową plótł sieć z cienkiego miedzianego drutu, skacząc z gałązki na gałązkę. Sharli była dobrą słuchaczką, a być może tłumaczka miała też dar opowiadania, w każdym razie dziewczyna reagowała żywiołowo, klaszcząc w dłonie, gdy

opowiadał o przygodach w Banku, i śmiejąc się, gdy wyjaśnił, jak opuścił Band.

— Lady Sharli pytać, czy ty się nie bać?

Dom spróbował wytłumaczyć, co to takiego przepowiednie obliczeniowe ale i tak pajęczek był szybszy — nim skończył wyjaśniać, tamten uplótł już pajęczynę i wycofał się w załom gałęzi, ciągnąc za sobą parę kabli zasilających. Sharli przyglądała się Domowi szeroko otwartymi oczyma w sposób, któremu nie mógł się oprzeć, a w dodatku jej perfumy zaczynały mu uderzać do głowy, toteż opowiadał dalej, a potem zademonstrował jej działanie sandałów.

Akurat skończył wywijać nad nimi ósemkę, gdy w pajęczynę wpadła mechaniczna mucha, czemu towarzyszył niewielki błękitny rozbłysk. Podczas gdy Dom wyjaśniał tajniki sterowania wiatropławem, pajęczek metodycznie rozmontował protestującą muchę, używając pary odnóży w kształcie kluczy francuskich.

Spomiędzy drzew wypadł jeszcze jeden koń — siedział na nim Tarli, prawie niewidoczny zza grubego skórzanego pancerza, którego elementy zachodziły na siebie. Zsiadł, zdjął hełm i otarł rękawicą czoło.

— Witaj, strytku. — Uśmiechnął się radośnie do Doma. — Tak sobie myślałem, że was tu znajdę. Mam nadzieję, że nie wynudziłeś się za bardzo?

— Zupełnie się nie nudziłem — zapewnił go Dom. — Słuchaj, twój kostium...

— Ćwiczyłem walkę w stylu Sham. Nie znacie tej sztuki walki na Widdershins?

Dom przypomniał sobie kilka walk na nabrzeżach, których był świadkiem, z użyciem półto... noży rybackich, i z lekka się wzdrygnął.

— Wiesz, u nas przeważnie biją się na serio... Sham?

Tarli odczepił od siodła długi pakunek i wyjął z niego miecz prawie tak długi, jak sam był wysoki. Rękojeść była obciągnięta skórą i pozbawiona ozdób, ostrze zaś niewidoczne, póki nie odbiło się w nim światło — wtedy ukazała się cieniutka zielonkawa klinga.

— Ostrze ma ledwie parę mikronów grubości — wyjaśnił Tarli. — Wykute jest jako molekuła w specjalnym świetlnym piecu. Jest niezwykle wytrzymałe. Jesteś dobrym szermierzem?

— Potrafię używać mnemomiecza. — Dom wyciągnął swoją broń i zademonstrował jej możliwości.

Tarli wziął go delikatnie. ; — Jak działa?

— Tu jest mały generator matrycy, mogący konfigurować resztę w dziesięć zaprogramowanych rodzajów uzbrojenia.

Tarli oddał mu broń z wyraźnym żalem.

— Niestety, niehonorowa broń. Miałbyś może ochotę na pojedynek w stylu sham? — spytał i widząc ninę Doma, dodał: — Do ćwiczeń używa się drewnianych mieczy, mam dwa ze sobą. Inaczej nowicjusze traciliby zbyt wiele kończyn w trakcie nauki. Jetem drugim shamuri na Laoth. Dom poczuł na sobie wzrok Sharli.

— Niech będzie — powiedział nieszczęśliwie: w końcu w rozgrywkach tstame całkiem dobrze sobie radził, choć sterował jedynie dwucalowym ostrzem trzymanym przez holograficzną postać.

A teraz mieli się bić tylko na kije...

Tarli rozpakował najpierw drewnianą broń, potem hełm i elementy skórzanego pancerza, a Sharli omogła Domowi je włożyć.

— Lepiej wytłumacz mi zasady.

— Są proste: wszystkie chwytty dozwolone, dopóki ciosy zadajesz kijem. Sharli da nam sygnał.

Dziewczyna obserwowała ich z zainteresowaniem. Teraz potrząsnęła głową i powiedziała coś ostro.

— Mówi, że musimy walczyć o coś — wyjaśnił. — Proponuje mój miecz przeciwko twoim sandałom. Nie uważam, żeby to było uczciwe.

— Niech będzie. — Dom zdjął sandały i położył je obok miecza przeciwnika.

Sharli pomachała chusteczką.

Miecze skrzyżowały się i obaj ostrożnie ruszyli po okręgu, próbując wybadać się nawzajem. Dom poczuł przypływ pewności siebie i spróbował dwóch pchnięć, które Tarli z łatwością odparował. Potem uśmiechnął się i zakręcił mieczem młynka — zaczął od obracania go wokół dłoni. Przerzucił broń przez plecy, złapał ją drugą dłonią i trzasnął Doma w hełm, po czym przerzucił miecz do drugiej ręki i łupnął go z boku w głowę. Gdyby nie wyściółka hełmu, na tym właśnie skończyłaby się walka. Dom potrząsnął głową, w której zadzwoniło cicho, acz nachalnie, i ciał na odlew. Tarli odskoczył i pchnął, równocześnie wykonując obrót, co dodało siły ciosowi i w efekcie Dom przejechał ładny kawałek na brzuchu.

Sharli osłoniła dłonią usta i odwróciła się, trzęsąc się ze

śmiechu.

Nie wstając, Dom trafił przeciwnika w nieosłoniętą stopę, zerwał się i z półobrotu ciał go w ramię z siłą, od której Tarli cofnął się i desperacko machając rękoma, próbował utrzymać równowagę. Kolejne pchnięcie w pierś pozbawiło go jej ostatecznie.

Tarli zniknął.

Dom podbiegł do brzegu stawu, akurat na czas, by dostrzec jego białą twarz znikającą pod wodą. Podbiegł, zrywając helm i elementy pancerza, i skoczył. Towarzyszyło temu wściekle dzwonięcie lilii wodnych. Głęboko w dole kształt szybko pogrążał się w mroku. Zanurkował, złapał Tarliego za ramię i gwałtownym wyrzutem skierował się ku powierzchni. Gdy do niej dotarli, grawitacja ponownie dała o sobie znać i ciężar pancerza wciągnął obu z powrotem w odmęty. Desperacko próbował wypłynąć i rozpiąć równocześnie paski uprząży Tarliego, gdy masywne ramię przebiło taflę wody tuż obok niego. Złapał się go kurczowo i obaj z Tarlim zostali wyciągnięci na powierzchnię.

Olbrzymka odepchnęła go, ledwie złapała bezwładnego Tarliego, przerzuciła go przez ramię i pobiegła

wielkimi susami między drzewa. Dom wypłynął już bez trudu i powoli wyczołgał się na skały po przeciwnej stronie zbiornika. Wypłuł wodę i czekał, aż przestanie mu dudnić w głowie.

Usłyszał świst ostrza i rzucił się w tył, już pod wodą dotarł do metalowych, grubych na palec łodyg i wynurzył się między liliami. Sharli spojrzała na niego i czubkiem ostrza odcięła kolejny, na oko półmetrowy pas czarnej skały, gdzie przed chwilą spoczywała jego dłoń.

— On się tylko bawił — syknęła w doskonałym j angielskim. — Jest drugim z najlepszych shamuri w galaktyce i bawił się z tobą. Ale ty musiałeś wygrać! Ja się nie bawię!

Z półobrotu przecięła grubą miedzianą gałąź — ostrze przeszło przez nią, nie zwalniając.

Dom zanurkował, wypłynął przy przeciwległym brzegu i pośpiesznie wygramolił się nań, gorączkowo sięgając po porzucone części zbroi — nie mogły być osłoną przed prawdziwym ostrzem, jeśli nie miały generatorów pola statycznego, które odchyłałoby cienką i niesamowicie ostrą klingę...

Nie zauważył ciosu — coś błysnęło zielonkawo i napierśnik, którym się osłaniał, stał się nagle dwuczęściowy.

Niewielką pociechę stanowił widok części rozciętego generatora, wysypujących się spomiędzy warstw skóry.

— Potnę cię powoli — obiecała — zaczynając od końca!

Czubek ostrza rozciął mu jedynie skórę na ramieniu tylko dlatego, że Dom odskoczył z godną pochwałą zręcznością.

— Powiedziałeś, że przez kilka najbliższych dni nie umrzesz. Nadal jesteś tego pewny?

Skrzywił się i zamknął oczy.

Miecz trafił go w szyję.

Otworzył oczy, czując jej pogardliwe spojrzenie, i pomacał się po karku.

— Poczekaj, aż spróbujesz ruszyć głową — poradziła, podchodząc. — Dostałeś płazem, ty zarozumiały i nudny barbarzyński gówniarzu!

I wymierzyła mu siarczysty policzek.

Próbował utrzymać równowagę, balansując na krawędzi skały, ale mu się nie powiodło — z głośnym pluskiem trzeci raz wylądował w wodzie. Gdy wynurzył się, parskając, Sharli dodała, trzęsąc się ze złości:

— Jeśli on umarł... jeśli umarł... — i niewprawnie

cisnęła weń kamieniem.

Na wszelki wypadek zanurkował ponownie i posiedział pod wodą, ile zdołał. Gdy się wynurzył, dziewczyna i jej wierzchowiec zniknęli między drzewami. Wydostał się na brzeg i zwałił się na skały. Czekał, aż wróćą mu siły, i obserwował mrówki, które zebrały się wokół odciętej przez dziewczynę gałęzi. Właśnie kończyły odcinać jedną z gałązek -widać było błękitny punkcik palnika. Kiedy opadła, szybko odciągnęły ją do wjazdu, który otworzył się w pniu drzewa.

Dom wstał, włożył sandały, zebrał oba miecze i podszedł do konia. Ten spojrzał nań z sympatią i nie odezwał się słowem. Odjechali zamyśleni.

W miejscu odcięcia gałęzi pojawił się niewielki dźwig, który umocowano do pozostałości, na dole zaś gałąź została pocięta na kawałki i wniesiona do pnia. Obok dźwigu wyrosło rusztowanie i ekipa remontowa zabrała się do mrówczej rekonstrukcji. Wyżej, wśród selenowych liści, siedział znacznie większy i nielaothański owad i obserwował całą operację.

Jego z kolei obserwował pajęczek i myślał o prądzie elektrycznym.

Jesteśmy starą rasą i skorzystaliśmy ze wszystkiego, co galaktyka mogła nam zaoferować. Sam widziałem czarną paszczę jądra galaktyki i jasne, martwe gwiazdy obrzeży. Dlatego też jako rasa jesteśmy skazani. Ty szukasz nowych doświadczeń jako pseudocząłowiek. Ja studiowałem narodziny wodoru w międzygwiazdnych otchłaniach z rasą zwaną The Pod. Sublimujemy naszą świadomość i tożsamość, bo nas ograniczają. Ale co zrobimy dalej?

osobisty list od Jego Gorącości CrabE +687°

do Jego Gorącości+690°

opublikowany w antologii *Postjokeryzm*

— Wejść! Dom pchnął drzwi.

Tarli leżał na brzuchu i czytał. Uśmiechnął się na widok Doma.

— Siadaj, gdzie chcesz — zaproponował. Dom siadł i

położył na łóżku sandały antygrawitacyjne.

— Twoje — powiedział zwięźle. Tarli dotknął ich zamyślony.

— Tak... — mruknął z powątpiewaniem i wyłączył sześcian.

— Przyciąganie działało na moją korzyść i oszukiwałem, i... — dodał Dom i zamilkł.

— Jesteś przemoczony. — Tarli klasnął w dłonie.

W kącie pokoju coś zaszumiało i pojawił się młody drosk. Przyjął polecenia dostarczenia świeżego ubrania i ręcznika i zniknął, a raczej zniknęła. Po paru sekundach była z powrotem.

— Masz jakieś zasady co do nagości? — spytał Tarli.
— Jeśli tak, to łazienka jest tam.

Dom ściągnął mokrą koszulę i mruknął coś niewyraźnie.

— Widzisz, mamy rozmaitych gości, więc lepiej zapytać, żeby kogoś nie obrazić. To by było wszystko, Chaquaduk. — Tarli ponownie klasnął i kłaniająca się postać zniknęła.

— Zgrabne — przyznał Dom. — Pole transferowe to przydatna rzecz, tylko Babcia nie zgadza się, żeby je

zainstalować. Twierdzi, że to złośliwe marnotrawstwo energii.

Tarli uniósł dłonie i wyjaśnił:

— Pod skórą mam wszczepione powierzchnie indukcyjne. Tradycja rodzinna i robi wrażenie na gościach. Trzymaj!

Dom złapał pas ze smoczej skóry i spiął nim luźną szatę z żółto-szarego jedwabiu. Tarli wyjął z emaliowanej szafki mniejszy egzemplarz miecza i podał mu go.

— To się nazywa koto i jest wyłącznie paradną bronią. Przyjmij to, proszę, bo nie licząc innych, powodów, według naszych zwyczajów odmowa jest śmiertelną obrazą i znowu będę musiał z tobą walczyć, tylko tym razem mieczem i bez zbroi. A przedtem będę musiał cię nauczyć sztuki walki shem. — Spojrzał wymownie na szyję gościa i dodał: — Jak słyszałem, już i tak dostałeś lekcję.

Dom odruchowo dotknął siniaka i skrzywił się.

— Sądziłem, że laothańskie dziewczyny specjalizują się bardziej w kompozycjach kwiatowych — burknął.

— Najbliższe kwiaty są na Boon-dock. — Tarli uśmiechnął się szeroko. — Najładniejsze z nich to

ruchome róże; żeby zerwać kwiat, trzeba najpierw

unieruchomić całą roślinę.

— Założę się, że jest w tym dobra.

— Niezła. Jest najlepszą shamuri na liście obejmującej pięciuset mistrzów.

Dom przyjrzał się koto i mruknął coś niezobowiązującego.

— Ja jestem lepszy w łucznictwie — dodał Tarli, — Jej brak cierpliwości: jest dopiero trzynasta.

— A jest coś, w czym nie jest dobra?

— Trzecia narodowa rozrywka.

— Czyli co? Łapanie dzików gołymi rękami czy trójskok na polu minowym?

— Projektowanie mikroobwodów. To sztuka, gdybyś nie wiedział. Chodź, czas na obiad.

Dom kolejny raz zaskoczony był brakiem robotów na planecie wytwarzającej najlepsze roboty i ich umysły. Najwidoczniej mieszkańcy nie przepadali po pracy za własnymi wytworami.

— Ojciec jest zły — odezwał się Tarli, gdy szli korytarzem zdobionym lakierowanymi płaskorzeźbami.

— Na mnie?

— Pośrednio. Widzisz, on bardzo lubi gości, ale nie w

kupie, zwłaszcza nieproszonych. A tych ostatnio jest zatręśnienie. Ile ci zostało czasu do odkrycia świata jokerów?

— Trzy dni plus dzisiejsza noc.

— Masz jakieś pomysły?

— Kilka — odparł niezwykle wstrzemięźliwie Dom.

— Mam nadzieję, że dobrych. W systemie czeka na twój ruch ponad pół setki statków i okrętów. Terra Novae przysłała całą flotyllę, a Whole Erse jakiś zażytkowy pancernik, pewnie ostatni w galaktyce. Jak ich doprowadzisz do świata jokerów, będzie regularna bitwa, tylko nie wiadomo, czy ktoś najpierw nie straci cierpliwości, i to właśnie ojca niepokoi...

— Wątpię, żeby poszukiwania miały coś wspólnego z Laoth.

— Ale ci w górze o tym nie wiedzą: pałac roi się od pluskiew optycznych, akustycznych i samobieżnych. Próbują wcisnąć się wszędzie i nie pomagają żadne akcje oczyszczające. O, popatrz na tego natręta!

Po górnej krawędzi płaskorzeźby za nimi skradło się coś, co przypominało wysadzaną klejnotami modliszkę. Próbowало uciec, gdy Tarli się zbliżył, ale okazał się szybszy

— stracił robota czubkiem miecza i rozdeptał.

— Wygląda na przeciętny ziemski model — ocenił. — Teraz rozumiesz, o co mi chodzi?

— Mówiąc krótko: miło wam, że wpadłem, ale milej byłoby, gdybym już sobie poszedł — podsumował Dom.

— Nie obrażaj się: dopilnujemy, żebyś odszedł w pionie i dobrze chroniony — zapewnił go pospiesznie Tarli. — Tak się składa, że nie jesteś jedynym powodem do zmartwień... słyszałeś, że Bank zniknął?

Dom pokręcił głową przecząco.

— Nic podobnego nigdy dotąd nie nastąpiło.

Służący w liberii otworzyli odrzwia i obaj weszli do jadalni. Tym razem w posiłku brało udział jedynie osiem osób, toteż okrągły stół złożono i umieszczono w magazynie pamięciowym, a na jego miejsce rozłożono zwykły duży stół laothański. Oprócz Joan I, Kei, imperatora, Sharli i Hrsh-Hgna siedział przy nim mały, nijaki Laothanin i stały dwa krzesła. Za jednym stał Isaac, za drugim Chaquoduc. Isaac trzymał Iga.

— Dzięki. — Dom odebrał zwierzaka. — Gdzie był? I gdzie ty się podziewałeś?

— Odwiedzałem stare kąty, szefie. A Ig został nie-

oficjalną maskotką ekip odpluskwiających, bo szybciej znajduje mechaniczne pluskwy niż najlepsza aparatura.

Sharli spojrzała na Doma i widząc jego wzrok, zaczerwieniła się.

W milczeniu zjedli główne danie — rybę o nazwie kai. Milczenie było tak głębokie, że wysiłki tercetu chlongistów przygrywających w drugim końcu sali z góry skazane były na niepowodzenie — wyraźniej od nich słychać było podzwanianie liści, wpadające z chłodnym wiatrem przez otwarte okna.

Imperator z wielkim namaszczeniem nalał gościom czystego, syropopodobnego płynu, niezwykle lekkiego na języku i palącego w gardle, i klasnął. Służba zniknęła, muzycy zaś odłożyli instrumenty i pośpiesznie wyszli.

— Teraz możemy porozmawiać — odezwał się.

— Szpiedzy? — wymamrotała w kielich Joan I. Imperator uniósł brwi.

— Naturalnie, moja droga: jeden z muzyków zostawił pluskwę akustyczną, drosk mojego syna regularnie donosi na rodzimą planetę, a w tym pokoju aż roi się od robotów szpiegowskich. Jegomość siedzący po mojej lewej nazywa się Magane i jest jednym ze zdolniejszych szpiegów w

okolicy. Jednym z jego zadań jest szpiegowanie mnie, innym szpiegowanie dla mnie, żebym przez nieświadomość nie podjął nierozsądnej decyzji. — Nieznany Domowi mężczyzna uśmiechnął się skromnie, a imperator dokończył, niespodziewanie zmieniając temat: — Gdzie jest świat jokerów?

Dom przesunął palcem po brzegu kielicha.

— Zostały ci zaledwie siedemdziesiąt dwie godziny, by go odkryć — przypomniał Ptarmigan.

— To nie fair! — zaprotestowała Keja.

— Przecież go nie zmuszę, jeśli nie będzie chciał mi powiedzieć!

— Chyba zaczynam rozumieć — powiedział spokojnie Dom. — Można by powiedzieć, że wyczuwam kształt rozwiązania. Ciemna strona Słońca... trochę wymijające, prawda? Może to odniesienie do innych wymiarów?

— Nie wierzysz w to — ocenił imperator. — Ja też nie. Świat jokerów to coś istniejącego tu i teraz. Rachunek prawdopodobieństwa sugeruje, że jest to jedyny wszechświat, w którym istnieją, choć nie jesteśmy w stanie zlokalizować ich obliczeniowo. Prywatnie sędzę, że to przypadek i okazja, która choć nieprawdopodobna,

wydarzyła się tylko w naszej konkretnej czasoprzestrzeni.

— Też tak uważam — zgodził się Dom. — Oprócz ras żyjących w atmosferze istnieje jedynie cztery czy pięć przypadków życia, a i tak są duże i inne... no, niezupełnie takie jak to, co uważamy za normalne życie. Dla Banku czy Chatogastera życie to jeden z atrybutów, podobnie jak masa czy wiek. Sądzę, że początek swego istnienia wszystkie rasy intelK gentne zawdzięczają jokerom, którzy pierwsi traktowali życie tak jak my. Nie wiem, dlaczego tak| sądzą, po prostu wiem, że to prawda.

— Nie bardzo wiem, o czym mówisz — wyznała| Keja.

— Widzisz, moja droga: wszechświat nie ma czasu¹ na życie. — Imperator uśmiechnął się. — Życie nie ma prawa istnieć, a przeciętny człowiek po prostu nie zdaje sobie sprawy, jak dalece jest to nieprawdopodobne zjawisko.

— Jesteśmy przyzwyczajeni uważać, że życie jest normalną częścią wszechświata — poparł go Dom. — Już w przedsadhimistycznych czasach ludzie zaludnili gwiazdy wymyślonymi istotami i oszukiwali! samych siebie, twierdząc, że życie jest statystycznie częstym zjawiskiem. Powód był prosty: nie chcieli! być sami, bo nikt nie czuje się dobrze w samotności.l

— Dotyczy to także jokerów — dodał Hrsh-Hgn. — Oni mogli, więc zmienili ssskalę prawdopodobieńssstwa tego zjawissska.

— Oni również zaludnili gwiazdy, tyle że dosłownie. Musieli być biologicznymi geniuszami: wypełnili każdą ekologiczną niszę, od chłodnych słońc po lodowe planety... — zaczął Dom i umilkł, nagle bowiem wiedział wszystko o jokerach.

Zdania wypełniły mu umysł, choć nie wiedział, czy znalazły się tam dobrowolnie, czy też je weń włożono. Bądź co bądź wiedział. Pamiętał, jak się czuli, spoglądając na puste planety i znając wbudowany blok, jaki w końcu napotka każda rasa — granicę fizycznych zmian, poza którą nie da się już ewoluować... Zobaczył świat jokerów i osłupiał. Wokół toczyła się rozmowa, a on siedział głuchy i niemy.

— “Ciemna strona Słońca” brzmi poetycko — zauważyła Keja. — Screamer i Groaner?

— Wnętrze planety Protossstar 5? — spytał z powątpiewaniem Hrsh-Hgn. — Za gorące i zbyt krótko issstnieją: dziesięć tysssięcy lat temu jeszcze ich nie było. Sssą też zbyt radioaktywne.

— Dla ludzi — sprzeciwiła się Keja. — Nikt nigdy nie udowodnił choćby pobieżnego podobieństwa ludzi i jokerów. Mogą być silikoidami, jak creapii.

— A szczury? — spytał Tarli i wzruszył ramionami, widząc miny pozostałych. — Wiemy, jak wygląda sytuacja na ich planecie, a odwrócona entropia może pasować do tego powiedzenia o ciemnej stronie Słońca.

— Według creapii żadna istota na planecie Tanalp nie mogła stać się inteligentna — odparł ostro Ptarmigan. — I nie będziemy więcej o tej planecie rozmawiać!

— Uważam, że to Ziemia — odezwała się Joan I.

— To wielce homocentryczne stwierdzenie — ocenił imperator. — Możesz je uzasadnić?

— To stara teoria, głosząca, że rasa jokerów to rasa ludzka i chodzi tu o anatomicznych ludzi, wywodzących się z Ziemi. Teoria głosi, że osiedlili się na Ziemi w okresie, w którym należeliśmy do małp, i spowodowali nasz rozwój poprzez sztuczne wymieszanie genów i hodowlę. Sporo dowodów pośrednich potwierdza takie stanowisko. Ziemia była jedynym miejscem, oprócz ojczyzny creapii, zdolnym wyprodukować rasę, która potrafi polecieć w kosmos o własnych siłach, choć na śmiesznie małą odległość. Wielu

obcych uważa ludzi za potomków jokerów choćby dlatego, że jedynie Ziemianie mogliby zbudować coś takiego jak Gwiazdy Łańcuchowe. Ziemia też jest siedzibą Instytutu Jokerów, który praktycznie rządzi planetą, jako że połowa rady należy do jego zarządu. Istnieje wersja głosząca, iż eliminacją potencjalnych odkrywców kieruje klika jokerów czystej krwi, nie mających ochoty dopuścić do odkrycia prawdy. Chcą sami odkryć świat jokerów.

— Hrsh-Hgn odchrząknął i oświadczył:

— Chciałbym przypomnieć, że podobne teorie krążą wśród phnobów, drosssków, creapii, tarquinów, ssspoonerów i wielu innych rasss. Prawie wszystkie rasssy uważają, że sssą jokerami. Creapii twierdzą na przykład, że nikt inny nie zgromadziłby wiedzy wysstarczającej do zajęcia Sśśrodka Wszechśświata. Phnoby uważają, że tylko ktośś o ich zrozumieniu całośści mógłby tak idealnie zaprojektować i wykonać Gwiazdy Łańcuchowe. Ssspoonerzy sssą przekonani, że jedynie przy ich przemianie reim tole w gramepe możliwe jest zrozumienie Labiryntu. Tarquini nadają, że...

— Już wszyscy wiemy, o co chodzi — przerwał mu imperator.

— We wszechświecie jest tylko jedno Słońce — powiedział Dom, zyskując w ten sposób niepodzielną uwagę wszystkich obecnych. — To proste... gwiazd jest wiele, ale prawdziwe Słońce, czerwone, jest tylko jedno.

Prawda była o włos — widział przez nich i przez ściany, mogąc spojrzeć w kosmopolityczny świat pięćdziesięciu dwóch znanych ras inteligentnych, w którym niczym żółtko w jajku tkwił sobie świat jokerów po ciemnej stronie Słońca. Po namyśle doszedł do wniosku, że tej wiedzy mu nie podarowano — zbyt logicznie był w stanie udowodnić swój tok myślowy, tłumaczący wszystko zupełnie jak w uczciwym równaniu rachunku prawdopodobieństwa.

Pomyślał, że ojciec świadomie poszedł na śmierć, jak przystało na dobrego matematyka, ale miał też zamiar...

Coś zadźwięczało za jego plecami i znajomy głos mruknął:

— To już naprawdę przechodzi pojęcie! — Stojący w drzwiach Ways spojrział z obrzydzeniem na swój stripper i wszedł do pokoju. — Dobry wieczór Waszej Eminencji i reszcie obecnych. Mniej więcej w tym miejscu ktoś bez sensu wzywa strażników.

Ściany zniknęły. Trzej strażnicy wystrzelili równocześnie i zniknęli w chmurkach szarego pyłu.

— Stripper to jedno z wykorzystañ generatora matrycy — wyjaśnił uprzejmie Ways. — W niezwykle rzadkich okolicznościach może się zepsuć, co objawia się odwróceniem zasady działania: tworzy pole odbijające strzały innych stripperów i to pod tym samym kątem. Sądę, że właśnie to nastąpiło.

Pierwszy zapanował nad sobą imperator — nalał wina, podał kielich Waysowi i uśmiechnął się chłodno.

— Byłbyś uprzejmy wyjaśnić, jak się tu dostałeś? — spytał. — Wygląda na to, że muszę wymienić system alarmowy.

— Przydałoby się. Wylądowałem na tarasie bez żadnych problemów. Sądę, że większość systemów po prostu zawiodła.

— Masz duże szczęście — zauważył Ptarmigan.

— Tak zostałem zbudowany. Niedaleko stąd zresztą.

— Aha, przypominam sobie: szczęście jako cecha elektroniczna. Sam przeglądałem plany, szkoda, że nie pomyśleliśmy o jakimś wyłączniku.

— Nie zadziałałby — zapewnił go Ways. — No, dość

pogawędki. Czy ktoś wie, jak mogę zabić Doma Sabalosa, który wydaje się nieśmiertelny i niewrażliwy? Założę się, że jeśli zrzucę mu na łeb skalę, to planeta przyspieszy obroty, by wybić ją z kursu.

Sharli cięła bez ostrzeżenia — jej koto trafiło robota w pierś i rozprysnęło się na atomy. Zaskoczona spojrzała z niedowierzaniem na rękojeść.

— Nie przejmuj się: teoretycznie jest to możliwe — pocieszył ją Ways. — Przepraszam.

Wyjął z kieszeni oficjalny pistolet używany przez United Spies i strzelił w Doma.

Kula zatrzymała się o metr od niego i zawisała.

Przez wszechświat przebiegło lekkie drżenie.

— Opór molekularny — ocenił Ways. — Cholera! Siadł ciężko i sięgnął po kielich. Gdy go opróżnił, uśmiechnął się i wskazał bronią sufit.

— Tam musi być ponad setka statków i okrętów wszystkich chyba ras. Wszystkie bacznie obserwują planetę i siebie nawzajem. Ile planet liczy ten system, Eminencjo?

— Od odlotu Banku spodziewam się, że sześć.

— Zgadza się, choć niedokładnie: Bank znajduje się na orbicie czterdziestu milionów mil za orbitą... jak| się

nazywa wasza najdalej położona planeta?

— Far Out — mruknął Tarli.

— No to za nią. Jak widać, wszyscy są niezwykle zainteresowani poczynaniami Doma w ciągu kilku

najbliższych dni. Ja zresztą też, toteż poczyniłem pewne modyfikacje w dotychczasowych uzgodnieniach: wszyscy udamy się do świata jokerów. — Wymownym machnięciem broni uciszył nagły gwar. — Dom i ja jesteśmy szczęściarzami. Moje szczęście jest gwarantowane elektronicznie, jego, jak sądzę, jest sprawką jokerów. Obawiam się jednak, że pozostałych określenie “szczęściarz” nie dotyczy. Wyraziłem się wystarczająco jasno, czy muszę się uciekać do użycia tak niesympatycznych określeń, jak: “zakładnik”, “zabić” itp. itd...?

Ledwie wyszli na taras, wyminał ich mechaniczny nietoperz. Na tarasie stał statek, o ile można tak nazwać niewielkie urządzenie o kształtach wyznaczonych przez silnik matrycowy. Oprócz napędu zawierał silnik pilota osłonięty przezroczystą kopułą i ramę na wyposażenie dodatkowe. Podwozie przyspawano do ramy, na której

spoczywał silnik matrycowy, i to w zasadzie było wszystko. Funkcjonalizm w pełnym rozkwicie, czyli urządzenie służące do jak najszybszego przenoszenia pasażera z miejsca na miejsce przy zachowaniu jedynie minimum wygód. Imienia nie miał — też było zbyteczne.

Dom wsiadł, zamknął kopułę i przyjrzał się przyrządom. Plastik nieco tłumił głos Waysa, ale nie na tyle, by stał się niezrozumiały:

— I żeby wszystko było jasne: jeśli stracę z tobą kontakt albo ktoś zrobi coś głupiego, będę zmuszony zareagować. Czekaj na nas na orbicie.

Dom wystartował szybko i gładko, a gdy znalazł się poza atmosferą, miał na ekranie cały system Tau Ceti — planety oznaczone były kolorem czerwonym, statki niebieskim, a na samym brzegu ekranu znajdowało się coś, co zmieniało barwę — komputer pokładowy miał mózg klasy drugiej i nie bardzo mógł się zdecydować, czy Bank jest planetą, czy statkiem. Punkt szybko zniknął, Bank bowiem wszedł w nadprzestrzeń, co przy olbrzymich silnikach, jakie Dom widział w jego wnętrzu, nie było niczym nadzwyczajnym.

Dziesięć minut później barka Joan I stała się jasnym punktem nad równikiem planety. Dom zaprogramował komputer, jak mu polecił Ways, i westchnął.

Skok był krótki — trwał ledwie pół godziny czasu subiektywnego i skończył się wewnątrz formacji jakiejś floty. Zgodnie z wcześniejszymi poleceniami Dom nawiązał łączność z barką i na ekranie ukazała się główna kabina. Pośrodku stali zakładnicy, podtrzymując Joan I, a przed nimi leżał Isaac. W pole widzenia wszedł Ways.

— Natrafilem, jak widzisz, na mały opór, ale nie martw się: już po wszystkim — poinformował Doma.

— Po co ta armada?

— Dla towarzystwa. Możemy być zmuszeni do walki czy do zbadania martwego świata. Przyda się.

Dom ryknął histerycznym śmiechem i wył dłuższą chwilę — przerwał dopiero na widok Iga próbującego znaleźć jakąś kryjówkę na tablicy przyrządów i przyglądającego mu się z przerażeniem.

— Idioci — poinformował Waysa rzeczowo. — Naprawdę sądzicie, że zaprowadzę was do planety?!

Ekran zamigotał i pojawiła się na nim szczupła twarz mężczyzny o czarnych włosach i rysach świadczących z całą

pewnością, że pochodzi z Ziemi.

— Przykro mi z powodu niedogodności — odezwał się mężczyzna. — Jestem Franz Asman z Instytutu Jokerów, a to są nasze okręty. Ways jest naszym narzędziem.

— Ziemianin, co? — prychnął Dom. — To znaczy, że nie uważasz, że zakładnicy mogą powstrzymać mnie przed ucieczką. Ziemianin upieklby własną prababkę, gdyby widział w tym jakąś korzyść.

— Niech nas Sathim ustrzeże od międzyplanetarnej zawiści. — Asman westchnął zmęczony. — Prawdę mówiąc, od dłuższego czasu uważnie cię obserwuję i studiuję. W Instytucie zajmuje się tym zespół liczący dwieście osób. Wiemy dość dokładnie, jak postąpisz w określonej sytuacji, więc obaj wiemy, że nie uciekniesz.

— Przeklęta popularność — mruknął Dom, wpatrując się uważnie w ekran, na którym widać było za plecami Asmana grupę postaci skupionych wokół długiego wzoru pełnego brunatnych linii. — Dlaczego?

— Taka już nasza praca. Wiesz, co oznacza słowo “astrolog”?

— Jasne. Jestem spod znaku Łowcy O'Briena.

— Jesteśmy nowymi astrologami. Oceniamy i prze-

widujemy...

...na podstawie matematyki prawdopodobieństwa przesiewali populację galaktyki w poszukiwaniu osobników, których profil prawdopodobieństwa odpowiadał teoretycznemu odkrywcy świata jokerów. Z nieznanych powodów obliczenia dotyczące jokerów stawały się też nonsensowne, kiedy prowadzono je przy użyciu rachunku prawdopodobieństwa. Było jednak możliwe utworzenie wzoru czy równania z obrzeży otaczających owe logiczne dziury. Oznaczało to mnóstwo dodatkowej roboty, ale dawało rezultaty. W tym roku nie było najgorzej — znaleziono jedynie trzech potencjalnych odkrywców: phnoba z kasty kapłanów, trzymiesięczną dziewczynkę na Third Eye i Doma.

Pierwszą parę zabito bez żadnych kłopotów, natomiast z Domem sytuacja wyglądała zupełnie inaczej i Instytut nie miał pojęcia dlaczego. Jego ojciec także był potencjalnym odkrywcą, a zabito go bez trudności. Mimo to coś chroniło Doma przed wygodnym dla wszystkich usunięciem. Miał zdecydowanie zbyt wiele szczęścia, by można uznać to za naturalne. Ktoś chciał, żeby odkrył świat jokerów.

— Zgadza się — przyznał Dom. — To zasługa jokerów.

— Tak sądziliśmy. — Asman smutno pokiwał głową.
— Wiesz, dlaczego nie możemy ci na to pozwolić?

— Chyba wiem, jak przebiega wasze pokrętne rozumowanie. Boicie się jokerów, bo ich nie znacie. Sądziecie, że kontakt nawet z pozostałościami ich kultury was zniszczy. Wydaje mi się, że uważacie, iż ludzie poradzą sobie znacznie lepiej bez bogów.

— Możesz się wyśmiewać, ale to my mamy rację. Nie przeczymy, że artefakty jokerów w pewien sposób wpłynęły stymulujące na międzyrasową współpracę...

— Mów po ludzku! — warknął Dom. — One ją spowodowały. Creapii wynaleźli napęd matrycowy, by *znaleźć* u innych ras inteligentnych rozwiązanie zagadki jokerów!

— Niech i tak będzie. Wiesz, że na długo przed Sadhimem, a nawet przed lotami w przestrzeń większość ludzi wierzyła w jakąś wszechobecną istotę boską? Nie pomniejszych bogów, odpowiedzialnych przed siłami natury, ale w prawdziwego Dyrektora Wszechświata? Gdyby się okazało, że on naprawdę istnieje, na Ziemi zapanowałby niewyobrażalny chaos: przestałby bowiem być obiektem wygodnej wiary, a stał się faktem. Nie wierzysz w istnienie Słońca; wiesz, że ono istnieje. Mając tę

świadomość, ludzie wyginęliby na kompleks niższości. Nie da się żyć, wiedząc o istnieniu takiej potęgi. Istnienie jokerów

jako idea było potrzebne, gdyż stanowiło siłę jednoczącą wszystkie rasy, ale nie możemy pozwolić na odkrycie ich świata. Załóżmy, że jest martwy: skoro nawet oni wymarli, to po co starać się żyć i działać? A jeśli żyją, to czy nas zniewolą, czy zignorują? Albo jeszcze gorzej: mogą się z nami zaprzyjaźnić. Pozwolimy ci udać się na ciemną stronę Słońca, musisz jednak zrozumieć, że nie możemy ci pozwolić wrócić.

— Wiem, czym jest świat jokerów — odparł spokojnie Dom. — Wydaje mi się, że wiedziałem to już od pewnego czasu, tylko nie zdawałem sobie sprawy. Wydaje mi się, że wiem, gdzie on jest... we wszechświecie... w naszym wszechświecie jest tylko jedno Słońce, a dali je nam właśnie oni. Sprzęgniesz komputery pokładowe z moim?

Asman skinął potakująco.

— W takim razie zrób to i lećcie za mną.

Kosmos wokół rozjaśniał. Dom wyłączył radiostację i spróbował zignorować złocistopomarańczową lunę wypełniającą statek i to, co go otaczało.

— Dlaczego teraz? — spytał, nie kierując tego do nikogo konkretnego. — I dlaczego ja?!

Ig wzruszył ramionami i odwrócił ku niemu pysk. Odezwał się, tyle że słowa docierały do umysłu Doma bez konieczności używania kłopotliwego narzędzia mowy i słuchu.

...Kłopot polegał na tym, że nigdy nie znaleźliśmy sposobu, jak zostać empatami. Telepatia to co innego: po prostu wyższa forma mowy. Natomiast niemożliwe okazało się poznanie uczuć innej istoty...

— Byliście samotni — domyślił się Dom. — Przez te wszystkie puste lata...

...Isaac powiedziałby: blisko, ale nie do końca. Przeszukaliśmy nawet wszechświaty alternatywne, łącznie z tak ponurymi, że trudno sobie wyobrazić.

W niektórych istnieje życie: są wszechświaty, w których gwiazdy żyją, jest jeden, w którym galaktyka śpiewa. W innym, tam — Ig wskazał łapą i pazur zniknął mu na moment w innym wymiarze — nie istnieje nic poza myślą i zrozumieniem, ale są dla nas zbyt obce. Nadużywacie resztą tego określenia: nie macie pojęcia, jak obce może się coś okazać. Odkryliśmy to, co creapii właśnie zaczynają

rozumieć: że ostateczną nieprzekraczalną barierą jest punkt widzenia jakiejś rasy. Powoli dociera do creapii, że nawet najobiektywniejsze stwierdzenia dotyczące wszechświata nigdy nie będą do końca wolne od subiektywizmu wywołanego przez ich umysły i emocje. Dlatego są takimi ambasadorami międzyrasowej harmonii i tak rozpaczliwie próbują być każdym, tylko nie sobą...

— Dlatego wynaleźliście nas. A właśnie, wynaleźliście? Żeby uzyskać inne punkty widzenia?

...Blisko, raz jeszcze. Musieliśmy jedynie ułatwić ewolucję inteligentnym formom życia. To nie było trudne, na dobrą sprawę przy obecnym poziomie waszej nauki też bylibyście w stanie to zrobić. Chociaż przyznaję, że trafienie we właściwą kombinację w przypadku formy dostosowanej do życia w płynnym helu było trudne. Tak na marginesie, ten Ziemianin, z którym rozmawiałeś, kazał mi wszczepić bombę, ale zdezaktywowałem ją, zanim kazałeś mnie przebadać...

Ig przerwał i podrapał się za uchem.

...Artefakty zostawiliśmy jako prowokację. I obawiam się, że oszukiwaliśmy: zanim opuściliśmy galaktykę, posprzątaaliśmy ją naprawdę dokładnie. W niektórych

planetach odbudowaliśmy całe jądra, w innych zasoby rud metali, węgla czy ropy, a nawet skamieliny. Chcieliśmy, żebyście mieli uczciwy start życiowy. Owszem, dostaliście używane planety, ale

w odtworzonym pierwotnym stanie. Dostaliście też Wieże, Gwiazdy Łańcuchowe i całą resztę kulturowych fałszerstw. Miały wzbudzać podziw, a nie być źródłem informacji. Musieliśmy jednak zostawić jakąś poszlakę, było to, jedynie właściwe z artystycznego punktu widzenia...

— Ciemna strona Słońca — powiedział powoli Dom. — To właściwie dwie poszlaki. Pierwszą było to, że udało nam się to odczytać: gdybyście nie chcieli, nigdy by się nam nie powiodło. Nie potrafiliśmy nawet tłumaczyć phnobijskiego, dopóki phnoby aktywnie nam nie pomogli. Co się tyczy Słońca: chodziło o to, że świadomie odwróciliście się od inteligencji, zostając głupimi zwierzętami.

...No, nie przesadzajmy! Błotne igi nie są aż takie głupie, biorąc pod uwagę środowisko, w jakim żyją. Wybraliśmy nową formę naprawdę starannie. Możesz mi wierzyć: miło jest nie mieć żadnych wrogów i wylegiwać się

w ciepłym błocie. Musieliśmy też wbudować zabezpieczenia, jak choćby genetyczny chwyt, powodujący, że jesteśmy zwierzętami przynoszącymi szczęście. Dzięki temu nikt na nas nie poluje. No i alarm umożliwiający przypomnienie sobie przeszłości, gdy nadejdzie właściwy czas. Ta forma fizyczna, choć niewielka, była doskonałą kryjówką...

— Już raz pytałem: dlaczego ja?

...Bo żyjesz we właściwym czasie i jesteś naturalnym kosmopolitą pochodzącym z Widdershins. To kiedyś też był nasz świat. Jesteś bogaty i masz pewną pozycję. Krótko mówiąc, powiedzmy, że tak chciał los...

Ig zamilkł i wpatrzył się w pozbawiony ciepła ogień międzyprzestrzeni.

— Przepraszam... — powiedział trochę niepewnie Dom. — Ale nie wyglądasz na przedstawiciela superrasy...

Przednie łapy Iga zamigotały na klawiaturze komputera. Uniósł łeb i przyjrzał się Domowi... s ...Dom przetarł oczy.

— Przepraszam — wymamrotał, próbując sobie przypomnieć, co widział podczas tego kilkusekundowego kontaktu, ale pozostały mu jedynie wrażenia wielkości i

zrozumienia.

...Dziękuję — powiedział cicho Ig. — Widzisz, wszyscy spodziewają się, że rasa mądrzejsza i bardziej rozwinięta od innych wyląduje w złotych statkach i oznajmi coś w stylu: “Odrzućcie broń, przestańcie się kłócić i dołączcie do wielkiego galaktycznego braterstwa istot inteligentnych”. W praktyce tak głupio postępują tylko młode i zadufane rasy...

— A co teraz nastąpi?

...Teraz?

...spotkamy się i wspólnie być może zobaczymy wszechświat taki, jaki jest naprawdę. Gdy się spotkamy, wszyscy będziemy równi — wszyscy jesteśmy bowiem podgatunkami w jednej wielkiej rodzinie istot potrzebujących do życia słońca. A poza tym całość jest nieskończenie większa od sumy elementów składowych. Teraz...

...Teraz porozmawiamy..., — powiedział Ig.

Flota znajdowała się na orbicie Widdershins, a z nadprzestrzeni ciągle wyskakiwały statki i okręty innych ras. Radio rozbrzmiewało prawie wszystkimi znanymi w galaktyce językami.

— Będą walczyć! — Przez zgiełk przebił się głos Joan I. — Mój boże, będą się bić!

Mostek flagowego okrętu Ziemi zdominowany był przez kulisty ekran otaczający go dookoła. Nadlatujące jednostki tworzyły na nim niezbyt uporządkowaną formację, a ich kapitanowie zajęci byli wyjątkowo gwałtowną dyplomacją.

— Widdershins, tak? — Asman potrząsnął głową, podchodząc do jednej z konsol. — Przykro mi... Jesteście więc widdershińskimi jokerami, tak? Niewielką kolonią, a więc nie jest wykluczone...

Okrętem nagle zatrzęsło. Z międzyprzestrzeni zwanej kosmosem wyłoniło się coś wielkiego i ostrzegło tak potężnym głosem, że głośniki prawie dostały rezonansu:

— UWAGA! ZASTOSUJĘ WSZELKIE WYOBRAŻALNE SANKCJE EKONOMICZNE WOBEC CAŁEJ RASY, KTÓRA ZACZNIE ZACHOWYWAĆ SIĘ AGRESYWNIE!

Po tym ostrzeżeniu Bank zajął orbitę w pobliżu, by mieć wszystkich na oku.

Dom otworzył osłonę kabiny i wyszedł w przestrzeń.

Szedł powoli, nie do końca wierząc, że idzie po niczym,

w końcu zatrzymał się kilkanaście metrów od statku otoczony delikatnym migotaniem. W wyciągniętych dłoniach coś trzymał.

Ig wstał na tylnych łapach i przemówił.

Na ziemskim flagowcu światła przygasły, obwody i bezpieczniki spłonęły, a ściany zatrzęsły się od ryku fali głosowej.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

Mały joker umilkł i powtórzył ciszej:

...Lądujcie. Prosimy was o to my, jokerzy, galaktyczni wędrowcy zmieniający kształt galaktyki. Musicie nas wiele nauczyć...

Po krótkiej, acz zażartej walce Dom spacyfikował wiatroplawa i skierował go w stronę brzegu.

Pięć mil z prawej obok żartu, jakim okazała się Wieża Jokerów, lądowały kolejne statki. Cicho i spokojnie, próbując nie dostrzegać innych przedstawicieli pięćdziesięciu dwóch ras, zagłębiali się w mokradła.

Dom pozostawił Iga usadowionego w błocie w centrum szerokiego i rosnącego z każdą chwilą kręgu słuchaczy. A inne igi płynęły tam ze wszystkich stron. We wszechświecie

działo się coś nowego, co dotyczyło wszystkich ras, stanowiących w końcu podgatunki jednej wielkiej rodziny istot inteligentnych — tych, którzy mieszkają po jasnej stronie Słońca. Naturalnie to zajmie trochę czasu, ale pewnego dnia coś powróci na bagna Widdershins i powie: to zaczęło się tutaj.

Dom miał jeszcze coś do zrobienia. Coś, do czego się zobowiązał — balansując na muszli, odkręcił korek manierki i wylał jej zawartość do wody. Potem ostrożnie, by uniknąć kolców porastających górną muszlę, położył się i wsunął głowę pod powierzchnię wody.

...Dziękuję — usłyszał słaby głos, dochodzący jakby z oddali.

Wstał i spojrzał ku odległej plaży — na linii przyływu stała postać otulona złocistą poświatą i przyglądała mu się z namysłem.

Dom skłonił wiatroplawa do większej szybkości. Wiedział, że teraz będą słuchać. Teraz wszyscy będziemy słuchać.

KONIEC